

Zabawna i wyjątkowo wzruszająca powieść
o ojcach, synach i autyzmie

Jem Lester

C i s z a



Jem Lester

CISZA

Tłumaczył
Paweł Wieczorek

ZYSK I S-KA
WYDAWNICTWO

Pamięci Stuarta i Sharon Lester

Podziękowania

Mojej partnerce, Catherine Ercilli, która zakochała się we mnie z powodu mojego pisania i – mimo mojej bezużyteczności w większości innych sfer – w dalszym ciągu ze mną jest, będąc moją najlepszą przyjaciółką i czytelniczką.

Noahowi Lesterowi, który nigdy nie przeczyta tej książki, może ją jednak – jeżeli go najdzie taki nastrój – wyrzucić przez okno.

Eloise Lester, której stopień naukowy z psychologii pozwoli oszczędzić mi – mam nadzieję – w przyszłości fortunę za terapię.

Karen Ferbermann, której jestem winien trzydzieści cztery prezenty urodzinowe, niezliczoną ilość zapalniczek, sto wyjaśnień i, co najważniejsze, znośną młodość.

Mitchellowi Rossowi za czterdzieści sześć lat śmiechu, zabawnych wygłupów i wielu wspólnych zmartwień.

Mojej wspaniałej agentce Laurze Williams i wszystkim w PFD, którzy stali murem za *Ciszą* po usłyszeniu w marcu 2013 roku, nad pubem, fatalnie przeczytanych 1500 słów.

Mojej błyskotliwej redaktorce z Oriona, Jennifer Forres-ter oraz publicyście/żywiolowi Samowi Eadesowi.

Jonathanowi Myersonowi, Lucy Caldwell i Clare Allan z City University.

Mojemu oddziałowi zwalczania szaleństwa: dr Claudii Bernat, Dorit Dror, Melowi Davisowi i Wendy Davis.

Damie Stephanie Shirley, założycielce Prior Court School w Berkshire, oraz całemu tamtejszemu oddanemu personelowi.

Bionicznej Tracy Fenton i wszystkim w TBC za entuzjazm i wsparcie.

Zmarłemu zastępcy redaktora naczelnego „Jewish Chronicle” i krytykowi teatralnemu Davidowi Nathanowi za uznanie mojej poobiedniej przemocy wobec segregatorów za całkowicie stosowne zachowanie.

Świstak

Wydział ds. Dzieci Wynchgate
Centrum Obywatelskie
Brown Street
Londyn N24 3EA

18 stycznia 2011 r.

Szanowni Państwo Jewell
Sprawa: Jonah Jewell, ur. 11 maja 2000 r.

Po przeprowadzeniu dyskusji w sprawie Państwa wniosku, skierowanego do grupy roboczej kompleksowych potrzeb SPE, dotyczącego umieszczenia Jonaha w specjalistycznej stacjonarnej szkole dla dzieci z autyzmem, zdecydowaną większością głosów grupa uznała, że jego edukacyjne i społeczne potrzeby zostaną należycie spełnione, jeżeli zostanie pozostawiony w dotychczasowym środowisku.

Polityką rady jest, aby zawsze gdy to możliwe, prowadzić edukację dzieci w miejscu zamieszkania, w modelu uczestnictwa wielu instytucji, wspierających je zarówno w domu, jak i w sytuacji szkolnej.

Zebrane dokumenty sugerują, że Jonah robi odpowiednie postępy w Roysten Gate i doskonale wspiera go kochająca rodzina. Grupa robocza zaleciła więc, aby we wrześniu 2011 r. Jonah został przeniesiony do niedawno udoskonalonego Gimnazjum imienia Maureen Mitchell.

Z poważaniem
Adele Latchford
Dyrektor Wydziału ds. Dzieci

dw.

Claire McDonald, logopeda

Anita Kaur, psycholog szkolny

Jennifer Porter, dyrektor szkoły Roysten Gate

Emilio de Rossi, konsultant pediatra

Mary Carey, pracownik socjalny

Emma czeka w kuchni, ponieważ odór wywołuje u niej odruch wymiotny. Początek dnia przebiega jak zwykle: w łazience szumi lecąca do wanny woda, Jonah stoi obok łóżka, mokry po pachy, ja otwieram okna, ściągam pościel i spryskuję osłonę materaca środkiem dezynfekującym. Zwijam pościel w kulę razem z jego śmierdzącą piżamą. Pełna pielucha i brudne mokre chusteczki wędrują do plastikowego worka, który szybko zawiązuję. Jonah chwilę potem wskakuje do wanny, woda i piana zmieniają się w brązową zupę. Myję go energicznie, bardziej odporne miejsca polewam wodą z prysznica i wycieram go „jego” marynarskim ręcznikiem – każdy inny wywołałby histerię. Ubranego, przepycham korytarzem na śniadanie. Taki mamy podział: Emma zajmuje się tym, co trafia do środka, ja tym, co wylatuje na zewnątrz.

List leży otwarty na stole, wygładzony po mocnym zmięciu w garści. Nie odzywamy się przez co najmniej dziesięć minut – kilka sekund mniej, a okazałoby się, że to moja wina. Nauczyłem się długich rozgrywek. W końcu biorę go i kolejny raz czytam – nie jest niespodzianką, mimo to jestem oburzony.

– To by było na tyle.

– Jak zawsze optymistą.

– Oni są jak z Orwella. Co ma znaczyć „należycie”? Myślisz, że wierzą w tę swoją nowomowę?

Siedzenie przy stole w jadalni z głową w rękach stało się moją śniadaniową asaną – pozycją o nazwie „dlaczego ja?”.

Atak uzalania się nad sobą trwał góra minutę, wystarczyło jednak, aby syn zniknął nam z oczu.

– Gdzie on jest? Jonah?! Nie pilnowałeś go, Ben?

– Rozmawiałem z tobą. – Ruszam do kuchni, która – ledwie go spuścić z oka – służy Jonahowi jako poranna sala treningowa. Nie ma go, ale widać, że nie próżnował: puste pudełko po cornish vanilla na podłodze, rozchlapane lody na czarnych błyszczących blatach, stalowym froncie lodówki, marmurowych płytkach na podłodze, a także – co odkrywam, odwracając się ku drzwiom – w jego sięgających ramion włosach, na całej twarzy i granatowym szkolnym dresie. – Jonah, ty gnojku... Emmo, trzeba go wsadzić pod prysznic i przebrać!

Patrzymy na zabierający go minibus z ulgą, przemieszana z poczuciem winy.

Emma płacze.

– Nie zniosę tego dłużej.

Od jej pochlipywania bieleją mi kostki zaciskanych dłoni.

– Nie bądź melodramatyczna. – Z premedytacją decyduję się na nieodpowiednie słowa.

– Zamknij się, Ben. Masz jakiś genialny pomysł? Zabrać od ojca starego lugera, wziąć grupę roboczą jako zakładników i trzymać ich, aż się poddadzą?

– Jak Bonnie i Clyde?

Skojarzenie sprawia, że Emma chichocze, co łagodzi kwaśne pieczenie w moim żołądku. Przez ostatnie półtora roku nieraz docieraliśmy do tego punktu, ale humor, który dotąd zawsze nas ratował, teraz już nie wystarczał i przestaliśmy się nawzajem

dostrzegać. Dlatego Emma mówi, dużo. Powtarza nieustannie mantrę niedoli.

– Ciągłe przypominają mi się słowa, jakie płynęły z jego ust: tata, mama, auto, lampa... dlaczego przestał? Dziś w nocy śniło mi się, że wszedł do salonu i zaczął do mnie mówić, a najdziwniejsze było to, że mówił swoim głosem – jestem tego pewna. Gdy się obudziłam, byłam przekonana, że to się działo naprawdę, i gdy usłyszałam z łazienki, jak go myjesz, zrobiło mi się niedobrze z rozczarowania. Zdarza ci się coś podobnego?

– Czasami.

Nigdy nic podobnego mi się nie przydarzyło.

Emma ponownie wczytuje się w list, ja kończę kawę. Wznosi oczy ku niebu i palcami przeczesuje kasztanowe włosy. Plama światła wydobywa siwe pasmo. Wypowiada bezgłośnie kolejne słowa listu, kręci głową, po czym zaczyna szeptem powtarzać frazes „kochająca rodzina... kochająca rodzina... kochająca rodzina...”.

– Oni są kompletnie porąbani, zresztą wszystko stoi na głowie. Jesteśmy karani za to, że go kochamy i dbamy o niego, i nie jest w autyzmie tak dobry, jak mógłby być.

– Nigdy nie zagra w reprezentacji Anglii w autyzmie.

– Jakby nas oskarżali o to, że ta sytuacja nas nie zniszczyła. Nie jest jeszcze wystarczająco źle. Nie musi nosić kasku motocyklowego ani słuchawek, a my nie jesteśmy narkomanami.

– Jeszcze nie.

System jest naprawdę przedziwny – matematyka kosztów i zysków, pozbawiona ludzkiego elementu.

– Może powinienem dostać załamania nerwowego, a ty mogłabyś obmacać jakiegoś klienta i stracić uprawnienia adwokackie. Bylibyśmy wtedy biedni i psychicznie chorzy... Czy to pchnęłoby naszą sprawę do przodu? W ostateczności moglibyśmy się rozejść – oni uwielbiają samotnych rodziców.

Pomysł jest tak szalony, że zaczynam śmiać się do siebie.

Spoglądam na Emmę, ale nie patrzy w moim kierunku ani się nie śmieje. Bierze teczkę i wychodzi.

– To do wieczora – mówię do zamykających się drzwi.

W magazynie jestem o jedenastej. Setki talerzy czekają na umycie, pokryte resztkami świątecznego jedzenia, które przez weekend zaschło na kamień i zaśmiardło. Tak wygląda mój codzienny schemat: stoły, krzesła, zastawa, sztuce i szkło – wypożyczanie w nieskazitelnie czystym stanie, odbieranie w postaci brudnej zbieraniny, mycie, pakowanie i ponowne wysyłanie. Życie, od którego może się odechcieć żyć.

– Idę na lunch. – Valentine, który przy ponad metrze dziewięćdziesiąt wzrostu i potężnych barach wygląda jak szybki serwujący krykietowej reprezentacji Indii Zachodnich, nie podnosi wzroku znad polerowanego szkła. – Idę na lunch.

– Słyszałem – odpowiada. – Masz telefon? Nie zamierzam go odbierać.

– Nie będzie mnie tylko godzinę.

– Aha.

– Wrócę o dwunastej.

– Oczywiście.

– Niech się włącza sekretarka.

– Dobra.

– Gdyby przyszedł tata, powiedz mu, że pojechałem z dostawą.

– Dobra.

Wyjmuję z kasy dwie dychy i ruszam do sąsiadującej z nami drukarni, z której wychodzi się na ulicę. Drogę blokuje mi Vinod.

– Musimy pogadać o czynszu.

– Mam spotkanie. O dwunastej?

– Wczoraj też tak mówiłeś.

Przeciskam się obok niego i pcham frontowe drzwi.

– Sześćset dwadzieścia funtów, Ben.

– Nie ma problemu.

Nieprawda, jest problem.

– Cześć, Ben.

– Andreo...

– Guinness?

– Poproszę, skarbie.

– Jak idzie z mieszkaniami, kochany? – Andrea równocześnie nalewa i mówi. Jest brunetką z trwałą ondulacją o wzroście supermodelki i głosie oraz jabłku Adama zawodowego boksera.

– Ciągle czekam, aż pieprzona Rada wyda zezwolenie. Dranie.

– Dranie. Mam nadzieję, że dzięki temu masz czas pilnować robót przy własnym domu.

– Jasne. – Siadam na stołku przy przytulnym barze w kształcie podkowy.

Tak wygląda moje *alter ego*, wymyślone na użytek Klubu Profesjonalnych Pijaków – samych handlowców i Irlandczyków, aby wejść w ich grono. Jest wcześniej i na szczęście jestem sam w uścisku z pintą Guinnessa, topiąc *angst*1. Lubię drewnianą boazerię, lepłą się podłogę i irlandzkie towarzystwo. Uwielbiam to, że uważają mnie za swojaka. Zadziałał przypadek, ale nie skorygowałem błędu, i teraz rozwodzę się długo i namiętnie o wszystkim: od tynkowania po papieża. Bycie kilka godzin dziennie katolikiem to miłe uczucie i dobrze się bawię. Zdecydowanie ma przewagę nad upokarzającym wypożyczaniem talerzy i widelców. Poza tym uwielbiam anonimowość. Nie było łatwo, musiałem zapracować na ten stołek – pięć miesięcy w barze dla zwykłych gości, zanim zebrałem się na odwagę, aby do nich dołączyć. Zaczynam drugą pintę, gdy leżąca na barze komórka zaczyna podrygiwać niczym przewrócona na plecy stonoga. JONAH: SZKOŁA.

– Nic mu nie jest. – Jonah szczerzy zęby w uśmiechu i patrzy mi przez ramię w kierunku parkingu. Ani razu nie mrugnął. – Jest pani pewna, że zachorował?

– Panie Jewell, to było jak pocisk.

– Ale jest czysty jak łąza.

– On tak, za to panna Glen potrzebuje pralni.

Muszę się powstrzymać, by nie zaproponować zwrotu kosztów.

– To skutek kaszlu, nie jest chory. Poważnie, proszę mu się przyjrzeć.

Jonah podskakuje przy drzwiach, naśladując szaleńczy stadny lot chmary szpaków.

– Przykro mi, panie Jewell. Przez czterdzieści osiem godzin od epizodu chorobowego Jonah musi pozostać z dala od szkoły. Polityka gminy.

– Wspaniale. A co mam zrobić z pracą?

– Naprawdę mi przykro. Matka nie może się nim zaopiekować?

Maria jest nowa, pojawiła się dopiero przed Bożym Narodzeniem. Nie wiem, jak sobie radzi. Ma bladą skórę, jest ruda i wiotka jak wierzba – w eterycznym sensie bardzo atrakcyjna, ale fizycznie nie może się równać z Jonahem i bandą jego nieprzewidywalnych klasowych kolegów.

– Piątek?

– Piątek – o ile nie będzie znowu chory.

– A co z „Wiśniowym drzewem”? – To nazwa świetlicy, do której Jonah chadza dwa razy w tygodniu po szkole i w niedziele – błogi dzień bez pieluch.

Mary krzywi się.

– Przekażę im, że Jonaha nie będzie.

Szybki wyrok. Bez zawieszenia.

– No dobra, Jonah, chodź. – Sięgam po jego dłoń, ale wrywa ją. Idę do samochodu dwa kroki za podrygującą postacią. Dzielę nadchodzące dwa dni na godziny, minuty i sekundy i dłonie w kieszeniach zaciskam w pięści.

– Nie, nie mogę, Ben. Oba dni jestem w sądzie.

– Przecież wiesz, że czwartek i piątek to moje najbardziej zajęte dni. Nie możemy się przynajmniej podzielić po jednym?

Odpowiedzią jest milczenie i ciężkie westchnienie. Widelcem przesuwam po talerzu liście rukoli.

– A twój tata?

– Przecież wiesz, że nie rozmawiamy od wrześniowego Jom Kippur.

– Obaj zachowujecie się jak dzieci. Musisz zrozumieć, że...

No i gotowe.

– ...jeżeli ja nie zjawię się w sądzie, to ktoś będzie musiał zostać w areszcie śledczym, a jak ty zostaniesz w domu, ktoś nie dostanie widelców do ryby. Chcesz, żebym to ja do niego zadzwoniła? Na pewno będzie zachwycony, że znowu zobaczy Jonaha.

– Nie. Skończyłaś? – Zabieram talerz Emmy. Tu mnie ma i doskonale o tym wie. Nie mogę się postawić, więc zaczynam zmywać. Gotuje się we mnie jak w kotle.

– Sprawdź, co u Jonaha – mówi. – Będziesz w salonie?

Po kilku sekundach jest już z powrotem.

– Nie śpi, a w pokoju śmierdzi.

– Więc zmień mu pieluchę.

– Ben...

– Wiesz co? Sam to zrobię, dobrze?

Nie jest już małym dzieckiem, przynajmniej fizycznie. Z biegiem lat obserwowałem szybki rozwój innych dzieci, obawiając się nadejścia dnia, w którym – niczym stojący na światłach samochód ze spalonym sprzęgłem – mój syn zostanie na jałowym biegu, a reszta pomknie z rykiem silników w dal. Miesiąc za miesiącem nadzieja na ponowne usłyszenie słów słabła. Teraz, gdy ma dziesięć lat, nawet statystyka wskazuje

na to, że już nigdy nie padną z jego ust. Ma umysł jak słownik z posklejnymi kartkami. Całuję go w czoło i podciągam mu kołdrę pod brodę. Nie wiem, czy w nocy śpi, ale dopóki jest spokojny, mogę z tym żyć. Problem w tym, że rzadko bywa spokojny.

Zanim dołączam do Emmy, w ciszy i spokoju osuszam otwarte pół butelki wina i odstawiam pustą flaszkę do lodówki.

– Wszystko z nim w porządku? – pyta Emma, zwinięta w kłębek na kanapie. – Z nami wszystko w porządku?

– Powiedziałbym, że wszyscy jesteśmy w podobnym stanie. Lunatykujemy?

– Bzykanko więc raczej nie wchodzi w grę?

Wybucham śmiechem, popiskującym jak dźwięki fletu i podszytym nerwowością, po czym odkładam sprawę ad acta do szuflady z napisem „retoryczne”. Trwa to od miesięcy, a jej zawołane sugestie i aluzje zadają rany mojej duszy. Nie chodzi o to, że przestała być dla mnie atrakcyjna, moja niechęć to raczej skutek niż przyczyna. Milczę, choć wiem, jak bardzo Emma chce powiększyć naszą rodzinę, widzę jej napady instynktu macierzyńskiego na widok niemowlaków... Przepaść, jaka zacznie nas dzielić z tego powodu, to jeszcze sprawa przyszłości, ale pierwsze rysy już się pojawiają. Może gdyby Jonah urodził się drugi... Emma rozprostowuje się i schodzi z kanapy, idzie do przedpokoju i znika w toalecie. Czwartą raz dzisiejszego wieczoru, prawdopodobnie potrzebuje mieć te pięć minut azylu.

– Mógłbyś mi nalać kieliszek wina? – pyta po powrocie.

– Skończyło się.

– Nie, zostało przynajmniej pół butelki. – Wpatruje mi się w oczy.

– O co chodzi?

– Wiesz o co.

– Nagle nie mogę wypić po kolacji kieliszka wina?

– Chodzi o to, czego najwyraźniej nie możesz zrobić po tym kieliszku wina, a potem brandy albo whisky. Nie myśl, że nie wiem, dlaczego zawsze proponujesz, żebym szła wczesnie spać. Nie jestem głupia, Ben.

Kiepsko sobie radzę, gdy zostaję przyłapaną i upokorzony. Powoduje to ciszę, ciężką jak chmura burzowa. Oboje wiemy, że to moja główna metoda uników, ale nie sądzę, aby Emma zdawała sobie sprawę, że gdy bladym świtem napiera na mnie wiercącym się tyłkiem, czuję się, jakby chciała mnie zgwałcić. Seks stracił już swą beztroskę, a szeroka niebieska kreska na obszczanym plastikowym patyku może i jest czymś, czego najbardziej pożąda, ale mnie może wykończyć na dobre. Łatwiej mi odwołać się do problemu z alkoholem, niż przyznać, że nie podzielam jej pragnienia. Od czasu do czasu się poddaję, modląc się, aby moje plemniki miały zero wycucia kierunku i ruchliwość leniwca. W końcu są moje.

Emma idzie otworzyć kolejną butelkę i nalewa sobie kieliszek.

– Rozmawiałam dziś z koleżanką z pracy.

– Tak?

– Specjalizuje się w trybunałach do spraw edukacyjnych.

– I?

– W obecnej sytuacji nie daje nam dużych szans.

– I jaką to stwierdzenie ma wartość?

Dźga mnie łokciem w żebra.

– Powiedziała „w obecnej sytuacji”.

– A jaką mamy sytuację?

– Nas. Razem. Wspólne możliwości.

– Zdawało mi się, że tu chodzi o Jonaha.

– Bo chodzi. Pokazałam jej list i porozmawialiśmy o innych przypadkach. Takich, kiedy się ludziom udało. Znalazłyśmy kilka cech wspólnych, określone elementy, które by pomogły.

– Na przykład?

– Pamiętasz naszą poranną rozmowę? O rozejściu się? Uwielbiają samotnych rodziców. Pamiętasz?

– To był żart, Emmo. Do tego kiepski.

– Słyszysz, że się śmieję?

– Mówisz poważnie? Mamy zacząć udawać, że się rozeszliśmy?

– Dla dobra Jonaha.

– Tylko?

– Oczywiście. I nie mów mi, że twoim zdaniem kocham obecnie życie.

– A ty zauważyłaś, żebym na zmianę stepował i kręcił tyłkiem?

– Tak na niby. Tymczasowy układ do podjęcia decyzji przez trybunał.

– Ale to może potrwać wiele miesięcy. Absurd. Jak miałabyś sobie sama poradzić z Jonahem i pracą? Dokąd byś się przeprowadziła? Po sąsiedzku? Nie wyglądałoby to nieco podejrzanie?

– Wyglądałoby. Jedną z cech wspólnych, o których wspomniałam, są samotni ojcowie. Żeby sprawa wypaliła, Jonah musiałby być z tobą.

– Chwileczkę, nie przypominam sobie, abym zgodził się na pierwsze, znaczy rozejście się, nie mówiąc o pomysłe, bym miał radzić sobie z nim sam. Emmo, we dwoje ledwo się wyrabiamy. Jeśli mam być szczery, nie jestem zainteresowany żadną z tych propozycji.

Emma wydaje z siebie głuchy jęk.

– Ale pomogłoby to naszej sprawie.

– Masz chyba na myśli „sprawie Jonaha”? Jeśli sprawisz, aby prawnicy i sędzia z nim zamieszkali, to przekona ich w godzinę.

Jakby chcąc podkreślić ten fakt, Jonah dołącza do nas.

– Wracaj do łóżka, Jonah – mówię, ton mojego głosu musi jednak zdradzać irytację, bo Jonah skacze i wali stopami o podłogę z taką siłą, że aż dom się trzęsie. Emma rusza ku niemu, cicho i łagodnie powtarzając jego imię, jednak gdy jest już blisko, Jonah wpycha sobie dłoń do ust, a drugą ręką wali się z całej siły w głowę.

– Emmo, nie podchodź – mówię, gdy Jonah zamaszystym ruchem zrzuca ze stołu pusty kieliszek po winie i kopie w szkło. Próbuję go złapać oburącz, ale wywija się i mocno wbija mi zęby w bark. Aby się uwolnić, muszę go trzepnąć w głowę, a on zalewa się łzami. Emma znowu wkracza do akcji, aby pocieszyć Jonaha i zaprowadzić go z powrotem do łóżka. Klęka przed nim na podłodze i muska jego pod-bródek

najdelikatniejszymi na świecie pocałunkami. Jonah pochyla się, aż ich czoła się stykają. Zostawiam ich i idę po maść antybakteryjną.

Mija pół godziny, nim Emma wraca, blada i ziewająca. Opada ciężko na kanapę.

– Wszystko w porządku? – pyta.

– Tak, to tylko kolejna pamiątka. Chyba powinnaś zrobić zdjęcie.

Idzie do sypialni po aparat, po czym pstryka kilka fotek mojego zaczerwienionego i pogryzionego barku. Kolejny eksponat do albumu ran i sińców, rozbitych szklanek, talerzy i ramek do obrazów – dowodów agresywności i nieprzewidywalności Jonaha na użytek trybunału, na którego zebranie się mamy nadzieję: jego anty-CV. Następnie podaje mi kieliszek z winem.

– Nie zrobię tego, Emmo.

– Jest inne rozwiązanie.

– Kaftan bezpieczeństwa?

– Inne niż wy tutaj we dwóch.

– Już mówiłem: nic z tego.

– Ben, przeżyjesz tak kolejny rok? Dwa? Trzy, dziesięć? Nie sądzę, bym ja była w stanie. Nie wspominając o biednym Jonahu. Potrzebuje więcej, niż możemy mu dać, więcej, niż mają do zaproponowania w Maureen Mitchell. Potrzebuje i zasługuje na coś więcej. Musi dostać szansę na odrobinę godności. Miejsce na stałe. Potrzebuje stałości, to może być jego jedyna szansa.

Wypijam do dna.

– Musimy zrobić wszystko, niezależnie od tego, jak będzie to boleć. Musimy to zrobić dla Jonaha.

– Więc na czym ma polegać to „inne rozwiązanie”? – Potrzeba zadowolenia Emmy pokonuje mój instynkt samozachowawczy.

1 *Angst* (jidysz) – obawa, lęk. (Wszystkie przypisy, jeśli nie zaznaczono inaczej, pochodzą od tłumacza).

Karuzela

Jewell
14 Oakfield Avenue
Londyn N10 4RG

23 stycznia 2011 r.

Szanowna Pani Latchford

Re: Jonah Jewell – zmiana warunków rodzinno-domowych

Niestety zdecydowaliśmy się z matką Jonaha na separację i opieka nad Jonahem leży obecnie wyłącznie w moim zakresie odpowiedzialności. Postanowiliśmy, że pani Jewell pozostanie w naszym dotychczasowym mieszkaniu, ja zaś przeprowadzę się pod wyżej wymieniony adres, do mojego starszego ojca.

Bez wątpienia rozumie Pani, że jest to sytuacja dalece odbiegająca od ideału – w szczególności dla Jonaha – i byłbym wdzięczny, gdyby mogła się Pani ze mną jak najszybciej spotkać w celu omówienia wszelkiej możliwej do uzyskania pomocy.

Z poważaniem
Ben Jewell

No tak. To dla mnie zaszczyt.

Jonah przeciska się obok dziadka i rusza prosto do kuchni, niczym sterowany pocisk.

– Sprowadzasz się?

– Tylko na kilka miesięcy – mówię. – Tak jak ci mówiłem przez telefon.

– No tak. – Otwiera szeroko drzwi i zaprasza mnie ruchem ramienia. – Co wykręciłeś?

– Nic.

– Pozwoliłeś jej odejść bez walki?

Odwraca się i rusza ciemnym korytarzem. Jego sprężyste ciało może nie ma już metra siedemdziesiąt osiem jak w najlepszych czasach, ale idzie wyprostowany, a chód wyraża groźbę.

– JJ? Już się dorwałeś do moich szafek?

Słychać szelest i skrzywienie trącej o drewno płyty MDF – Jonah buszuje.

– Co znalazłeś? Aha! Lubisz bajgle, co?

Gdy dochodzę do kuchni, Jonah mija mnie pędem i zajmuje brązową szenilową kanapę niczym dokonujące inwazji kolonialne mocarstwo. W zębach trzyma bajgla.

– JJ, nie możesz go jeść na sucho. Włożę ci do niego trochę łososia...

– On nie jada łososia.

– Tak ci powiedział?

Ta sama stara śpiewka.

– Próbowałem. Wypluwa.

– Tego samego łososia? Ten jest z delikatesów czy z marketu?

– Ani to, ani to. Jest z Alaski.

– Mądrała jak zawsze. Zrobię mu bajgla z łososiem.

Tata nie ma wyraźnego akcentu, ale na końcu każdego pytania lekko unosi głos, co zawsze oznaczało dla mnie lekceważenie. Czas rejterować.

– Nie mogę zostać, muszę jeszcze spakować i przywieźć mnóstwo rzeczy z mieszkania – wyjaśniam. – Mógłbyś przez jakiś czas popilnować Jonaha?

Tata wzrusza ramionami.

– Kiedy wrócisz?

Spoglądam na zegarek.

– Druga z hakiem?

– Już jest południe. Wróc o czwartej. Pójdziemy na spacer, może spotkamy się z Maurice'em.

– Na pewno?

Przykłada dłonie do piersi – wnętrzem do przodu.

– Co może się stać?

Mam ochotę przedstawić wszelkie możliwe scenariusze, ale taty już nie ma. Z kuchni dolatuje jego nucenie. Sytuacja go bawi. Rozpaczliwie tęsknię za drinkiem, ale tata jest w swoim żywiole. Sprawdzam godzinę: każda minuta, którą tracę na przygotowywanie bajgla, odbiera mi trochę tak potrzebnej samotności. W końcu idealny

bajgiel z łososiem jest gotowy i trafia do salonu. Jonah jest w połowie pierwszego, ale gdy zjawia się drugi, rzuca go nonszalancko za kanapę. Z korytarza, z bezpiecznej odległości, obserwuję, jak jego język dotyka wędzonego łososia. Zaczyna go jeść. Mały drań.

– Delikatesy Florsheima w Temple Fortune. No proszę, kolejna rzecz do twojego menu, co JJ?

Gdy palce taty szczypią go w policzek, Jonah nawet nie drgnie. Mógłbym przysiąc, że patrzy prosto na mnie, ale przecież wiem, jak jest.

– Jego torba stoi przy drzwiach – informuję. – Tato?

– Czwarta. Nie wcześniej, nie będzie nas.

Trzy godziny i dwadzieścia dwie minuty w domu. Zdążę się spakować w godzinę, ale najpierw muszę usiąść. Potrzebuję się czegoś napić, muszę coś zjeść, ale przez głowę przepływa mi rozbrajająca myśl: może mógłbym zostać na noc? To byłoby jak randka – moglibyśmy spróbować prawdziwego seksu i przespać noc bez groźby, że coś nam przerwie. Ale nie, Emma będzie się obawiać o Jonaha, o mojego tatę. Mimo to pomysł tajnej schadzki najwyraźniej podkreśla mój popęd.

Włączam telewizor i kanapa mnie pożera. Perspektywa, że nie ujrzę jej przez tydzień, że będę ignorowany oraz – mimo wszelkich dowodów, iż tak nie jest – skuteczność, z jaką ten status quo został zaaranżowany, przepelnia mnie paniką. Chce mi się płakać, zamiast tego piję i odpływam. W otępieniu słyszę kury, krowy, potrójny gwizd owczarza. Wypowiadane na głos wersy z Wordswortha zamieniają się w ryk pełnego stadionu piłkarskiego, narastające wycie emocji tłumu tuż przed eksplozją, huk wystrzału, trzask, trzask, trzask mechanicznej maszyny do pisania, kolejne odgłosy wystrzałów, podrywający, słodki krzyk chłopięcego sopranu.

Prawie ramię zdrętwiało mi pod brodą i błyszczy od śliny, w której odbija się nienaturalne światło ekranu telewizora. Ściany robią się zielone, potem czerwone, niebieskie i znowu zielone. Ciemność tłumi głos. Ciemność. Zaczynam zbierać okruchy, ale ulatują, są niemal niedostrzegalne – jak obecność Jonaha. Ciemność. Kapanie. Drętwe kończyny. Dzielne światło. Brak dziennego światła. Kurwa mać.

Gwałtownie wstaję i od razu robi mi się niedobrze. Osuwam się na kolana i zaczynam macać po podłodze, szukając zegarka. Przysuwam go do ekranu telewizora. Piętnaście po szóstej. Kurwa, kurwa, kurwa. Powinienem zadzwonić? Zataczam się jak pijany do frontowych drzwi. Wracam do kuchni po łyk wczorajszego wina. Zapalam papierosa. Znowu ciągnę z flaszki. Łykam z bulgotem. Po chwili jest pusta. Tasuję myśli jak talię kart i rozkładam je – jedno na lewo, drugie na prawo. Składam talię. Ponownie tasuję. Przekładam talię. Demoniczne myśli są rozpuszczalne w alkoholu. Nieco wódki oczyszcza resztę fusów. Biorę ze stołu kluczyki do samochodu.

Frontowe drzwi są otwarte. Wydaje mu się, że mamy lata pięćdziesiąte? Pojedyncza naga żarówka wypala mi na siatkówkach nakładające się na siebie koła, więc wchodzę, macając po ścianach. Gdy dotykam oleodruku *Słoneczników* van Gogha, porusza się po ścianie jak wahadło i bucha z niego chmura kurzu jak podczas burzy piaskowej na Saharze. Gdy próbuję mruganiem pozbyć się białych placków przed oczami, stolik pod telefon z kutej stali i ze szklanym blatem wygryza mi kawałek piszczela. Kto

poza moim tatą wypacykowałby edwardiański domek szeregowy na brązowo i pomarańczowo? Ostatni ślad minimalizmu z lat siedemdziesiątych na Muswell Hill.

– Halo, tato? Jonah? – W kuchni jest ciemno. Salon wypełnia halogenowe światło latarni, zamontowanej chyba tylko dla podglądaczy. Dolatujące z bakelitowego radia szarpane dźwięki stacji Radio 4 pieszczą prastare, wyciosane z dębu meble. Paskudna, otyła szafa i stół obiadowy z krzesłami, ciemne jak heban – w rzeczywistości powierzchnie są zawerniksowane przez marmite₁ – i pozabezpieczane przed zadrapaniami przez szydełkowane serwetki, tak bardzo zdominowały przestrzeń, że w ciemności przypominają starożytnego gargulca, Golema wyrzeźbionego przez pomarszczonego mistyka ze sztetla, ogarniętego żądzą odwetu i chorobliwą podejrzliwością. Zapalam światło i wyłączam radio.

– Halo!

– Tutaj.

– Gdzie?

– Tutaj. W łazience.

Tata siedzi na zielonym ogrodowym krzeselku z plastiku i masuje Jonahowi głowę resztką zielonego mydła.

– Kiedy urosły mu włosy na dole?

– Nie musisz go kapać.

– Mieliśmy wypadek.

– Nie miał pieluchy? Zostawiłem ci torbę.

– Byliśmy w ogródku, po co ma ciągle cierpieć tę niewygodę?

– Rozumiem, że nawalenie sobie w spodnie mu ją zapewnia.

– Tylko się zmoczył. Przeplukałem spodnie i położyłem je na kaloryferze. Powinny być już suche. Minęły trzy godziny.

– Przepraszam, że się spóźniłem...

– Coś mówię?

– Słowami nie.

– W ogóle nie.

Jonah zaczyna się śmiać i napychać sobie usta pianą.

– Miałaś płyn do kąpieli?

– Płyn do zmywania.

– Jezu, tato... nie może tego jeść. – Jednym susem znajduję się przy Jonahu, żeby zetrzeć mu pianę z ust. – Pełno w nim detergentu i innych świństw. Rozchoruje się.

Jonah zaczyna się na to przesuwać w tył i w przód po dnie wanny, a śmiech milknie. Fale zaczynają się przelewać przez krawędź wanny i woda szuka szpar między linoleum a listwami przypodłogowymi. Kładę mu dłoń na ramieniu, ale zbija ją i gryzie się mocno we własną dłoń. Swędzi mnie skóra na głowie. Śpiew go uspokaja – śpiew i taniec.

– Bu-de-bu-de-bum, bu-de-bu-de-bum, buu-di-buu-di-buu. – Tata trzyma ręce nad głową i porusza dłońmi, jakby wkręcał dwie żarówki. Jonah w dalszym ciągu chlapie, ale jego twarz się rozluźnia, na powrót przybiera anielski wyraz. W rytm chlapania wydaje z siebie rytmiczne, gardłowe dźwięki, a jego oczy – błyszczące jak szklane paciorki –

wydają się wpatrywać w oczy taty.

– Idę zrobić sobie kawę – informuję, wychodząc.

Gdy woda zaczyna się gotować, starożytny czajnik podskakuje jak w tańcu giga, a z gwizdka bucha para. Kawa, którą znajduję po dłuższym czasie w nieoznakowanym glinianym pojemniku, wygląda, jakby pochodziła z wykopalisk, a smakuje, jakby tata miał ją przy sobie podczas drogi z Budapesztu. Słyszę, jak schodzą po schodach. Tata gawędzi z Jonahem, samemu odpowiadając na zadawane pytania. Stoję i pijam kawę. Gdy Jonah chichocze, czuję ukłucie zazdrości, ale nie w stosunku do taty, tylko do Jonaha. Idę do salonu, mając wrażenie, jakbym był intruzem.

Są do siebie podobni? Trudno powiedzieć przy fryzurze Jonaha jak u heavy-metalowca. Czy ja i on jesteśmy do siebie podobni? Przyglądam im się, siedzącym tuż obok siebie na kanapie, przyglądającym się światłu, rozbijanemu na pojedyncze barwy przez cenny przycisk do papieru z ciężkiego kryształu należący do mojego taty.

– JJ, przyjrzyjmy się temu dokładnie. To, co się dzieje, wygląda tak: światło, które wydaje nam się białe, składa się w rzeczywistości z mnóstwa różnych kolorów. Ilu? No cóż, dokładnie nie wiem, ale jeżeli się przyjrzymy, zobaczymy, jak wypływają z kryształu. Popatrz tutaj.

Tata trzyma kryształ przed oczami Jonaha i delikatnie porusza nim na boki. Przy określonych kątach na policzku Jonaha pojawia się tęcza. Jonah wyciąga w kierunku kryształu kciuk i palec wskazujący, powoli, jakby nawlekał nitkę, i delikatnie bierze kryształ z dłoni taty. Nie mruga. Nie tylko teraz, kiedy bada cud rozdzielania się światła na pasma – nigdy tego nie robi. Przynajmniej nigdy nie widziałem, aby mrugał. Nawet gdy próbowałem go sprowokować – na przykład klaszcząc albo pstrykając palcami tuż przed jego twarzą – gapi się na wprost, jakby patrzył na wylot. Ma zaburzone odruchy czy po prostu się nie boi? Wolę zakładać to drugie.

– Opowiadałem ci już kiedyś o tym magicznym kryształku, JJ? Nie? No więc jest w rodzinie od ponad stu lat, a zrobiono go ze sławnego na cały świat i pięknego czeskiego szkła kryształowego.

Ostrożnie stawiam kubek z kawą na dzierganej serwetce. Nigdy przedtem nie słyszałem opowieści o tym przycisku do papieru, ale zakładam, że – jak i wszystkie pozostałe graty w tym zalatującym pleśnią domu – został kupiony bez namysłu i o wiele za drogo w jakimś wschodniolondyńskim sklepiku z „antykami”.

– Tato, już dawno powinien iść spać.

– Jest szczęśliwy, zostaw go.

– Zajmiesz się skutkami? – Mam na myśli zaspanie, przepelnioną pieluchę i wysmarowane gównem ściany.

– Benjaminie, on nie wygląda na przemęczonego. Poza tym nie jesteście moimi lokatorami, tylko rodziną, więc go połóżę.

– Potrzebuje lekarstw...

– W takim razie zamiast spędzać popołudnie w pubie, mogłeś wrócić o czwartej, jak prosiłem. On chce wysłuchać opowieści do końca.

– Ma gdzieś tę opowieść, tato. Chce tylko kręcić kryształkiem.

– Skąd wiesz?

– A ty skąd?

Siedzę w salonie i przerzucam kanały, próbując utrzymać rytm jeden na sekundę. Po raz tysięczny sprawdzam komórkę, potem atakuję starożytną whisky taty – odstawiając za każdym razem butelkę do szafki, cichutko, pamiętając, aby etykieta zawsze była do przodu. Starych nawyków nie da się łatwo wykorzenić. Przechadzam się po pokoju. Pomijając stare plamy na dywanie i ślady po papierosach, nie ma tu nic świadczącego o moim istnieniu. Prawdę mówiąc, pokój nie ma żadnych ozdób. Z wyjątkiem stojącego na telewizorze w miarę nowego zdjęcia Jonaha ze szkoły i towarzyszącego mu kryształowego przycisku do papieru jest goły. Gdybyśmy byli katolikami, świetnie by się nadawał do wystawiania trumny – choć czuwanie musiałoby się odbywać gdzie indziej. Tata przeczytał w życiu tysiące książek, ale nie chce trzymać w domu ani jednego tomu, muzyki słucha z radia, a jedzenie jada z puszek. Wszystko to sprawia wrażenie, jakby przygotowywał się do szybkiej ucieczki, choć od lat nigdzie nie wyjeżdżał.

Dawniej uważałem, że ta surowość to efekt kaca po skrajnie socjalistycznych poglądach, jakie wyznawał w młodości, ale wystrój jest bardziej zbliżony do faszystowskiej tyranii niż Trockiego. Gdyby zajrzeć do tego mieszkania przez dziurkę od klucza, pierwszym doznaniem byłoby najprawdopodobniej ukłucie ołówkiem w oko. Zadumałem się tak bardzo, że nie zauważyłem, iż tata stoi w drzwiach.

– Śpi. Jadłeś? Nic nie jadłeś, prawda?

– Nic mi nie jest, próbuję tylko sobie to wszystko poukładać.

– Nie jesteś głodny? Jadłeś kebab?

– Kebab.

– Fuj. To wszystko gówno. Dam ci kawałek ryby.

– Nie chcę ryby.

– Zjesz kawałek.

Jestem zbyt zmęczony, aby się kłócić i szczerze mówiąc, wdzięczny za jedzenie. Tata zaczyna się kręcić po kuchni jak przyciągana zapachem nektaru pszczoła – tu rozwija folię, tam przekłada plastikowe pudełka, aż pojawia się wyszczerbiony talerz, łuskowata pamiątka z Wystawy Kwiatowej w Chelsea.

– Od Florsheima. Jedz – oznajmia, dźgając widelcem powietrze w moim kierunku, zostawiając przy tym na siwej szczecinie na twarzy dwa kawałki buraka.

Jemy bez słowa. Odkąd pamiętam, jemy w milczeniu – nasze posiłki w niczym nie przypominają tego, co robią wszystkie żydowskie rodziny, i zawsze ciekawiło mnie dlaczego.

– Tato, dlaczego w czasie posiłków nigdy nie rozmawiamy?

– Ciii. Jem.

Zmywamy na jego modłę: w jednej, coraz brudniejszej wodzie. Wycieram wszystko niegdyś białą ścierką i chowam do szafek wyłożonych tapetą.

– Jak Maurice? – zagaduję.

– Maurice to Maurice. Zawsze taki sam.

Nie widziałem Maurice'a od kilku lat. Zdaje się, że był pierwszą osobą, jaką tata spotkał w trakcie swojej samotnej podróży z Węgier. Zatrzymał się na odpoczynek w Holandii i tam poznał Maurice'a, który stamtąd pochodził. Po dziesięciu latach

przyjechali razem do Londynu. Ojciec unosi powieki niczym kurtynę w teatrze i wracają wspomnienia. Znam to na pamięć – jak to Maurice był chłopcem na posyłki amsterdamskich prostytutek i jak to tata pomógł mu zacząć interes ze *schmutter*2.

– No i wiesz, gdy wyjeżdżaliśmy, przynajmniej miałem buty. A on? Miał tylko kilka czerwonych tulipanów i trypra. Kwiaty dał twojej ciotce Lilly, z którą w końcu się ożenił.

– A tryper? Komu go dał? Poza ciotką Lilly?

Tata jest jedyną znaną mi osobą, która uśmiecha się, opuszczając kąciki ust. Bardziej przypominałby człowieka, stojąc na głowie.

– O to musiałbyś zapytać jego samego. Herbaty?

– Przyniosłem trochę porządnej kawy.

– Będziesz musiał zrobić ją sobie sam, więc przy okazji zrób mi herbatę. Będę w salonie.

Światło jest zgaszone, ale salon rozświetla ekran telewizora, w którym pokazywany jest raport specjalny *Newsnight*.

– Jak chcesz, możesz podgłośnić. Nie będzie mi przeszkadzać – mówię.

– Nie trzeba. Wystarczy mi sam ton jego głosu, jego sarkazm, on sam. – Tata wskazuje palcem na ekran. – Paxman. Przypomina mi twoją matkę, mogę przy nim nie spać pół nocy.

– Oszalałeś.

– Ja? To ty masz trzydzieści siedem lat i oglądasz ze swoim ojcem Paxmana z wyłączonym dźwiękiem. Mam podgłośnić czy chcesz iść spać?

– Żadnych ciosów, proszę.

Tata wzrusza ramionami.

– Jesteśmy tylko w separacji.

– W separacji? Rozdzieleni jak olej i woda?

Czuję, jak kłamstwo wywraca mi kolację w żołądku. Ile razy będę go musiał okłamywać? Każdego, kto mi ufa? Po ujawnieniu mistyfikacji będą nas krytykować albo się z nas wyśmiewać. Czuję się tak bardzo wyrzucony poza nawias, że chyba nie wytrzymam bycia na cenzurowanym.

– Raczej jak wschód i zachód Niemiec. Naszym przeznaczeniem jest być razem i niedługo się zjednoczymy.

– Uwierz mi, lepiej by im się wiodło, gdyby się rozwiedli. A ciągnąc twoją analogię, zdecydowanie byłś wschodem w stosunku do jej zachodu.

– Uważasz, że tak zostanie? Odkąd jesteś specjalistą od małżeństw? Ile lat temu mama cię zostawiła? Dwadzieścia pięć?

Ojciec nie chwytą przynęty.

– Chcę tylko powiedzieć, że jesteś zbyt wielkim idealistą. Co rusz coś się wydarza, Ben, świat się zmienia. Ludzie się zmieniają. Trzeba być przygotowanym.

– O czym ty mówisz, tato?

Nie odpowiada. W drzwiach stoi Jonah. W dłoniach trzyma trzy kromki chleba i przygląda nam się z błagalną miną. Tata przywołuje go ruchem dłoni.

– Chodź, JJ, usiądź przy mnie i obejrzyj w telewizji babcię.

Jonah podkrada się do kanapy, nie wierząc w swoje szczęście. Tata przyciąga go do siebie.

– Idź do łóżka, Ben, wyglądasz na zmęczonego. Zostaw go ze mną, poradzimy sobie.

– Na pewno?

– Idź, nim zmienię zdanie.

Choć głoś jest wyłączony, nie mogę spać. Niełatwo zasnąć w pokoju z dzieciństwa, po raz pierwszy od niemal dwudziestu lat, przyglądając się śladom po usuniętych nalepkach w świetle ulicznej latarni, wpadającym przez firanki, które nigdy nie zasuwały się do końca ani nie sięgały do parapetu. Materac jest cienki i wąski, prześcieradło wetknięte po wojskowemu pod materac, a kołdra ogranicza swobodę ruchów. Najgorsze jednak jest to, że jestem w tym pojedynczym łóżku sam, co boli niemal fizycznie.

Lubię być mężem, rozpaczliwie chciałem być ojcem. Zanim poznałem Emmę, wyobrażałem to sobie jako bajkę, potem ta bajka się urzeczywistniła i trwała przez dwa lata naszego związku. Następnie urodził się Jonah i zaczęło się: lekkie chmurki i bezsenne noce. Gdy skończył trzy lata, bajka okazała się mieć drugie dno: spod czerwonego kapturka wyłonił się wielki zły wilk autyzmu.

Leżę i czuję, jak odpływam. W tej sytuacji jest coś chorego i choć jest na niby, związany z nią lęk jest obecny w każdym wymiarze, atakuje boki łóżka, wytrąca mnie z równowagi. Przez pośpiech, z jakim to wszystko się odbyło, straciłem orientację, wiruje mi w głowie, siedzę więc na krawędzi łóżka, wpatruję się w reprodukcję obrazu Lowry'ego i liczę widoczne na nim psy o nogach jak zapalki. W szufladzie szafki nocnej znajduję stare tranzystorowe radio – nastawione na Capital Radio, jak zostawiłem przed dziesiątkami lat. Wkładam wtyczkę do gniazdka i włączam odbiornik, podświadomie spodziewając się piosenek z lat 70. i 80. – aby nieco rozwodnić melancholię tego przedziwnego popołudnia – ale leci tylko hip-hop. Mija dwadzieścia minut, zanim udaje mi się złapać w miarę dobry sygnał Radio 4, po następnych trzech sekundach wystukuję numer do domu.

– To jest straszne – mówię. – Co robisz?

– Właśnie wróciłam i zamówiłam hinduskie jedzenie. – Głos Emmy brzmi sennie, zgłoski lekko się rozmywają.

– Nie za późno?

– Ben, jest dopiero dziesiąta. Co u Jonaha?

– Jadł wędzonego łososia.

W słuchawce słychać dzwonek do drzwi.

– Muszę otworzyć, to moje curry.

– Porozmawiamy jutro?

– Ben, nie wytrzymam omawiania tego co wieczór. Zadzwoń do ciebie. Poza tym i tak wysyłają mnie na kilka dni do Hongkongu. Może będę musiała zostać tam przez miesiąc.

– Miesiąc! Kiedy zamierzałaś mi o tym powiedzieć?

– Posłuchaj, sama się dopiero dziś dowiedziałam. – Emma wzdycha. – Będziesz musiał sobie jakoś z tym poradzić. Musisz iść do szkoły, powalczyć z władzami i załatwić

sprawę z adwokatem. Wszystko jest w teczce. Musisz wszystko dokładnie przeczytać.

– Przecież wiesz, że nie jestem w stanie czytać o Jonahu.

– Nie możesz pozostać ponad wszystkim. Sytuacja nie należy do najprzyjemniejszych i nie możesz dalej zgrywać ignoranta. Nie możesz być jego tatą tylko na dobre czasy.

Niezbyt miło słyszeć coś takiego.

– W porządku, nie ma sprawy. Gdzie znajdę tę teczkę?

– Włożyłam ci do bagażnika w samochodzie. Masz do pomocy ojca, pogadamy o wszystkim mailowo. To nie takie straszne. Uściśnij ode mnie Jonaha.

I to by było na tyle.

Czuję się jak wyrzucony na brzeg rozbitek. Mam mętlik w głowie, jestem zdezorientowany. Miesiąc? Ciągłe wyjeżdża służbowo, ale akurat teraz? To nie może być zbieg okoliczności. Mógłbym być u niej w dziesięć minut. Zamiast tego ostrożnie schodzę na dół i biorę wiekową butelkę whisky na towarzyszkę do łóżka. Wystarczy kilka minut, a rozlega się tupot stóp mojego ojca i syna. Stoją u szczytu schodów, tata w dalszym ciągu gada, opowiada swoje głupoty jedynej osobie, która go słucha. Biedny Jonah.

– JJ, dobrze się dziś bawiłeś? Byli dla ciebie mili w klubiku? Jest kilka spraw, o których chcę ci powiedzieć, ale musisz mi obiecać, że nikomu tego nie powtórzysz. To będzie nasza tajemnica, tylko między nami. Daj mi rękę, musimy to potwierdzić uściskiem dłoni. Dobry chłopak... od czego tu zacząć? Obawiam się, że nie jesteś najlepszy z geografii, opowiem ci więc na początek nieco o naszej rodzinie. Mój dziadek, czyli twój prapradziadek, był ważnym człowiekiem. Był wykształcony i mądry, ale nie używał wielu słów. Coś jak ty, JJ, no. Mieszkał w pewnej wsi na Węgrzech, niedaleko miasta Balaton, nad pięknym jeziorem. Cała nasza rodzina mieszkała tam w spokoju przez wiele pokoleń. W każdym razie Josip był człowiekiem z zasadami – coś jak twój ojciec, JJ – a jako handlarz miał dużo do czynienia z miejscowym hrabią, który nazywał się Szelezny – dość przyzwoitym człowiekiem, choć trochę nienawidził Żydów. Ja się urodziłem w Budapeszcie. W zasadzie są to miasta – Buda i Peszt – podzielone rzeką Dunaj, ale połączone wielkim mostem. No cóż, JJ, Friedmanowie – tak brzmiało wtedy nasze nazwisko – byli tam dość szczęśliwi. Byliśmy dobrą rodziną, dużą, a twój prapradziadek – mój ojciec – Louis, był lekarzem. Jako doktor miał wielu pacjentów i dobrze nam się żyło.

Friedman? Zmieniliśmy nazwisko? Wściekły, wypadam z pokoju i jedynie widok Jonaha powstrzymuje mnie od rzucenia się na ojca.

– Możemy coś dla ciebie zrobić? – pyta ojciec, lustrując mnie od stóp do głów, po czym kontynuuje, jakby mnie nie było. – Twój ojciec urodził się tutaj, więc jest Anglikiem, pierwszym w naszej rodzinie. Ty jesteś drugim. Nie wiem, czy zdajesz sobie z tego sprawę, ale jesteście Żydami. Nie jest to łatwe, ale dobre.

Odchodzę, zastanawiając się, w jaki sposób kazać mu się z tego wytłumaczyć, przy okazji go nie zabijając. Czyżbym był obiektem jego eksperymentu psychologicznego: odcięcia mnie od wszelkich bodźców i sprawdzania, jak bardzo od tego zwariuję? Dlaczego nigdy mi tego nie powiedział? Pytałem, oczywiście, nieraz o naszą rodzinę, ale zbywał mnie krótkim ruchem lewej dłoni i pięcioma słowami: „posłani do gazu przez

hitlerowców”. Jakby bawiło go, że nie mogę złapać wyraźnego kursu, niczym ponton na fali.

Gdy skończyłem trzydziestkę, spędziłem kilka miesięcy na przeszukiwaniu stron internetowych poświęconych genealogii, baz danych dotyczących ofiar Holocaustu i historii, ale niczego nie znalazłem. Teraz to jasne: szukałem nie tego cholernego nazwiska, co trzeba. Do dzisiejszego dnia mogło się wydawać, że Georg Jewell któregoś dnia zmaterializował się z niczego, albo zostaliśmy – ja także, jako jego przedłużenie – ulepieni z gliny jak Golem.

Nie mogę znieść myśli, że pytam go o to ponownie, a on znowu unika odpowiedzi. Najchętniej wydusiłbym z niego prawdę za pomocą pentotalu sodu i sekatora. Wciskam twarz w poduszkę. Niech opowiada swoje przypowieści Jonahowi, ja się napiję jego whisky, aż stracę przytomność.

– Jaki dziś dzień? – charczę.

– Poniedziałek. Masz.

Tata podaje mi filiżankę kawy. Z mlekiem, smakuje paskudnie. Odpłynąłem dopiero o czwartej i obudziłem się spanikowany, ale jakimś cudem Jonah jest gotowy, pomijając bluzę, która jest tył na przód.

– Dzięki, tato.

Dzwoni telefon i tata rusza w jego kierunku, odwracając się do mnie plecami. Chwilę rozmawia ściszym głosem i wraca z notatką na kartce.

– Masz być w szkole Jonaha o dwunastej.

– Jezu, zapomniałem... – jęczę. – Spotkanie w sprawie przeniesienia. To oni dzwoniли?

– Nie. Chcesz go dokądś odesłać?

– Emma? Dlaczego nie dałeś mi słuchawki?

– Chodziło jedynie o wiadomość. A więc chcesz go wysłać do innej szkoły?

– Porozmawiamy o tym później, muszę wziąć prysznic.

– Odpowiedz, Ben.

– Potem, tato.

Gdy jestem na schodach, krzyczy za mną:

– Emmy nie będzie, więc ja pojedę z tobą.

Wystawiam głowę za balustradę.

– Nie.

– Tak.

– Nie, tato. Opowiem ci o wszystkim później.

– Ten samochód to kompromitacja.

– To pojazd użytkowy.

– Do czego miałby ci być potrzebny pojazd użytkowy?

Tata macha nogą przed fotelem, wzbijając w powietrze koperty i opakowania po papierosach.

– Przestań, proszę. – Tata odpina pas i schyla się po kartkę papieru. Wyciąg z konta.

– Jeśli natychmiast tego nie zostawisz, zatrzymam samochód i będziesz mógł wracać do domu na piechotę.

Ostentacyjnie wypuszcza kartkę z dłoni i papier opada na podłogę.

– Zapnij cholerny pas, a gdy będziemy na miejscu, nie odzywaj się.

Przeciąga palcami po ustach, jakby zamykał suwak.

Dałbym wiele, aby poobserwować Jonaha w klasie i zobaczyć na własne oczy rzekome cuda, jakich dokonują specjaliści. Jeśli mnie jednak zauważy, rozkojarzy się, lepiej więc, gdy obaj zaczekamy w pokoju rodzinnym na panią Porter, dyrektorkę szkoły. Siedzimy w milczeniu, z ciepłymi napojami na kolanach, przed rozłożonymi na stole najnowszymi raportami szkolnymi, jakoby dowodzącymi postępów Jonaha.

Pani Porter wpada do pokoju jak bomba, za nią wychowawczyni Jonaha, Maria, i potężna jasnowłosa protokolantka.

– Przepraszam przepraszam przepraszam, panie Jewell.

Uśmiecham się do niej, Marię pozdrawiam ruchem dłoni. Siadają we trzy naprzeciwko nas.

– Więc jak, pańskim zdaniem, Jonah sobie radzi? – pyta pani Porter.

– Przyjechaliśmy po to, żeby pani nam o tym powiedziała, więc niech nam pani to powie. – Patrzą w kierunku taty, prowokacyjnie posyłając mu sygnały oburzenia.

Tata wzrusza ramionami.

– Przepraszam, a kim pan jest? – pyta pani Porter.

– Georg Jewell... jestem dziadkiem Jonaha.

– No cóż, jak pan zapewne wie, zebraliśmy się w celu omówienia przeniesienia Jonaha z końcem roku szkolnego do gimnazjum.

– Jakiego gimnazjum? – pyta tata.

Pani Porter spogląda na mnie i kiwa głową.

– No cóż, świadczenia dzielnicy bez przerwy się rozwijają w postaci szeregu zwykłych szkół średnich, które albo już mają, albo otworzą we wrześniu komórki integracyjne. Biorąc pod uwagę oczywiste ograniczenia Jonaha, uważam, iż wszyscy zgodzimy się z tym, że, jak zostało stwierdzone w liście z urzędu, preferowaną opcją dla Jonaha jest gimnazjum imienia Maureen Mitchell.

– W takim razie będzie chodził do Maureen Mitchell – stwierdza tata. Wszyscy na niego patrzą. – To by było na tyle.

– Nie będzie tam chodził – mówię.

– Panie Jewell – przerywa mi pani Porter. – Maureen Mitchell została w ostatnich trzech latach całkowicie zrestrukturowana i jest obecnie w naszej dzielnicy specjalistycznym świadczeniem autystycznym drugiego stopnia. Ściśle z nią współpracujemy i stosują tam te same metody co my, więc w efekcie jest to nowy ośrodek, ale równocześnie rozszerzenie tutejszego.

Tata uśmiecha się, z zadowoleniem splatając dłonie na brzuchu.

– Czy mogłaby pani potwierdzić, że Maureen Mitchell jest tak samo dobra jak Roysten Glen? – pytam.

Pani Porter waha się.

– No cóż, wejście na pełne obroty zajmie im nieco czasu. Roysten Glen działa już osiemnaście lat, ale... z naszą pomocą Maureen Mitchell uniknie wszystkich błędów, które myśmy popełnili.

– To znaczy, jeśli dobrze rozumiem, mówi pani, że Maureen Mitchell nie jest obecnie tak dobra jak tutejsza szkoła i osiągnięcie waszego poziomu zajmie jej nieco czasu, tak?

– Co jest nie do uniknięcia, ale... podejrzewam, że to prawda. Tak.

– I może to potrwać kilka lat?

– Tak, to realne założenie. Tak podejrzewam. Zapewniam jednak, że regularnie się z nimi konsultujemy.

– Dobrze. Świetnie, konsultacje to świetna rzecz. Sądzi pani, że Jonah może sobie pozwolić na czekanie dwa lata, aż ta nowa „szkoła” pozbiera się do kupy?

– No cóż, powiedziałabym, że...

– Pozwoli pani, że ujmę to inaczej: jak długo Jonah był u was?

– Sześć lat.

– Przybył ubrany w pieluchę i odejdzie stąd także z pieluchą w gaciach. Po sześciu latach najlepszej opieki specjalistycznej, jaką dzielnica jest mu w stanie zapewnić, mój piękny syn wciąż nie jest w stanie samodzielnie skorzystać z toalety. Niech mi więc pani powie, jak będzie brzmieć nowe, wymyślone na poczekaniu, usprawiedliwienie kolejnych niezbędnych dla mojego syna świadczeń, jeżeli przez następne sześć lat nie nauczycie go korzystać z kibla?

Pani Porter wygląda na oburzoną, Maria na zdruzgotaną i robi mi się głupio. Lubię Marię – dba o Jonaha.

– Wie pan, jak różne są te dzieci...

– Nie obchodzi mnie to, pani Porter. Mówimy wyłącznie o moim synu.

Przeglądam roczne sprawozdanie na temat Jonaha. Drżą mi dłonie.

– Umiejętność czytania i pisanie, umiejętność liczenia, przedmioty ścisłe, wychowanie religijne, geografia, historia. „W tym semestrze Jonah z przyjemnością uczył się o epoce wiktoriańskiej” – czytam na głos ze sprawozdania. – To niesamowite – zwracam się do Marii. – Tata opowiadał mi wczoraj wieczorem o niezwykle pouczającej rozmowie z Jonahem o niegodziwości systemu przytułków³. Jonah uważa, że ich pensjonariusze sami sobie na nie zasłużyli biedą.

– Nic takiego nie mówiłem – wtrąca tata.

– Zamknij się!

Pani Porter uśmiechem i wystudiowanym przekrzywieniem głowy wyraża współczucie i zarazem demonstruje, że została zraniona.

– Przepraszam, pani Porter, Mario, był u was szczęśliwy, ale nie zrobił żadnych postępów i to jego ostatnia szansa na odrobinę godności. Chcę, aby poszedł do Highgrove Manor. To szkoła z internatem. Proszę obejrzeć sobie ich stronę internetową, to zrozumiecie panie dlaczego. Bardzo mi się podobał sposób, w jaki dbałyście o mojego syna, ale zrozumcie mnie: czy gdyby był „normalny” i nie umiał po ukończeniu szkoły podstawowej czytać, nie byłiby wszyscy wkurzeni na maksa?

– Panie Jewell, podziwiamy pańską troskę o przyszłość Jonaha, zwłaszcza biorąc pod uwagę ostatnie zmiany w pańskiej sytuacji rodzinnej, ale naprawdę uważamy, tak samo jak służby socjalne, że wyrwanie Jonaha ze społeczności byłoby niekorzystne...

Tata potwierdzająco kiwa głową.

– Społeczności składającej się z jednej osoby – mówię.
– Społeczności, w której się wychował, i zapewniam, że Maureen Mitchell będzie wybijającą się szkołą. Był pan tam?

Niechętnie przyznaję, że nie.

– Mario, mogłabyś dać panu Jewellowi broszurę?

Maria znika na kilka minut, ja z tatą skracamy sobie czas grą w „tenisa złymi spojrzeniami”. Maria wraca, przyciskając do piersi kolorowy prospekt, i rusza za nami, gdy idziemy w stronę parkingu.

– Panie Jewell?

Obaj podnosimy wzrok.

– Ben... moglibyśmy chwilę porozmawiać?

Daję tacie kluczyki do samochodu i odchodzi, wyraźnie wściekły. Siadam z Marią na ławce przy okrągłym trawniku, obsadzonym krzakami.

– Będę tęsknić za Jonahem – mówi Maria, wpatrując się w czubki swoich butów. – Jest tak kochany...

– Bez dwóch zdań.

– Często się zastanawiam, jakie byłyby moje dzieci bez autyzmu, ponieważ mimo wszystkich tików, natręctw i trudności osobowości tych dzieci i tak przeświecają. Zauważył pan to?

– Zauważyłem, choć zawsze się zastanawiałem, czy ktokolwiek inny to dostrzega albo stara się zauważyć.

– Wystarczy się nieco uważniej przyjrzeć. Chcę powiedzieć, że Jonah... – Maria przerywa, wciąga powietrze, po czym spogląda na mnie, jakby czekała na pozwolenie na kontynuację.

– Niech pani mówi dalej.

Gdy mówi dalej, jej oczy się śmieją, a głos ma mocny i zdecydowany.

– No tak... wyobrażam sobie Jonaha przechadzającego się po kampusie jakiegoś uniwersytetu, jego szalone włosy rozwiewa wiatr, obok idzie bardzo ładna, drobna, długowłosa dziewczyna, która z podnieceniem coś do niego mówi. Jonah studiuje filozofię albo anglistykę, stale spóźnia się na pierwsze wykłady i wie, jak sprawić, aby ludzie się śmiali. Pasuje to panu?

Odwracam się, aby nie dostrzegła smutku w moich oczach. Maria właśnie naszkicowała idealny portret mnie w wieku dwudziestu lat. Widzi w Jonahu mnie. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że takie dziedzictwo może mieć miejsce – jakby autyzm nie tylko łamał serca, ale przerywał także łańcuchy DNA. Spostrzegawczość Marii i jej troska o Jonaha otworzyły mi oczy. Jest nie tylko moim autystycznym synem – jest moim synem.

– Panie Jewell, zdenerwowałam pana?

Kładzie mi dłoń na ramię.

– Nie, proszę się nie przejmować. – Sięgam za głowę, by ująć jej dłoń. – To tylko melancholia, nic więcej.

Siedzimy przez kilka minut, każde z nas zagłębione we własnych myślach. Nie umiem wyrzucić z głowy obrazu Jonaha-studenta.

– Panie Jewell, naprawdę uważam, że Jonah zasługuje na wszystko, o co pan się

dla niego stara, i tego potrzebuje. Gdybym była w stanie, chętnie bym pomogła.

– Pani Mario, to co pani mówi, jest bardzo podnoszące na duchu, ale mogłaby się pani przez to znaleźć w niezręcznej sytuacji.

Kiwa głową na potwierdzenie.

– Mój numer telefonu i adres e-mail zapisałam na karteczce, którą włożyłam do broszury. – Podaje mi ją. – Naprawdę, gdyby pan czegokolwiek potrzebował, pomocy przy Jonahu, czegokolwiek... – Zagryza wargę. – Wiem, że w tej chwili wszystko się dla pana i Jonaha skomplikowało, więc proszę się nie wahać, dobrze?

– Dziękuję – odpowiadam szeptem.

Wracam do samochodu, ściskając niczym kwit z parkometru wydrukowany na błyszczącym papierze folder. Gdy wsiadam, tata mruczy coś pod nosem. Gdy zatrzasnę drzwi, szyby natychmiast parują od środka.

– Brawo – mówi tata.

– Mógłbyś się po prostu zamknąć – na zawsze?

Następne dziesięć minut, które tkwimy w korku, mijają w milczeniu, czuję jednak, jak świerzbi go język. W końcu musi rozdrapać ranę.

– Kto wymyślił ten plan?

– O czym ty mówisz?

– O pomysłe z odsyłaniem go.

Mam ochotę rwać sobie włosy z głowy. Zapalam papierosa.

– Chcesz, żebyśmy dostał raka? Zgaś tego papierosa i odpowiedz na moje pytanie, Benjaminie.

Zapalam silnik.

– Nic z tego.

– Mam prawo wiedzieć. Jestem jego dziadkiem.

– Od czego mam zacząć?

– Może od wyjaśnienia, dlaczego nie widziałem cię od Jom Kippur i nagle mam się cieszyć, mając cię za lokatora.

Gaszę silnik.

– Jaki ty jesteś tępy!

– I ty to mówisz! – Tata dźga palcem powietrze. – Doszedłem do czegoś, nie mając wszystkich przywilejów, które ci zapewniłem...

– Oczywiście, spędziłeś życie na zmywaniu syfu z talerzy. Wspaniale. – Moja złość natychmiast zmienia się w poczucie winy. – Przepraszam, to było nie na miejscu.

Wyraz twarzy taty łagodnieje.

– Może, ale nie było w tym kłamstwa. Nie chodzi o to, co robisz, Ben, ale dlaczego to robisz. Jesteś nieszczęśliwy, prowadząc firmę?

– Zauważyłeś?

– Nie potrzebuję twojego sarkazmu, gdy próbuję rozmawiać z tobą jak z dorosłym.

– Tato, jestem dorosły.

Oto punkt, w którym wszystko zawsze się załamuje. Coś mówię, ale czy sam w to wierzę? Jestem dorosły? Chcę być dorosły? Czuję się jak dziecko, które rozpaczliwie chce się wkręcić na imprezę starszego brata. Jak czternastolatek, którego nie wpuszczono na

film od lat osiemnastu, choć wszyscy rówieśnicy weszli. Rozglądam się po moich kumplach, patrzę na Emmę i jestem speszony. Skąd wiedzą, co robić? Jak się zachowywać?

Odwracam się nieco w stronę taty.

– Dlaczego zawsze czuję się tak, jakbym musiał pytać cię o zgodę, aby zrobić cokolwiek? Mam nawet wrażenie, że pieniądze w mojej kieszeni należą do ciebie albo do Emmy.

– Benjaminie, czy po tym, jak poprosiłeś mnie, abym przestał przychodzić do magazynu, nie przestałem przychodzić?

– Dopiero po Bożym Narodzeniu. A przedtem przychodziłeś co tydzień, zaglądałeś mi przez ramię, mówiłeś Valentine’owi, co ma robić, cmokałeś, sprawdzałeś dostawy.

– Cokolwiek mówiłem?

– Nie musisz nic mówić.

– Podoba ci się tam bardziej, gdy mnie nie ma?

– Mniej nienawidzę to miejsce.

– Ben, interes nie jest moim synem. Ty nim jesteś. Czy gdybym dał ci pozwolenie na zerwanie z rolą ofiary, zrobiłbyś to?

Drań.

– Nie jesteś moim terapeutą.

– I nie każę sobie płacić. Jak możesz jednak uważać, że cokolwiek z tego wszystkiego to wina Jonaha? Dlaczego chcesz odbierać nam okazję do widywania się? Żeby nas ukarać? Za co?

Wbijam wzrok w pedały i kręcę głową.

– Jom Kippur, tato.

– Pamiętam. O co chodzi?

– Włączyłeś służbową komórkę.

– Jaki sens, żeby była wyłączona?

– Odebrałeś, obiecałeś w moim imieniu, kazałeś mi zostawić rodzinę o czwartej po południu w Jom Kippur, żeby zawieźć dziesięć jebanych talerzyków deserowych do Knight-bridge. Dlaczego tak nisko cenisz mój czas? Ta zasrana komórka jest jak narzędzie tortur. Dlaczego zawsze wysyłasz mnie jak robota?

– Słucham? Miałem zadzwonić do Valentine’a i zmarnować mu dzień? I za coś takiego mnie karzesz? Pytam więc ponownie: co to za bzdura z odsyłaniem Jonaha?

Gdzie na świecie znajdę nieco spokoju? Siedzę na zamkniętym sedesie, palę i popijam wódkę z piersiówki, próbując przy tym czytać *Jądro ciemności*, jak na mój obecny gust książka jest jednak zbyt lekka. Przez ścianę czuję łup, łup, łup obracającego się ramienia przemysłowej zmywarki i słyszę niemal metaliczne odgłosy ruchów Valentine’a, załadowującego i rozładowującego talerze. Chorobliwie słodki odór dwudniowego curry wisi w powietrzu niczym chmura gorąca. Wyłączyłem służbowy telefon.

Drzwi kabiny gwałtownie się otwierają, niemal urywając mi nos.

Johnny lustruje mnie z góry na dół niczym eksponat.

– Nikt ci nie mówił, że przed sraniem lepiej ściągnąć spodnie?

– Co tu, do kurwy nędzy, robisz?
– Valentine klnie na ciebie jak szewc. Na twoim miejscu bym się bał.
– Co tu robisz, Johnny? – Zamykam książkę, wsuwam butelkę do kieszeni i rzucam papierosa na podłogę.

– Martwiłem się o ciebie. Nie odbierałeś moich telefonów, schamiały draniu.

– Miałem trochę problemów w domu.

– Wiem.

– Wiesz?

– Co mam powiedzieć? Dziewczyny plotkują.

Wychodzimy z toalety. Wyglądam zza rogu, by sprawdzić, co z Valentine'em. Zauważa mnie.

– Co jest?

– Wyskakuję na chwilę z Johnnym. Sprawy służbowe.

– A co z myciem? Nie mogę wszystkiego robić sam.

– To potrwa tylko godzinę.

– Wczoraj też tak mówiłeś i tyle cię widziałem.

– W takim razie idź teraz na lunch.

– Nie jestem głodny. Dopiero jedenasta.

– No to... rób, co możesz. Na razie.

Johnny szczyrzy zęby w uśmiechu.

– Przydałoby ci się szkolenie menedżerskie.

– Przydałoby mi się piwo. Chodź.

– Jesteś strasznie tajemniczy – mówi Johnny.

– Na pewno nie chcesz piwa?

– Trochę za wcześnie jak na mnie. No to co się dzieje, Ben?

– Prawdopodobnie wiesz więcej ode mnie.

– Hm... wiem, że mieszkasz u taty, a Emma odeszła.

Wydaję z siebie cichy jęk.

– Co się stało? – pyta Johnny.

– Wszystko się poukłada. Wyjechała zawodowo.

Rzuca mi spojrzenie dające do zrozumienia, że nie bardzo w to wierzy.

Opuszczam głowę do kufla i biorę kilka łyków guinnessa. Może powinienem go wtajemniczyć? Niestety lubi naśmiewać się z mojej głupoty. Przez ponad trzydzieści lat, jakie się znamy, nigdy się w niczym nie potknął – no, prawie. Jestem jego przeciwieństwem i zastępczą ucieczką.

Tylko raz miałem okazję uratować go tak, jak regularnie on wyciąga mnie z tarapatów. Nie zawsze było u niego tak dobrze z kasą jak dziś i gdy mieliśmy po szesnaście lat, dostałem łomot za dług w pokerze, którego nie spłacił. Gdyby jego rodzice się dowiedzieli, ile grał, i w związku z tym ukradł i sprzedał, zabiliby go. Tata łyknął moje wyjaśnienie, że zostałem napadnięty, i bez słowa dał mi butelkę wody utlenionej na przemycie ran.

– Co Amanda ci powiedziała? – pytam, bo żona Johnny'ego i Emma są najlepszymi przyjaciółkami.

– Tylko tyle że Emma jest wykończona, rozbita i kończy jej się cierpliwość do ciebie. Nie brzmi to, jakby wszystko miało się poukładać, Ben. Dlaczego się uśmiechasz?

Nawet tego nie zauważyłem, ale myśl o naszym wspólnym sekrecie i godnej nagrody grze aktorskiej Emmy w jakiś dziwny sposób mnie kręci. Tak prawdopodobnie czują się ludzie, którzy mają romans. Pobudzające połączenie ryzyka i podniecenia. Zaczynam się wręcz obawiać, że powiedziałem za dużo, okazałem nadmierny optymizm. Daję Andrei znak, by podała mi jeszcze jedno piwo.

– Co mam, twoim zdaniem, powiedzieć? – pytam.

– Chcę tylko, abys wiedział, że możesz na mnie polegać, dobra?

No i czuję się jak oszust.

– Posłuchaj, Johnny... chodzi o to, że...

– Co?

– To nie naprawdę.

– O czym ty mówisz?

– O separacji. Robimy to tylko po to, aby przepchnąć sprawę w trybunale.

– To teatr?

Kiwam głową. Johnny przygląda mi się z boku, jakby nie mógł się zdecydować, jak mnie ocenić, a jego sceptycyzm sprawia, że grunt pod moimi nogami robi się gąbczasty i miękki.

– Jeśli to ma być przedstawienie, wygląda na dość, że tak powiem, skrajne – stwierdza Johnny po chwili, jakby chciał się wycofać, ale nie bardzo mu to wychodzi. – Usłyszałem tylko fragment rozmowy Amandy z Emmą, ale prawdopodobnie coś nie tak zrozumiałem.

Piję bez słowa, aby złagodzić bolesny skurcz strachu.

– W każdym razie, ponieważ już tkwicie w tej absurdalnej sytuacji, czy mogę coś dla ciebie zrobić?

– Przydałoby mi się nieco pomocy przy Jonahu. Towarzystwo na pewno by pomogło.

– Żaden problem. Tom z przyjemnością się z nim spotka. Zadzwoń do mnie, to coś ustalimy. – Spogląda na zegarek. – Niestety, muszę wracać, ale zadzwonisz do mnie, tak?

– Zadzwonię. Dzięki.

Obejmujemy się na pożegnanie i Johnny wychodzi. Patrzą przez okno, jak idzie pewnym krokiem do metra i znika mi z oczu.

Dlaczego go nie nienawidzę? Gdy się mnie ratuje, przyjmuję to z pogardą, tym większą, im bardziej kogoś znam. Gdy muszę prosić o pomoc, czuję się mały, wrażenie to nasila się, jeśli pomoc jest nieproszona, jak często bywa w przypadku ojca albo Johnny'ego. To kompleks rycerza: gdy ktoś ratuje ci życie, ma się dług wdzięczności do końca życia, nawet jeśli zobowiązanie nie istnieje ani druga strona nie daje odczuć, że go oczekuje. Nienawidzę być dłużnikiem. Przeżyję dług wobec banku albo bezosobowego monolitu, jakim jest Urząd Skarbowy, ale dług emocjonalny? Taki, który muszę nosić ze sobą niczym plecak pełen kamieni? Pusty plecak i pierwszy kamień dostałem od rodziców w ramach prawa przysługującego z urodzenia i zapelniali go kolejnymi rok po roku, nigdy mi jednak nie pokazali, jak rozpakowywać plecak. Potrzebuję geologa, archeologa

i psychologa i nie mogę oczekiwać, aby mój najlepszy przyjaciel spełnił te wszystkie trzy role.

Zegar z Bell's Whisky informuje, że minęło właśnie wpół do drugiej i grubo przekroczyłem godzinę powrotu. Telefon służbowy pozostaje wyłączony. Emma nie zadzwoni, właśnie spotkałem się z Johnnym, a ojciec nie dzwonił do mnie od dziesięciu lat – pojawia się jedynie jak komornik z młotkiem. No i oczywiście w najbliższej przyszłości na pewno nie zadzwoni Jonah. Zanurzam się więc jak hipopotam w błoto anonimowości, dystansuję od powabu przytulności i chwały rozmowy o tynkowaniu, dumam o żonie, martwię się o żonę, tęsknię za swoim życiem.

1 Marmite – ciemnobrązowa, intensywnie pachnąca pasta na bazie drożdży, powstająca jako produkt uboczny warzenia piwa. Używana w Wielkiej Brytanii do kanapek, zup, mięs i marynat.

2 *Schmutter* (jidysz) – szmaty.

3 W oryginale „workhouse” – domy te miały służyć jako przytułki dla osób niezdolnych do samodzielnego utrzymania się, w epoce wiktoriańskiej były jednak zwykle zorganizowanymi na podobieństwo więzienia zakładami pracy przymusowej.

Klaun



SZKOŁA IM. MAUREEN MITCHELL

DLA DZIECI Z ZABURZENIAMI ZE SPEKTRUM AUTYZMU

231 HIGH ROAD
GREYBOURNE
WYNCHGATE
LONDYN N32 1AQ

DYREKTOR: DR C. WARDLE

DYREKTOR ZARZĄDZAJĄCY: M. HENRY

3 lutego 2011 r.

Szanowny Panie Jewell,

dziękujemy za telefon w sprawie wizyty w Szkole im. Maureen Mitchell.

Z przyjemnością potwierdzam termin spotkania oprowadzającego dla Pana w czwartek 14 lutego 2011 roku.

Jestem pewna, że z radością odkryje Pan, co nasza szkoła ma do zaoferowania Pańskiemu synowi Jonahowi.

Jeżeli data Panu nie odpowiada, proszę o kontakt pod numerem tel. 020 8555 2319 wewn. 658 w celu jej zmiany.

Jeżeli data Panu odpowiada, czekam na Pańską wizytę.

Z pozdrowieniami
Diane Caulfield
Zastępca dyrektora

Cały jestem zeszywniały, zmarznięty i przygnębiony. Walentynki, ale dowcip! W nocy cały czas budził mnie nawracający sen. Siedziałem w jumbo jecie, w ostatnim rzędzie, osaczony przez największą rodzinę świata. Podając mnie sobie nad głowami, przynosili mnie do przejścia i zaczynałem się przebijać na przód samolotu. Korytarz między fotelami ciągnął się kilometrami, aż za horyzont, a gdy w końcu udawało mi się dotrzeć do zasłonki, drogę blokowały mi dwie krępe stewardesy. „Idę do żony – powtarzałem. – Siedzi w pierwszej klasie”. Nie przepuszczały mnie jednak, waliły mnie z lewa i prawa, na odlew po twarzy, a zza zasłonki dolatywał śmiech Emmy...

– Miej otwarty umysł.

– Przepraszam, tato, co to było?

– Miej otwarty umysł – powtarza tata.

Jonah pojechał do szkoły i siedzimy w kuchni, pijąc kawę.

– Mam całkowicie otwarty umysł.

– Pusty na pewno.

– Wcale nie. Jestem kompletnie otwarty na fakt, że wszystko kompletnie się posra.

– Emma nie mogła przyjechać?

– Postanowiliśmy, że najlepiej będzie, jeśli na razie ja się wszystkim zajmę. Ufa mojemu osądowi.

– Odważna.

Ignoruję sarkazm i dopijam kawę.

– Rusz się. Idziemy.

Tata idzie za mną korytarzem. Drzwi wejściowe są otwarte i cierpliwie czeka w nich Maurice. Jest niski i pulchny. Ropuch z Ropuszego Dworu₁ w błyszczącym, czarnym jak węgiel garniturze. Mój nos wyczuwa smród starego cygara.

– Jedzie z nami?

– Przyda mu się dzień wolny.

– Co jest złego w Cliftonville? Wycieczki autokarowe ruszają z dworca autobusowego Golders Green. – Całe moje życie to jeden, niekończący się film *noir*, kręcony przez zasłonę dymu z cygar Maurice'a, ale ich zapach stał się z biegiem czasu dziwnie uspokajający. Jest ze mną na dobre i złe.

– Jeszcze nie ogłuchłem – skrzeczy Maurice.

– Ale przez najbliższych kilka godzin mógłbyś udawać, że tak.

– Czarus z tego twojego syna. – Nawet po tylu latach pobytu w Anglii „ś” wymawia jak „sz”.

– Maurice nie będzie się odzywał i będzie wyglądał na zaintrygowanego. Prawda, Maurice?

– Absolutnie, niech Bóg broni.

„Za czterysta metrów dotrzesz do celu”.

– To mapa satelitarna – rzuca tata przez lewe ramię.

– Wiem, co to jest. Sądzisz, że jestem idiotą? Że nie mam pojęcia o technologii?

Zobacz!

Macham mu iPhone'em.

– No proszę: aplikacje... ważniejsze niż megiloty².

Szukam miejsca do zaparkowania na koszmarnej ulicy z niekończącym się zakazem. Bębniący o dach deszcz i zaparowane okna nie ułatwiają zadania. Konieczność przejścia dwustu metrów do bramy szkoły – klatki z drutu kolczastego z domofonem, wyciętej w przytłaczającym siedmiometrowym metalowym płocie – nie poprawiła Maurice'owi humoru. Gdy wciskam przycisk, stoi kilka metrów z tyłu, z zasłoniętymi dłońmi ustami, zlewany strugami deszczu.

– Idziesz czy nie?

– Zostaw go, Ben. Maurice, po drugiej stronie ulicy jest kawiarnia. Idź na śniadanie, przyjdziemy po ciebie.

Maurice cofa się przez błyszczącą jezdnię, z domofonu dolatuje stłumiony głos, wypowiadający jakieś niezrozumiałe słowa, i rozlega się brzęczyk.

Korytarz jest wąski, urzędowo zielony i nienaturalnie cichy. W oczekiwaniu na przewodnika padamy na dwa plastikowe, tapicerowane krzeselka.

– Co go napadło?

– Czasami coś napawa go lękiem, to wszystko.

– Nie wygląda na lękliwego.

Tata kiwa z powagą głową.

– Pan Jewell?

Wstajemy i obaj wyciągamy dłonie do ostrzyżonej jak rekrut kobiety w wieku trzydziestu kilku lat, kiwającej się na piętach dobrej klasy adidasów.

– Ojciec Jonaha? – pyta kobieta.

– To ja. Ben Jewell. A to jego dziadek, Georg Jewell.

– Nazywam się Diane Caulfield, jestem zastępczynią dyrektora. Miło mi panów poznać. Rozumiem, że we wrześniu Jonah do nas dołączy?

– Jeszcze nie do końca się zdecydował – odpowiadam.

– Oczywiście, że się zdecydował. Pozwólcie panowie za mną. Sądzę, że... że zaczniemy od klasy siódmej, która będzie po przybyciu Jonaha jego bazą.

Idziemy gęsiego na koniec korytarza i zatrzymujemy się, aby przyjrzeć się przez szybę w drzwiach dziewiątce dzieciaków siedzących w półkolu przed nauczycielką. Gdy pani Caulfield dostaje sygnał w postaci skinienia głową, wpuszcza nas do środka. Wracają wspomnienia. Jest nieco mniej elegancko, dzieci są większe, ale ogólne wrażenie jest mniej więcej takie samo. Pojedyncze miejsca pracy – małe biurka z przepierzeniami, aby odciąć od rozpraszających bodźców, małe czterozufladowe pomocniki na kółkach, szeregi kart PECS³ na rzepach – znajdujące się na nich proste rysunki kojarzą mi się z symbolami na bębnach jednorękiego bandyty, okna z pojedynczymi szybami, aby jak najszybciej parowały, ale ani jednej toalety. Żadnej przylegającej łazienki.

– Wszystkie dzieci w klasie same się załatwiają? – pytam.

– Może jedna z dziewczynek, pozostałe mają pieluchy.

– Więc gdzie jest toaleta?

– W głębi korytarza, niedaleko głównego wejścia, jest szereg kabin. Musieli je panowie mijać w drodze do klasy.

– Jakie stosujecie metody, aby nauczyć dzieci samodzielnie się załatwiać?

Pani Caulfield patrzy na mnie zdezorientowana.

– No cóż – wyjaśniam – w Roysten Glen każda klasa ma własną toaletę, więc dzieci mogą być tam prowadzone co piętnaście minut czy coś koło tego, mimo to niemal codziennie odbieram razem z Jonahem parującą plastikową torbę. W jaki więc sposób zamierzacie utrzymać mojego syna suchego, jeśli toalety są w drugim końcu szkoły?

– Znacznie praktyczniejsze jest umieszczenie toalet tam, gdzie będą najlepiej służyć wszystkim potrzebom dzieci. Przed przebudową szkoły prowadziliśmy długotrwałe konsultacje.

– Naprawdę? Czyli w szkole dla dzieci autystycznych zmuszanie ich do biegania w tę i z powrotem korytarzem, tak na wszelki wypadek, bo może akurat zechcą się zeszczuć, stanowi dowód należytej dbałości?

– Panie Jewell... zapewniam, że te dzieci mają idealną opiekę.

– Ani źdźbła trawy – mówi tata.

– Słucham? – Pani Caulfield jest lekko zbита z tropu.

Tata patrzy przez okno na prostokątne szkolne podwórze.

– Ani źdźbła trawy – powtarza. – Ani jednego drzewa.

– Nie rozumiem.

– Gdzie będzie się bawił? Nie ma trawy ani roślin. Gdzie ma znaleźć coś, co będzie mógł potrzymać przed oczami, jak lubi, pani Caulfield? Wie pani o tym, że musi czymś kręcić, żeby zachować spokój?

– Mamy salę integracji sensorycznej i miękką salę gimnastyczną. Chcieliby panowie zobaczyć?

– Nie będzie mu się w niej podobać.

– Panie Jewell, mamy mnóstwo wycieczek do miejscowego parku i jestem pewna, że Jonah...

– Proszę nie mydlić mi oczu wycieczkami. Wolę trawę i liście. Za dużo wymagam? Maureen Mitchell nie była ogrodniczką?

– Mamy trzy świnki morskie!

– Spotkamy się na zewnątrz, Ben. – I już go nie ma, idzie w kierunku wyjścia, przeklinając na głos. – Jak wydostać się z tego cholernego więzienia?

– Proszę nacisnąć zielony guzik, panie Jewell – radzi pani Caulfield.

– Ha! – krzyczy tata. – Wreszcie znalazła coś zielonego!

Pani Caulfield spogląda na mnie pytająco.

– Jonah lubi przebywać na zewnątrz – wyjaśniam. – To jego świat.

Rozlega się łoskot, trzaskają drzwi, tupią stopy, ktoś krzyczy i nagle leżę na podłodze, mając przed oczami dwa tyłki pędzące w kierunku drzwi wyjściowych. Ten, który goni, łapie lidera oburącz w niedźwiedzi uścisk.

– Odpierdol się, pizdo!

– Daj spokój, David. Wracaj do klasy.

– Wypuść mnie stąd, skurwielu!

Z bocznego korytarza wybiega drugi pielęgniarz, pani Caulfield pomaga mi wstać, mężczyźni wloką we dwóch gigantycznego „dzieciaka” z powrotem do klasy. Gumowe podeszwy jego adidasów trą o beton podłogi, głośno piszcząc. Gdy docierają do nas,

patrzy mi prosto w oczy i dźga mnie palcem w pierś.

– Co się gapisz, pojebie?

Pani Caulfield kładzie mi dłoń na ramieniu.

– To David. Jest w jedenastej klasie. Bywa czasem utrapieniem. Ma problemy emocjonalne i behawioralne. Przepraszam za to, co się stało.

– Ale z kontaktem wzrokowym problemów nie ma, prawda?

– Nie, to jeden z naszych szczególnych uczniów. Z czasów, gdy byliśmy szkołą specjalną.

– A teraz jaką jesteście? Zwykłą?

Pani Caulfield się śmieje.

– Nie. Byliśmy specjalną, zanim przyznano nam szczególny status autystyczny.

– Ale David, który właśnie „przyznał” mi status „pojeba”, raczej nie sprawia wrażenia szczególnie autystycznego.

– Nie, jest wyjątkowy.

– Już to pani mówiła. Jest najbardziej wyjątkowy? Czy są tu też jeszcze bardziej „wyjątkowe” dzieci od niego? Absolutnie wyjątkowe?

– No cóż, w dalszym ciągu mamy wiele dzieci specjalnej troski, które przebywały w naszej szkole, gdy byliśmy szkołą specjalną, zanim uzyskaliśmy szczególny status autystyczny.

– Proszę zdefiniować pojęcie „szczególny”.

– Słucham?

– Nie wyraziłem się wystarczająco dokładnie? Co ma pani na myśli, mówiąc, że Maureen Mitchell ma szczególny status autystyczny?

– Jest szkołą tylko dla dzieci z diagnozą spektrum autyzmu.

– Ale tak nie jest, prawda?

– Jest, panie Jewell. Została nią mianowana w sierpniu zeszłego roku. Mamy salę integracji sensorycznej i miękką salę zabaw.

– W marketach Jungle Jim’s też taką mają.

– Nie rozumiem.

– Doskonale pani rozumie.

Pani Caulfield patrzy na zegarek.

– Doktor Wardle powinien już być wolny. Chciałby się pan z nim zobaczyć?

– Jest mianowanym dyrektorem?

– Tak jest.

– W takim razie z przyjemnością.

Doktor Wardle ma kucyk. Ściana za jego plecami jest wytapetowana certyfikatami.

– Zostałem tu sprowadzony przez łowców głów – stwierdza. – Kawy?

– Dziękuję.

Na szafce przy jego biurku stoi automat do kawy ze szklanym dzbankiem. Napełnia dwa kubki z napisami ZACHOWAJ SPOKÓJ i ZAŁATWIAJ SPRAWY PO CICHU.

– Bezkofeinowa.

– Nie szkodzi. Panie dyrektorze...

– Nie musi mnie pan tytułować.

- Panie Wardle...
- Di pokazywała panu naszą salę integracji sensorycznej? Jesteśmy z niej bardzo dumni. Jest nieco psychodeliczna.
- Panie dyrektorze... panie Wardle, mogę być szczery?
- Oczywiście, panie Jewell, proszę kontynuować. – Splata palce i opiera na nich podbródek.
- Nie chcę, aby Jonah tu chodził.
- Da mi pan kilka sekund na wyjaśnienie? Zniesie mnie pan przez chwilę? Wyobrażam sobie nożyczki i garście pełne włosów.
- Proszę.
- No cóż, chodzi o przejście, płynność. Jonah potrzebuje stałości. Nie twórzmy mu fal, zapewnimy brak uskoków. Rozumie pan? Roysten Glen – rysuje dłonią w powietrzu niewidoczną linię – Maureen Mitchell.
- Mam kilka pytań.
- Proszę.
- Logopedia i zajęcia językowe?
- Raz w tygodniu nauczyciel z Roysten Glen.
- Terapia zajęciowa?
- W trakcie.
- Fizjoterapia?
- Jak wyżej.
- Psycholog szkolny?
- Patrzy pan na niego.
- Jest pan kwalifikowanym psychologiem szkolnym? – Zaczynam przyglądać się wiszącym na ścianie dyplomom.
- Moją pasją jest psychologia dziecięca, ale...
- Czyli nie pełnoetatowy szkolny?
- Wspominałem, że jestem też mistrzem reiki?
- Świnki morskie, słyszałeś? Ale ani jednego żdźbła, Maurice, ani jednego.
- Daj spokój, Georg – odpowiada Maurice. – Masz, spróbuj kaszanki.
- Nie ma nic lepszego od otwartego umysłu, tato.
- Są otwarte umysły i otwarte umysły. JJ lubi być na zewnątrz.
- Bear Grylls z niego żaden – stwierdza Maurice.
- Kto cię pytał o zdanie? – odwarkuje tata.
- Chciałem tylko powiedzieć, że... może ma zablokowane czakramy?
- Co ty wiesz o czakramach, Maurice? Nie jesteś Hindusem, tylko holenderskim Żydem.

Kończę kanapkę z bekonem i biorę ze stołu kluczyki.

– Chodźcie, słoneczni chłopcy⁴, chodźcie.

Wleczemy się w korku zderzak w zderzak, a oni bez przerwy się kłócą. Próbuje zagłuszyć ich muzyką z radia, ale obaj upierają się przy Radio 4. *The Archers*⁵... Jezu, obaj są uzależnieni, jakby spędzili idylliczne dzieciństwo w West Country. Podejrzewam, że w mniejszym lub większym stopniu obaj potrzebowali zacząć od nowa. Patrę na ojca.

Ma wyrazisty profil, kanciastą szczękę – w młodości musiał być zajebisty.

Z prawej strony karku ma zaczerwienienie, które wygląda na spuchnięte i rozzłoszczone. Im bardziej się przyglądam, tym bardziej czerwienieje.

- Co masz na karku?
- Uczulenie po goleniu.
- Odkąd golisz sobie kark, tato?
- Przestań się czepiać, to nic ważnego.
- Odkąd to masz?
- Odkąd się wprowadziłeś. Mam na ciebie alergię.
- Powinieneś pokazać to lekarzowi.
- To nic takiego. – Jest oburzony.
- Maurice, możesz mu powiedzieć, żeby poszedł do lekarza?
- Georg, idź do lekarza.
- W porządku, jak przestaniesz mnie dręczyć, to pójdę.
- Zadzwoń. – Maurice wyciąga iPhone'a. – Ben, jak włączasz swój telefon?

Jest dopiero dwadzieścia po trzeciej i potrzebuję trochę czasu, by przemyśleć to i owo, a najlepszym miejscem na to jest pub. Cumuję w The Ship na sesję piwa i samoużalania się – to obecnie moje dwa główne hobby. Kiedyś co tydzień grywałem w pięcioosobową piłkę nożną, a co wtorek wychodziłem na curry z trzema kumplami. Czytałem książki, chodziłem do kina, wyjeżdżałem na wakacje, spałem, jadłem na mieście, spędzałem ponad dziesięć minut przy posiłkach w domu, codziennie brałem prysznic i się goliłem, uprawiałem seks i nigdy rano nie piłem.

Nie mogę obwinać o to wyłącznie Jonaha. Każdy młody rodzic rezygnuje z różnych rzeczy – zazwyczaj z poczuciem szczęścia – zamieniając to, co uważa za wolność, na prawdziwą albo wyimaginowaną rodzicielską dumę, takie są bowiem oczekiwania. Choć początki są trudne, pomaga wiedza, że z czasem będzie łatwiej. Wrócą przespane noce, pojawią się uśmiechy na twarzach, interakcje, a także słowo „tata”. Będzie to jak z ewolucją życia – najpierw pełzanie, potem pierwsze kroki, potem pierwsze noce bez sikania. Jest to dla młodych rodziców pewne jak to, że każdego dnia słońce rano wschodzi, a wieczorem zachodzi.

Celebrowanie urodzin, kupowanie zabawek i zabawa nimi, wspieranie drużyny, planowanie ścieżki nauki szkolnej, wyznaczanie kariery, wakacje z rodzinami i przyjaciółmi w Hiszpanii, Portugalii, Ameryce – wszędzie, gdzie jest klub dla dzieci, zapewniający wiele godzin odprężenia przy basenie i ucieczki. Matki i ojcowie uśmiechają się do swoich dzieci – opalonych jak tosty – chlapiących w basenie; uśmiechają się do siebie, wynajmują opiekunki, by wieczorem w spokoju zjeść kolację, albo pozwalają dzieciakom szaleć w grupach, wyznaczając im spotkanie w określonym miejscu i czasie, czego ściśle się trzymają.

Wielu z tych rodziców, jeśli nie większość, stara się o drugie dziecko i powtarza cały proces – zdając sobie sprawę z pułapek, z których śmieją się, gdy ponownie tracą grunt pod nogami – no cóż...

Gdy wracają, przesyłają sobie mailem zdjęcia, odwiedzają się, mają nowych przyjaciół – czasami na całe życie – ich dzieci bawią się razem i rosną razem, wychodzą

ze sobą, esemesują ze sobą, udzielają się towarzysko.

Od czasu do czasu pokoleniowy pisarz postanawia jednak napisać powieść innego gatunku – coś jak science fiction z negatywną utopią i masą mrocznych chmur.

Dzieci w tych opowieściach nie zaprzyjaźniają się z nikim. Pozostawione same sobie, utopiłyby się w basenie, nie potrafią wyczuć niebezpieczeństwa, nie mają zmysłu czasu, nie umieją czytać ani pisać, nie wspominając o esemesowaniu. Wiele z nich nie umie mówić ani nie jest w stanie nauczyć się korzystać z toalety.

Ich rodzice nie są nigdy zapraszani na wakacje, przyjęcia, lunche, a nawet gdy z jakiegoś dziwnego powodu to nastąpi – odrzucają zaproszenie, ponieważ o ile dorośli traktują gorszych od siebie protekcjonalnie, to dzieci są okrutne – twoje dziecko mogłoby niechcący zniszczyć cenną własność, a na pewno narobiłoby bałaganu, który mama i tata czuliby się w obowiązku posprzątać. Głównym jednak powodem jest to, że gdy ty okazujesz w takich sytuacjach uczucie, w oczach obecnych wokół ludzi widać jedynie litość i nieufność.

Gdy wracam – nieźle trącony, w dodatku chce mi się szczać jak cholera – trwa na całego partia pokera z dawnymi kumplami taty od piłki nożnej, z jego czasów w Lidze Maccabi, gdzie był najmniej eleganckim, ale najskuteczniejszym środkowym pomocnikiem w historii żydowskiej piłki nożnej.

Kiwam głową Maurice'owi, którego przeżute do połowy cygaro jest jaśniejsze niż zęby, które się w nie wgryzają.

– Harveya pamiętasz, a ten oszust ze stertą sztonów to Sammy.

Sammy unosi pokrytą plamami wątrobowymi dłoń.

– Więc to jest mały Benjamin? Nie... musiałyby minąć...

– Dwa lata – odpowiadam za niego.

Harvey lustruje mnie od stóp do głów.

– Georg, jesteś pewien, że on jest twój?

Maurice i Sammy ryczą, ojciec siedzi z bladą twarzą.

– Nie – odpowiada. Rozlega się kolejna salwa śmiechu.

– Miłego masz chłopaka. Choć niewiele się odzywa.

– Jest grymaśny – odpowiadam. Zdaję sobie sprawę, że to przekomarzanka z dobrego serca, mimo to mam ochotę skończyć grę jednym dobrze dobranym słowem.

– Nabijają się z ciebie. Siadaj. – Maurice odsuwa krzesło po swojej prawej.

– Chcesz dołączyć? – pyta tata. – Gramy w siedmiokartowego studa.

– Nie, tato, dziękuję. Gdzie Jonah?

– Siedzi przed telewizorem i ogląda film. Jego program skończył się o siódmej.

Z dłońmi pod głową Jonah wygląda jak leżący na kanapie nastolatek. Siadam obok niego – w głębi duszy mam nadzieję, że wstanie i sobie pójdzie – ale jest wpatrzony w *Casablanke*.

Spotkanie w szkole i piwo zmasakrowały mnie, ryzykuję więc i kładę mu głowę na udzie. Odpowiada, kładąc mi dłoń na policzku. Napinam każdy mięsień w ciele, aby go nie spłoszyć. Zdecydował się na kontakt fizyczny, chciał mnie dotknąć, a gdy się pochyla i dotyka nosem mojego nosa, jestem w siódmym niebie – pomijając przemożny zapach Old Spice'a i siekanego śledzia. Nie tylko wygląda jak mój ojciec – tak samo pachnie. To

porywający zapach, pełen długo wypieranych wspomnień z dzieciństwa i nieznośnie niejasnych odczuć pełnej ufności miłości.

– Jest okej, Ben? Ten film? Lepszy od *Listy Schindlera*? Nie mam zbyt dużego zbioru.

– Wracaj do chłopaków, tato. Jest idealny.

Budzę się, gdy Victor i Elsa wychodzą w mgłę. Lewy policzek mam mocno zaczerwieniony i pomarszczony od piżamy Jonaha, na prawym mam odcisk spoconej dłoni. Jonah śpi, tata też – w fotelu. Wyślizguję się z łóżka i delikatnie kładę dłoń Jonaha w miejscu, gdzie miałem głowę. Trącam tatę w ucho.

– Możesz mi pomóc? – charczę.

Jonah wisi bezwładnie, musimy więc połączyć siły, aby zanieść go na górę. Gdy wspinamy się niczym Hillary i -Tenzing, pierwsi zdobywcy Mount Everestu, tata ujmuje jego stopy i delikatnie je całuje. Na półpiętrze tata jest cały spocony i głośno sapie, a gdy wkładamy Jonaha do łóżka, ten bu-dzi się.

Mam jeszcze rozpalone policzki od ciepła, jakie okazał mi Jonah, i chciałbym to ulotne uczucie zatrzymać – tak samo jak rozluźnienie, jakie daje pierwszy łyk whisky. Tak mało chwil daje mi poczucie prawdziwego kontaktu z nim, że gdy kolejna mija, niemal ją oplakuję.

– Co z tobą, Jonah? Jak byłem w twoim wieku, udawałem, że śpię, aby nie słuchać ojca. Wiem, że nie mam talentu do opowiadania jak papa Georg, ale nic w tym złego, prawda?

Jonah puszcza długiego i głośnego bąka, przy czym pielucha działa niczym pudło rezonansowe. Wybucham śmiechem, co Jonah przechwytuje jak ziewnięcie i też zaczyna się śmiać. Próbuję położyć się obok niego, ale odpycha mnie, siadam więc w poprzek łóżka z plecami opartymi o ścianę, przeciwko czemu nie protestuje. Przez kołdrę ściskam go za udo.

– Weź na przykład papę Georga. – Natychmiast budzi się we mnie poczucie winy.

– Nie jesteśmy w stanie ze sobą rozmawiać, nie tak jak my dwaj. Nie obejmujemy się, a nie jestem w stanie trzymać łap z daleka od ciebie. Wiem, że czasami cię to irytuje, ale potrzebuję tego. Nic na to nie poradzę. Nie zamieniłbym ciebie – takim, jakim jesteś – na nic na świecie. Nie wyobrażam sobie, abyś był inny, ani abym chciał, byś był inny. Tak więc ta sprawa z twoją mamą, całe gadanie o szkołach, które usłyszysz, o wyjeździe, musisz o tym wiedzieć: to wszystko dlatego, że cię tak bardzo kocham... Niedługo znowu będziemy z mamą razem, obiecuję ci, i wiem, że ostatnie dwa tygodnie sprawiały wrażenie, jakby trwały rok, ale muszę ci powiedzieć, niezależnie od tego, czy to do ciebie dociera, czy nie, że chcę, aby twoje dni były pełne radości i pozbawione strachu oraz bólu. Ludziom może się wydawać, że przegapiasz życie, ale uwierz mi, ono wcale nie jest takie wspaniałe. Jest trudne, mąci w głowie i rozczarowuje. Wolałbym ci tego oszczędzić. Jeśli spędzisz resztę życia w błogiej ignorancji, nie zdając sobie sprawy z całego gówna, które wokół ciebie krąży, uznam to za swój sukces. Kto poza tobą chce mnie słuchać? Samemu trudno mi się przekonać, że moje motywy są uczciwe, ale nie będziesz mnie osądzał, prawda? Rozumiesz przecież, że nigdy cię nie zostawię. Problem w tym, że jeśli tata mi wmawia samolubność, to mu wierzę. Jeżeli mama mi mówi, że jestem samolubny, też jej

wierzę. Może po prostu przy nich brakuje mi słów, które znajdują przy tobie? Wiedz o tym, że bez względu na to, co ktokolwiek powie, znajdę w sobie wiarę, aby walczyć o ciebie, ponieważ twoje dobro jest dla mnie ważne i nie mógłbym czuć się w porządku, gdyby działo ci się źle.

Zrozumiał coś z tego?

Leży odwrócony do mnie plecami. Masuję mu plecy.

– Bóg, siła wyższa, DNA czy co tam innego dało ci kilka cudownych darów, tyle tylko że większość ludzi nie zostało zaprogramowanych na ich docenianie. Chcieliby, abyś był taki sam jak oni. Aroganccy popaprańcy. Zazdroszczę ci twoich darów, tego, że nikomu niczego nie zazdrościsz, nie użalasz się nad sobą i nie masz o nic żalu. Te emocje są nieciekawe i autodestrukcyjne i gdyby jakiś doktor przyszedł do mnie i powiedział, że mogę – między innymi – sprawić, aby mój syn doświadczał tych uczuć, kazałbym mu spadać. Wiem, że mi ufasz, bo jak w parku pojawia się pies, to mnie mocno łapiesz, jakimś sposobem wiesz, że cię ochronię. Gdy czujesz się zagrożony, sięgasz po moją rękę. No cóż, mój wspaniały chłopaku – teraz też musisz mi zaufać, ponieważ mnóstwo pitbulli się rozbiegło, żeby popsuć świat, jaki dla ciebie zaplanowałem, i jeśli będę musiał użyć spluwy taty, żeby cię tam doprowadzić, to się nie zawaham.

Pochylam się nad Jonahem – oddycha spokojnie przez nos, więc całuję go delikatnie w czoło. Nie otwiera oczu. Nieważne, czy mnie słyszał.

1 Aluzja do tytułu sztuki A.A. Milne'a *Toad of Toad Hall*.

2 Chodzi o *Księgi pięciu megilot* – odczytywane podczas najważniejszych świąt żydowskich księgi z Biblii hebrajskiej (Pieśń nad Pieśniami, Księga Rut, Lamentacje Jeremiasza, Księga Koheleta, Księga Estery).

3 Picture Exchange Communication System (PECS) został opracowany jako metoda nauczania osób z autyzmem i pokrewnymi zaburzeniami rozwojowymi.

4 Aluzja do sztuki (i filmów) *Słoneczni chłopcy* o dwóch skłóconych komikach, którzy spotykają się po latach (przyp. red.).

5 Tytuł radiowej opery mydlanej (przyp. red.).

Czarownica

Wydział Służb Socjalnych Wynchgate
Centrum Obywatelskie
Brown Street
Londyn N24 3EA

23 lutego 2011 r.

Szanowny Panie Jewell
Sprawa: John Jewell, ur. 11 maja 2000 r.

Adele Latchford, dyrektor Wydziału ds. Dzieci, przekazała mi Pana ostatnią korespondencję i poprosiła o przeprowadzenie oceny potrzeb Johna. Rozumiem, że ostatnio zmieniła się Pańska sytuacja, i chciałabym w pierwszym wygodnym dla Pana terminie odwiedzić Pana i Johna w domu.

Proszę o telefon do mojego biura pod nr 020 8555 1000 wewn. 435 w celu uzgodnienia terminu wizyty i mam nadzieję, że wkrótce się spotkamy.

Z poważaniem
Mary Carey
Starszy pracownik socjalny

Po miesiącu wypracowaliśmy sobie stały rytm – ojciec, Jonah i ja: szkoła, jedzenie, kąpiel, łóżko, pierdoły i gorzała. Prawie co noc, gdy już tylko ja nie śpię, idę przejść się koło naszego mieszkania, tak na wszelki wypadek, ale światło nigdy się nie pali. Sprawy rozwijają się powoli i opanował mnie bezwład, jak wirus.

Czuję się, jakbym miał na sobie kostium, człapał po świecie w za dużych butach, grał rolę dorosłego. Zwykle podczas niezliczonych spotkań i rozmów telefonicznych z urzędnikami to Emma grała pierwsze skrzypce. Mam w komputerze setki e-mailowych wątków dotyczących Jonaha – przeforwardowanych przez moją żonę – ale ani jednego z nich nie przeczytałem. Z wyjątkiem jego szkoły, nie znam ani jednej z głównych postaci w trwającym dramacie pod tytułem „Jonah” – wszystkie zna Emma i zawsze tak było dobrze. Teraz jednak, przy tym, co się dzieje wokół mnie, zastanawiam się, co jeszcze mnie ominęło i czy sobie poradzę.

Kieliszek brandy, który wlałem do kawy, zmiękczył krawędzie owiniętej wokół mnie zasłony strachu, ale gdy za mleczną szybą drzwi wejściowych pojawia się ludzki cień, zasłona znowu ciasno mnie otula. Obawiam się, że wcale nie jestem przygotowany do roli recepcjonisty.

– Jonah.

– Słucham?

– Ma na imię Jonah, nie John.

Przeciągam palcem pod miejscami, w których popełniła błąd w pisowni jego imienia.

– Przepraszam, oczywiście. Wie pan, jak jest. – Mary Carey stanowi uosobienie masywnej androgynii. Wygląda jak enerdowska dyskobolka.

– Gdybym wiedział, nie byłoby pani tutaj.

Sadowi się przy stole, zamierzam ją jednak wyprowadzić z kuchni, zanim dostrzeże śmiercionośną kolekcję noży taty, zwisających z zardzewiałego magnetycznego paska.

– No tak, tak sędzę. – Wyjmuje notes i kładzie na nim długopis. – Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, chciałabym przez jakieś dwadzieścia minut poobserwować Jonaha, po czym będziemy mogli porozmawiać. Możemy tak zrobić?

– Zapraszam. Może lepiej przejść do salonu?

Mary Carey idzie w kierunku Jonaha, na co on się odsuwa. Kobieta zaczyna poruszać dłońmi w języku migowym, mamrocząc coś równocześnie. Jej nagie ramiona i pełne świecidełek palce wykonują dla mojego syna bardzo specyficzne tai-chi. Jonah przechodzi przez salon i wychodzi do ogródka, ona rusza za nim. Mam ochotę pokazać jej kilka gestów w moim języku migowym.

Ten dzień aż się prosi o płaszcz, czapkę i szalik, ale Jonah nie czuje zimna i patrzę z rozbawieniem przez okno w salonie, jak zatacza koła po ogródku, ściągając z siebie kolejne części ubrania. Mary Carey idzie nieporadnie za nim i podnosi spadające na ziemię rzeczy. Zimno w końcu pobudza pęcherz Jonaha i nieszczęśliwa pracownica socjalna – z rękami pełnymi różnych części jego szkolnego stroju – zostaje porządnie oblana.

Jonah śmieje się z odrzuconą do tyłu głową, głośno i niepoohamowanie. Kobiectynie

prawdopodobnie wydaje się, że on uważa oblanie jej za dobry dowcip, ale prawda jest taka, że to najgorsze wyjaśnienie jego śmiechu. Może to i śmieszne, ale tak naprawdę Jonaha mógł doprowadzić do zachwytu zarówno wiatr, który porwał mu włosy, jak i wzorek ze światła i cienia, rzucony na ziemię przed bezlistną jabłoń. Patrzę na zegarek. Wpół do piątej, czas na sranie. Mary Carey może się uważać za szczęściarę.

Biorę pieluchę i wychodzę, by go uratować. Stoi bez ruchu, obraca jedynie liść w dłoni, pozwalając mi przykleić paski na biodrach i zabezpieczyć sytuację. Przemoczona pracownica socjalna wciska mi w ręce ubranie Jonaha i udaje się do łazienki.

– Zrobić pani herbaty?

Zdjęła kamizelkę i siedzi przy stole w motocyklowej skórzanej kurtce.

– Więc nie miga.

– Nie.

– PECS? Makaton¹?

– W zasadzie nie.

– Więc jak się z panem porozumiewa?

– Rozumie proste instrukcje, w innych wypadkach pokazuje palcem, łapie mnie za rękę albo po prostu łapie to, co chce mieć.

Mary Carey pilnie notuje, gdy tata wraca z rozgrywek bowlingu. Deski podłogi skrzypią pod jego sprężystymi krokami i wyobrażam sobie, jak lustruje rower Mary Carey i inne akcesoria, po czym dokonuje szybkiej oceny jej prawa oddychania tym samym powietrzem co on.

– Dzień dobry. Georg Jewell, dziadek Jonaha – wita się, wyciągając rękę. Pociąga nosem niczym odurzony zapachem lisa pies gończy. Twarz czerwienieje mu od szyi po brwi.

– Mary Carey, pracownik socjalny.

Tata ujmuje jej dłoń.

– Mogę uprać pani kurtkę... znaczy się, wziąć od pani kurtkę?

– Nie, dziękuję.

– Gdzie Jonah? Ach, już widzę. W ogródku, znowu na golasa.

Mary Carey skrobie kolejne notatki.

– Kawał z niego urwisa, prawda?

– O tak – z dumą odpowiada tata.

– Pani nie chodziło o to, tato. Jego zachowanie...

– A tak, jest wyzwaniem, z pewnością.

Policzki Mary Carey płoną.

– A więc Jonah mieszka teraz tutaj, z ojcem i dziadkiem? A matka?

Jego matka, moja żona. Na pewno nie zejdziemy się przed końcem rozprawy trybunału.

– Nie mieszka tutaj. Właśnie to było powodem napisania przeze mnie listu.

– Zdaję sobie z tego sprawę, panie Jewell. Widuje się z Jonahem?

– Odkąd jesteśmy w separacji, nie. Od trzech tygodni.

– Wie pan, czy ma taki zamiar?

– Ją musi pani o to zapytać.

Długopis znowu skrobie po papierze.

– Więc pan i pański ojciec jesteście w tej chwili jego jedynymi opiekunami?

– Tak.

– Ile lat ma pański ojciec?

– Siedemdziesiąt osiem.

– A pan trzydzieści siedem. Pracuje pan?

– Tak, prowadzę rodzinną firmę, ale opieka nad Jonahem oczywiście bardzo to utrudnia. – W zasadzie ułatwia. Jest świetnym pretekstem, aby do niej nie chodzić.

Mary Carey odkłada długopis i ujmuje dłonią podbródek.

– Mógłby pan to wyjaśnić?

– No cóż... Jonah jest podwójnie inkontynentny, poranki są więc koszmarem, choć w nocy ma pieluchę. Co rano trzeba go kąpać, do czego potrzebna jest jego współpraca, na którą nie zawsze ma ochotę. Powinienem być w pracy o siódmej, ale rzadko zjawiam się przed dziesiątą, gdy Jonah odjedzie szkolnym autobusem. Sypia rzadko, co oznacza, że ja też rzadko sypiam.

Kolejne zapiski.

– Jak wyobraża pan sobie poprawę sytuacji?

– No cóż, byłbym zachwycony wszelką pomocą, ale to tylko plaster. Jonah potrzebuje stałości. Od chwili, gdy wstaje, aż do chwili, gdy się kładzie, potrzebuje stałości i stymulacji. W jego życiu nastąpiło ostatnio tyle zmian, że nie jest w stanie przenieść żadnej z umiejętności, które – jak twierdzi szkoła – tam zdobywa, do domu. Potrzebuje formuły internatowej.

Słyszę słowa płynące z moich ust z taką łatwością i obserwuję reakcję Mary Carey. Czuję się przyłapany na haniebnym używaniu języka, bo kobieta z pewnością rozpoznaje wszystkie eufemizmy, jakimi ją raczę: „sporadyczny sen”, „formuła internatowa”, „stałość”, „stymulacja”. Moja przepona broni się przed nimi, a serce ściska. Jest oczywiste, co mam na myśli: „Nie radzę sobie i chcę się go pozbyć”. Gdy uświadamiam to sobie, staram się odegnać tę myśl – tak jak odganiam przelotne myśli o podcięciu sobie żył czy zaćpaniu się paracetamolem.

– Gdybyśmy jednak stworzyli kompleksowy pakiet, który złagodziłby wiele pańskich problemów, powinno to zrównoważyć problemy, jakich Jonah w tej chwili doświadcza. Pozostanie w rodzinie to dla niego najlepsze rozwiązanie.

– Chce pani powiedzieć: najtańsze.

– Nie, powiedziałam: „najlepsze”. Pozostanie w rodzinie. Istnieją jednak inne opcje.

– Na przykład?

– No cóż, istnieje wychowanie w rodzinie zastępczej...

– Przepraszam bardzo, powiedziała pani „wychowanie w rodzinie zastępczej”?

– Tak, panie Jewell. Sytuacja, w której doświadczone małżeństwa – czasami osoby samotne – oraz rodziny, z różnych powodów, biorą do siebie dziecko nawet na trzysta sześćdziesiąt pięć dni w roku. Często prowadzi to do adopcji.

– Nie musi mi pani mówić, czym jest rodzina zastępcza, droga pani. Nie jestem jednak w stanie pojąć, jak całkowicie obca osoba, choć bez wątplenia po przeszkoleniu

w zakresie BHP, mogłaby wychowywać Jonaha. Naprawdę pani uważa, że istnieje jakieś małżeństwo na świecie, które pozna Jonaha tak dobrze jak ja i pokocha go bardziej ode mnie?

– Nie, ale jeżeli naprawdę pan sobie nie radzi...

– Pani Carey, właśnie ganiała się pani z gołym Jonahem po ogródku, obszczał panią i świetnie się przy tym bawił. Mamy zapisać ten fakt w jego CV i w lokalnej prasie umieścić zdjęcie jego krocza?

– Są jednak ludzie, którzy...

– Na pewno. Wielu chcących dobrze, miłych, cierpliwych, świętoszkowatych ludzi, których podziwiam. Jonah nie jest jednak ponury, to nie palący zioło sklepowy złodziejaszek z kurwiącą się matką narkomanką. Problemem są nie tylko jego trudności w nauce czy autyzm. Wie pani, co określa Jonaha i sprawia, że pomysł z adopcją jest dla mnie zarówno śmieszny, jak i obraźliwy?

– Nie, panie Jewell.

– Jest moim synem.

Mary Carey wzdycha i odzyskuje rezon.

– Panie Jewell, protestuję przeciwko pańskim insynuacjom co do sposobu pracy służb socjalnych Wynchgate.

– Pani zaczęła dyskusję twierdzeniem, jak ważne jest, aby Jonah pozostał członkiem społeczności, aby natychmiast przeholować z następną sugestią i trafić jak kulą w płot. Czy prawdą jest, że pani i reszta wydziału wypruwacie sobie żyły, aby dzieci zostały z rodzicami?

– Tak, to prawda.

– Mimo najnowszych relacji związanych z małym Peterem?

– To był inny wydział i tragiczny zbieg okoliczności.

– W tym się akurat zgadzamy. Zatem wkładacie mnóstwo energii w to, aby dzieci pozostawały w domu, oczywiście pod prawidłowym nadzorem?

– Tak jest.

– W takim razie skąd brak starań w sprawie Jonaha? Dlaczego od razu najbardziej drastyczne rozwiązanie?

– To tylko jedna z opcji. Jeśli ma pan poczucie, że sobie nie radzi...

No i proszę – wiedzące, uniesione brwi. Ta zabawa w odbijanie sobie piłeczki to szopka. Zaatakowała mnie serią dropszotów i właśnie wykonała uderzenie dające zwycięstwo. „Przecież oboje wiemy, panie Jewell, o co tu chodzi, prawda? Wcale nie o Jonaha. Chce pan, żebyśmy poprawili panu życie, zaczęli powtarzać: no dobrze, już dobrze, i sprawili, aby ból zniknął. No cóż, przejrzałam cię, gościu, ty leniwy, dziecinny zasmradzacz powietrza. Przestań jęczeć i zacznij się zachowywać jak facet”.

– Nie oddaje się swoich dzieci. Nigdy! To wszystko, co ma pani do zaoferowania?

– Dopiero teraz uświadamiam sobie, że cały czas jest z nami tata. – Poradzimy sobie, a teraz proszę stąd wyjść, zebrać swoje rzeczy i wyprowadzić z mojego korytarza swój zabłocony rower.

– Panie Jewell, nie zamierzałam pana denerwować.

Brak mi słów, ale nagle tata wie, co powiedzieć.

– Nie zdenerwowałaś mnie, panienko. Zezłościłaś mnie.

Mary Carey wpycha mokrą kamizelkę do sakwy i prowadzi rower do furtki.

– Przyślę panom jak najszybciej ofertę opieki.

Tata z hukiem zatrzaskuje za nią drzwi.

– Z czymś takim musisz mieć do czynienia? Z takimi ludźmi? Kobietami o sterczących czerwonych włosach?

Kiwam w milczeniu głową.

– Ten goły *bojczik* w ogrodzie nigdzie nie będzie jechał. Daj mi teraz wiśniówki.

Siedzimy i obserwujemy przez okno swobodną wędrówkę Jonaha po ogródku. Tata popija wiśniówkę, ja szkocką. Słońce zaczyna zachodzić, ale patrzymy dalej w milczeniu. Ojciec nie należy do pijących – nigdy nie widziałem go pijanego – ale bez dwóch zdań lubi chichotać. Opowiadam mu hasłowo to, co się wydarzyło przed jego przyjściem.

– Od stóp do głów? Cały pęcherz? Wiedziałem, że geniusz z niego! – chichocze.

– Ubrać go? Nie chcę, żeby sąsiedzi zaczęli się skarżyć.

– Po co? Niech się dobrze bawi, pani Colnbach i tak jest ślepa jak kret.

Jeżeli tata jest w jakimkolwiek stopniu podobny do mnie i alkohol też rozluźnia mu język i otwiera kieszeń – muszę spróbować.

– Tato, potrzebuję twojej pomocy.

– Co się znowu dzieje?

Ignoruję docinek, ponieważ jest uzasadniony.

– Jestem trochę goły. Wiesz, jak jest...

Tata wzdycha.

– Nie myśl, że nie wiem, co się dzieje w magazynie. – Nagle całkowicie trzeźwieje.

– Niezły z ciebie naciągacz. Chcesz, żebym cię utrzymywał, podczas gdy spiskujesz, by oddać mojego wnuka? Nie, nie i jeszcze raz nie.

– Nie zamierzam go oddawać, tato. Chcę mu dać szansę, zapewnić możliwie najlepsze życie. Problem jest jedynie krótkotrwały.

Tata wstaje i odwraca się.

– W twoim przypadku nic nie jest krótkotrwałe, Ben. – I dodaje pod nosem: – Chce, żebym płacił mu za gorzałę, podczas gdy będzie planował zamknąć mojego JJ-a...

– Nie żyjemy w dziewiętnastym wieku.

– Nie? W czterdziestym czwartym roku mówiono na Węgrzech to samo. Nie żyjemy w dziewiętnastym wieku, tylko w dwudziestym pierwszym, i rozejrzyj się, co się dzieje.

– Tato, to dla dobra Jonaha.

– A nie twojego?

Pocisk trafia w sam środek tarczy.

– A co? Nie powinienem też skorzystać? Byłby to nieakceptowalny produkt uboczny walki o jego przyszłość? Nie należy nam się obu szczęśliwe życie? Nigdy więcej o nic cię nie poproszę, ale tym razem...

Tata odwraca się do mnie. Stoi tak blisko, że dzieli nas jedynie zapach wiśniówki. Podnoszę wzrok, aby spojrzeć mu prosto w oczy. Są bursztynowe, jak u Jonaha.

– Udowodnisz mi, że to dla dobra Jonaha, udowodnisz na sto procent, że z dala od

rodziny będzie mu się lepiej żyło, że potrzebuje tego, o czym mówisz, to się zastanowię.

– Obiecuję, tato.

– Nie składaj obietnic, pokaż dowody. A teraz idź i sprowadź go do domu, bo się robi ciemno. Wieczorem wychodzę.

Chcę mieć Jonaha jak najwcześniej w łóżku – najchętniej śpiącego – więc zaraz po wyjściu taty biorę go na górę i załatwiam rytuał kąpieli z podwójną prędkością, po czym do zwykłej porcji leków dodaję mu sporą dawkę medisedu, żeby go łagodnie znokautować. Całuję go na dobranoc i złażę na sztywnych nogach na dół. Najchętniej walnąłbym się na kanapę z wielką puszką czegoś, co mnie otumani, najpierw jednak – po raz tysięczny tego dnia – sprawdzam pocztę. „Pobieram” – mówi mój telefon i po chwili pojawia się tekst od Emmy: „Jestem w domu, musimy się jutro zobaczyć. E.”.

Czytam raz za razem, skupiając się na „musimy” i „jutro”, jakby to był szyfr Enigmy. „Musi” się jutro ze mną widzieć. Potrzebuje mnie: pożąda, rozpaczliwie tęskni, pragnie mnie, nie może beze mnie żyć. „Jutro”: nie wytrzyma dłużej. Zaczynam śnić na jawie o własnym łóżku, kablówce, ciężar myśli o przyszłości Jonaha zniknął. Gdy nieuniknione negatywne myślenie jak rozpedzona furgonetka przepycha się na pierwszy plan, czuję w ustach kwaśny posmak. Dobre myśli dogania grupa pościgowa o całkiem innych zamiarach. Powinienem uciec w zapomnienie, aż przestanę czuć zadawane mi ciosy.

Cztery palce szkockiej pozwalają odjechać. Przysypiam i budzę się, śnię, drzemię i budzę się z ustami wyschniętymi na wiór. Jonah szarpie mnie za rękę.

– Idź sobie, Jonah, wracaj do łóżka.

Nic z tego, nie zamierza ustąpić.

– Słuchaj, spierdalaj, zostaw mnie w spokoju. Chcesz czegoś, to sobie weź. – Wyszarpuję dłoń, odwracam się plecami i zasypiam. Jak przez mgłę widzę, jak przychodzi i odchodzi, słyszę otwierane i zamykane szafki, śmiech i podskoki. Powinienem to sprawdzić, ale mam dość całego dnia, jest mi wygodnie, Jonah nie doprowadza mnie do szału, zajmę się nim później. Mijają godziny.

– Co to jest?! Zabiję go!

Budzę się od wrzasku i uświadamiam sobie z przerażeniem, czego nie zrobiłem i co tata prawdopodobnie zobaczył. Wstaję, podpierając się o framugę, i próbuję sprawić wrażenie obudzonego.

– Benjaminie, co to jest?

Korytarz jest zaślany zmiażdżonymi oreo, wyplutymi kawałkami chleba i czymś, co wygląda jak tysiące drobnych owadów – po bliższym przyjrzeniu się widać, że to sezam. U stóp schodów leży nasiąknięta, obsrana pielucha; Jonah, zmierzając do swojego pokoju, nadeptuje na nią.

Tata wchodzi za nim na górę, a ja udaję, że wiem, od czego zacząć. Zatrzymuje się w połowie schodów i czuję na sobie jego palący wzrok.

– Jak mogłeś do czegoś takiego dopuścić, leżąc pijany na kanapie, podczas gdy twój syn mógł sobie nie wiadomo co zrobić? Do niczego się nie nadajesz. Ścisź telewizor i daj nam pospać, posprzątam rano.

Stoję, opierając głowę o ścianę, przez wieczność, ale upojenie, które zdążyło się

zmienić w suchość w ustach i drażliwość, każe mi ruszyć po szklankę wody. Gdy idę do kuchni, ukazują mi się w całej krasie siła i zakres zniszczeń dokonanych przez huragan o nazwie Jonah.

Ponadgryzane jabłka na podłodze wyglądają, jakby grano w kuchni w bule, porwane kawałki jaskrawych piór kleją się do linoleum za pomocą zmiażdżonych winogron, na nich leży trójkąt parmezanu z wygryzionym kawałkiem, a kilkanaście opakowań chrupiek, które brutalnie wypatroszono, betonuje powoli zlew.

Drzwiczki wszystkich szafek są szeroko otwarte – wspinał się do nich, zrzucając na podłogę puszki owoców, tuńczyka i sardynek niczym szukający brylantów złodziej. Boję się zajrzeć do lodówki. Na pierwszy rzut oka wszystko wygląda jako tako – pomijając torbę jabłek, w której nie ma jabłek. Na cebuli widać ślady zębów – dobrze mu tak, gnojkwowi – banan wygląda jak przepuszczony przez maszynkę, i...

– O cholera...

Zniknął kurczak. Jonah zjadł kurczaka. Cztery surowe piersi z górnej półki. Ogarnia mnie panika.

Wbiegam na górę po dwa stopnie i wpadam do pokoju Jonaha, jego jednak nie ma.

– Tato! – drę się, otwierając drzwi do jego sypialni. – Tato...

Tata leży z prawej strony ogromnego łóżka z głową umorusanego Jonaha na piersi. Gromi mnie spojrzeniem, kąciki ust ma opuszczone, a bursztynowe oczy płoną – szykuj się!

– Surowy kurczak, tato. Kurczak z lodówki?

– O czym ty gadasz?

– Kurczak w lodówce...

Ni stąd, ni zowąd dostaję w czubek głowy książką.

– Aua!

– Jest w lodówce, niedojdo. Za kogo mnie masz? Spadaj.

Spotykamy się w Starbucksie w Holborn. Jej ciało w kaszmirowym swetrze jest ciepłe i trzymam ją, aż klepie mnie w plecy.

– Mam dwadzieścia minut.

– Jak było w Hongkongu?

– W porządku.

– Jak sobie radzisz?

– Wszystko gra.

Gdy zdejmuje płaszcz, coś mi jednak nie pasuje. Ramiona szytej na miarę garsonki mniej opinają ciało, a gdy bawi się obrączką na palcu, ta obraca się zbyt swobodnie.

– Tęsknię za tobą – ryzykuję.

– Jak Jonah?

– Podoba mu się zainteresowanie ze strony taty, tak mi się wydaje.

– Na pewno – odpowiada Emma z lekkim uśmiechem.

– Chcesz się z nim zobaczyć?

Zagryza górną wargę.

– Jak możesz pytać?

Jej złość wywołuje we mnie panikę. Nie wiem, jak dobierać słowa, aby uniknąć jej

gniewu, jak zaimponować spokojem, udobruchać ją.

– Nie było w tym żadnego podtekstu, Emmo. Minał miesiąc. Powiedz mi gdzie i kiedy, to go przywiozę. W ten weekend?

– W ten weekend jestem w Genewie.

– Przecież dopiero co wróciłaś.

Bierze łyk latte, po czym podaje mi kartkę.

– Znalazłam prawniczkę, tu są szczegóły.

Składam kartkę, nie spoglądając, i wkładam ją do kieszeni.

– To konferencja. Nie masz planów na weekend? – pyta Emma.

– Pomyślałem, że zabiorę Jonaha do Paryża. – Miało to zabrzmieć luzacko, ale zamiast tego na wierzch wypłynął mój sarkazm.

Emma pochyla się przez stół i wbija we mnie wzrok.

– Na Boga, Ben, uważasz, że to dla mnie łatwe? Też muszę co rano wstać, nie widząc męża i syna, i robić wszystko, co muszę, próbuję skupić się na pracy, żebyśmy w chwili, gdy ta kretyńska sprawa się skończy, mieli przynajmniej dość pieniędzy, żeby znowu zacząć żyć. Odpuść sobie rolę ofiary.

Wzdycha ciężko i odwraca wzrok.

– Przepraszam – mruczy.

Na takich przebłyskach powinienem wznosić fundamenty swojej codzienności.

– Nie ma sprawy – odpowiadam szeptem i na chwilę puszczam torbę stojącą u moich stóp. Jednak jeśli nawet nie jestem w stanie rozmawiać z nią, gdy tego potrzebuję, to bez jej wsparcia całkowicie się rozlecę. Stawiam na stole dwa identyczne pudełka.

– Co to jest, na Boga?

– Telefony na kartę. Nie można ich wyśledzić, musimy tylko ustalić dzień i godzinę rozmowy. Są nie do namierzenia.

– Już to mówiłeś. – Emma wygląda na wycieńczoną. – To nie jest tajna misja szpiegowska. Opanuj się.

– Muszę mieć możliwość rozmawiania z tobą.

– Przestań marnować pieniądze na zabawki i zwróć to.

Próbuję ukryć drżenie rąk – i zarazem twarz – udając, że biorę łyk wielkiego americano. Zachowuję się jak niepewny nastolatek.

– Miałem spotkanie w szkole. W dalszym ciągu naciskają na Maureen Mitchell, Jenny Porter nie poprze nas. Nawet jeśli się z nami zgadza, trzyma z szefostwem. Pojechałem obejrzeć, jak tam jest. Słabo.

Emma sięga do torebki i daje mi grubą teczkę.

– Będziesz tego potrzebować. Jest tu każdy dokument dotyczący Jonaha od urodzenia do zeszłego tygodnia. Są ułożone chronologicznie i robiłam notatki, więc tego nie zgub. Wszystko nowe, co będzie się pojawiać, musisz zachowywać i archiwizować. Rozumiesz? Jest tam też dokument przyznający ci tymczasową samodzielną opiekę. Musisz go podpisać i odesłać. Ja już podpisałam.

– Zachowywać i archiwizować, podpisać i odesłać. Chyba jestem w stanie sobie poradzić.

– I zadzwoń do prawniczki. Podobno jest najlepsza. Będziesz potrzebował szczegółowych sprawozdań na temat Jonaha od logopedy, psychologa edukacyjnego, terapeuty zajęciowego, psychiatry dziecięcego i wszystkich, których da się dołączyć do sprawy. Wiem, że nie jest to twoja spec...

– Nie ma cię już miesiąc.

– Nie mogę się tym zająć. Nie teraz. I bez tego jestem pod wielką presją.

– Dają ci w pracy popalić?

– Bardziej niż sobie wyobrażasz. Każą mi pracować w nieludzkich godzinach, co wieczór mam spotkania. Nie mam żadnych rezerw.

– Ale...

– Ben, ten jeden raz musisz sobie poradzić.

Emma wstaje, wkłada płaszcz i bierze torebkę. Obchodzi stół i próbuje ją objąć. Całuje mnie czule, ale jakby nie wkładając w to całego serca.

– Będziesz musiał wyłożyć pieniądze.

– Dlaczego? Chyba nie musisz na dodatek udawać, że jesteśmy splukani? – Patrzę jej w oczy i czekam na odpowiedź.

– Mniej więcej pół roku temu ulokowałam całą gotówkę w wysoko oprocentowane obligacje. Będą zablokowane jeszcze przez rok.

– Nie rozumiem. Dlaczego zrobiłaś coś takiego, wiedząc, że czeka nas trybunał?

Emma skubie skórki przy paznokciach.

– Tam, gdzie leżały, nie pracowały. Nie mogłam się na to godzić.

– Ale wiedziałaś, że będziemy ich potrzebować.

– Sądziłam, że rada się ugnie.

– Naprawdę? To do ciebie niepodobne. Zawsze wszystko planujesz. Co się dzieje, Emmo? – Jej wzrok ucieka, a mnie zaczynają przemykać przed oczami przystojni prawnicy i luksusowe hotelowe apartamenty. – Co się stało w Hongkongu?

Emma siada, jej złość tylko wyostreza moje paskudne wizje.

– Pracowałam i pracowałam, spałam i tęskniłam za domem. To wszystko. Sądzisz, że się dobrze bawiłam? Mogę cię zapewnić, że nie.

Czuję, jak przybieram minę pierrota.

– Co jest? – pyta Emma i, jak zwykle, gdy się irytuje, wycofuję się. Wpatrujemy się oboje w stół, aż powietrze między nami się schładza.

– Ile trzeba? – pytam.

– Około trzydziestu tysięcy funtów.

– Słucham?! Przecież wiesz, że tyle nie mam.

– Zwrócę ci, nie martw się.

– Nie chodzi o to, po prostu nie mam pojęcia, skąd tyle wezmę.

– Poproś ojca.

Wyobrażam sobie, jak ojciec zaciska pięści.

– Emmo, daj spokój, nic z tego.

– Dlaczego? Ciągłe mi powtarzasz, ile jest ci winien.

– Tak, ale on się z tym nie zgadza, w końcu nie mamy umowy. Nic nie jest zapisane na papierze, a tylko w latach psychoterapii i zmywania. Nie poproszę go.

– Nawet dla dobra Jonaha?

– To było podłe.

– Nie, taka jest prawda.

Zraniony, spuszcza głowę.

– On nie chce, żeby Jonah gdzieś jechał. Mówi, że nie oddaje się swoich dzieci. Choć w jego ustach brzmi to dziwnie, nie sądzisz? Za każdym razem, gdy go o cokolwiek proszę, czuję się, jakbym tracił część siebie.

– Ben, nie mogę być twoim emocjonalnym workiem bokserskim. Musimy to wygrać i wrócić do normy, rozumiesz? Wszystko inne pozostaje na drugim planie. Taka jest moja rzeczywistość i nie mogę odpowiadać za twoją.

– Po co ten psychobelkot? Obwiniasz Jonaha.

– Nie, Ben. Kocham i uwielbiam Jonaha, ale zapomniałam, jak kochać siebie samą, i nie jestem pewna, jak to jest z tobą.

– Czy cię kocham?

– Nie, głupku, siebie.

Uśmiechamy się do siebie i Emma ujmuje moją dłoń.

– Kto będzie walczył o Jonaha, jeśli oboje się rozpadniemy? Jaki w tym sens? To co? Georg?

– Powtarzam ci, że wcale mu się nie podoba pomysł wyjazdu Jonaha.

– To go przekonaj, niech zmieni zdanie.

– Przekonać tatę?

– No dobrze: popłaszcz się przed nim. Wszystko mi jedno.

Chowam telefony do torby i oboje wbijamy wzrok w stół. Moje americano wystygło. Cisza między nami jest ciszą spotkania obcych ludzi, niezręcznym milczeniem z randki w ciemno, wypełnionym nierównowagą pragnień – jedno chce odejść, drugie rozpaczliwie zapobiec rozstaniu. Znowu jest poprawnie i biznesowo.

– Co masz zrobić dziś po południu, Ben?

– Zadzwoń do adwokatkę.

– Nie zapomnij.

– Nie zapomnę. Jak będę coś wiedział, zadzwonię.

– Dobrze, ale wolałabym maila. Lepiej będzie, jeśli zamai-lujesz. Nie zawsze mogę odbierać telefon. – Na widok mojej miny kładzie mi dłoń na policzku. – To najlepsze wyjście. Zaufaj mi, warto się pomęczyć.

Stojąc w progu, posyła mi buziaka i znika, wraca do swojej prawniczej kryjówki, gdzie podobno – tak jak ja – sprząta ludzki syf i śmieci, choć w jej przypadku to eufemizm. Rozmyślałam o pieniądzach i o pracy, ale tak samo jak ignoruję wściekłe upomnienie o zapłatę zaległego rachunku, licząc na to, że jeśli wystarczająco długo będę to robił, to w cudowny sposób zniknie, tak też wypieram magazyn, który jest moim prywatnym piekłem.

Była tu, a teraz zniknęła, a ja jestem podrygującym na haczyku robakiem. Szkoda, że nie nagrałem naszej rozmowy, żeby zrobić transkrypt i móc się wczytać, niczym korektor szukający miejsc do poprawki.

1 Program Językowy Makaton – system gestów i symboli graficznych, jeden ze

wspomagających i alternatywnych sposobów porozumiewania się.

Pobudzony

SZKOŁA HIGHGROVE MANOR

DLA DZIECI I MŁODYCH DOROSŁYCH Z AUTYZMEM

Highgrove Lane, Highgrove, Oxfordshire OX7 3RG

12 marca 2011 r.

Szanowny Panie Jewell,

nasza Pani Dyrektor, Linda Phillips, miała okazję obserwować Jonaha w ciągu dnia szkolnego w szkole Roysten Glen i chciała by zaprosić Pana i Jonaha do Highgrove Manor, aby nasz zespół edukacyjno-terapeutyczny mógł ocenić jego predyspozycje. W tym czasie oprowadzilibyśmy Pana po naszym kampusie i porozmawiali o naszej roli w procesie przed trybunałem.

Zarezerwowałam dzień 19 marca, byłoby miło, gdyby mógł Pan przywieźć Jonaha na godz. 10.

Załączam mapkę.

Uprzejmie pozdrawiam
Susan Atwater
Dyrektor ds. nauczania

Boże, tylek tego chłopaka to armata na gówno! Ben, daj mi szybko plastikową torbę. To już trzeci raz dzisiaj.

– Ma dupę nieprzewidywalną jak on sam.

Tata myje ręce niczym chirurg i powtarza procedurę przy Jonahu. Potem, gdy rozpryskuje pół flakonu odświeżacza powietrza, ubieram Jonaha i zakładam mu buty.

– Nie gorszy od ciebie – żartuję sobie z taty.

– Naprawdę? Jak będziesz w moim wieku, wszystko będzie szło ci wolniej.

Jonah siedzi przypięty z tyłu, z jabłkiem w jednej i piórem w drugiej dłoni. Niebo jest czyste, słońce wisi jeszcze nisko i przed wejściem do samochodu szybko wydmuchuję dym w jego promienie.

– Jaki był kod? Jest na liście.

– OX7 3RG. Mam cię poprowadzić?

– Nie, włączę nawigację.

– Znowu ta głupia mapa.

– Jest świetna do dostaw.

– Valentine też takiej używa?

– Kupiłem mu.

– Prawdopodobnie od razu oddał któremuś z dzieciaków.

Po kilku odświeżeniach obraz na ekranie w końcu zamienia się w kolorową mapę okolicy i oblicza odległość oraz czas jazdy. Tata jest mocno zainteresowany.

– Daj rzucić okiem na tę satelitarną mapę.

– Nawigację.

– Przecież mówię. – Wyjmuje z kieszeni marynarki – dla taty każdy wyjazd samochodem wymaga wystrojenia się – okulary i pochyla się nad nawigacją. Stuka palcem w ekran. – To moja ulica. Skąd to wie, że to moja ulica?

– „Przejeżdż trzysta metrów prosto, po czym skreć w lewo” – mówi nawigacja.

– Australijczyk? Ten w pudełku. Skąd zna się na naszych ulicach?

– To głos generowany komputerowo, tato. Jest cała paleta języków i akcentów.

Tata najwyraźniej jest pod wrażeniem.

– Ile coś takiego kosztuje?

– Chciałbyś kupić? Przecież chodzisz tylko do Maurice’a, Waitrose i koszernych delikatesów Florsheima.

– Tylko pytam.

Wjeżdżamy na M25 i stajemy w korku. Rzucam okiem na Jonaha – skończył jabłko i drze pióro na kawałeczki. Plan jest taki, aby przez całą drogę był najedzony i czymś zaabsorbowany, to może jego wewnętrzna nawigacja nie skłóci się z satelitarną. Gdy się pożą, efekt nie jest przyjemny.

– Więc gdzie mama krąży? – pytam.

– Nie wiesz?

– Skąd miałbym?

– Zdawało mi się, że czasami rozmawiacie.

– Od kilku lat nie. Dostałem kiedyś pocztówkę z Malediwów.

– Jak zawsze chwali się, nasza Myra. Nie, twój wuj Matthew mówił mi w trakcie comiesięcznego obowiązkowego telefonu, że mieszka teraz w Norwegii albo Szwecji czy w jakimś innym kawałku zamrażanej północy. Tamtejsza pogoda powinna jej służyć – sucho i zimno.

- Naprawdę? – pytam ze śmiechem.
- Zawsze lubiła śledzie, może o to chodzi.
- Jest z kimś?
- Co to ma być? Gra w dwadzieścia pytań?
- Nie, tak tylko się zastanawiałem.

Sznur samochodów zaczyna się rozciągać niczym akordeon, co wywołuje na tylnym siedzeniu podskakiwanie i śmiech. Tata wyciąga rękę do tyłu i podaje Jonahowi kolejne jabłko. Splota dłonie na karku i zamyka oczy.

Czy tęsknię za matką? Czasami myślę o niej. Nie wiem, czy to tęsknota. Kiedy odeszła, byłem bardzo młody i – tata nigdy nie zmęczył się powtarzaniem tego – nadmiernie skupiony na sobie, pozbawiony odpowiedzialności, zenujący.

Co się właściwie stało? Tak naprawdę rozmawialiśmy o tym tylko raz i – jak zwykle – omijał temat, zbijał moje pytania jak muchy packą. Wygonił ją? „Z chęcią bym ją wygnał, gdziekolwiek miałyby ochotę iść, i ją tam zostawił, ale nie – nie wygoniłem jej”. Tak powiedział. Reszta jest jedynie moim domysłem, efektem podglądactwa i ukrywania się.

Ojciec jest czternaście lat starszy od matki. Poznali się, jak mi kiedyś powiedziała, przez jej brata – kolejnego piłkarza z Maccabi – i zakochała się w jego zasadniczych manierach oraz stoickim charakterze. Z początku łączyła ich namiętność, ale pamiętam z dzieciństwa masę nocy, gdy leżała obok mnie, płacząc mi w ramię. Wkrótce potem otwarcie zaczęła mu wyrzucać brak uczuć. Większość ich życia była nieustannym zawieszeniem broni.

Z tego co pamiętam, z początku byliśmy biedni, a potem przestaliśmy. Chciała – dawał. Chciała więcej, dawał więcej. Potem zażądała dla mnie prywatnej szkoły i wcisnęła hamulec: było to wbrew wszystkiemu, w co wierzył, i nigdy nie miałem wyboru.

Kiedyś zarzuciłem mu, że życie wedle jego ideałów było nieuczciwe, to, że nie mogłem dokonywać żadnych wyborów, na co odpowiedział bez wahania:

„No to popatrzmy. Masz dwoje oczu, dwoje uszu, nos, zdecydowanie usta i to – tu dźgnął mnie mocno palcem w czoło – co dawało ci wszystkie wybory, jakich mogłeś potrzebować. Udało ci się wyrządzić sobie dość szkody. Jesteś najbardziej leniwym draniem, w jakiego Bóg tchnął swój oddech, i chcesz coś za nic. Powiedz, że choć raz byłeś głodny albo było ci zimno, to zacznę lać krokodyle łzy i poszukam numeru do Samarytan”.

Patrzę na niego, odpowiada spojrzeniem.

- Co jest?
- Jesteś szczęśliwy, tato?

Pytanie jest proste, a mimo to czuję, że odpowiedź będzie pokrętna.

- Nie lubię być szczęśliwy, robię się od tego nerwowy.

Siedzimy przez chwilę w milczeniu i przetrawiamy nasze słowa. Tata przerywa

ciszę.

– Kochasz Jonaha?

Cyniczny ton dezorientuje mnie.

– Oczywiście, jak możesz o coś takiego pytać? Kocham go sercem i duszą.

– Udowodnij to.

– Słucham? Za pomocą twojej sprzecznej ze zdrowym rozsądkiem metody? To jakaś zagadka, tato? Próba ognia? A co z tobą: kochasz Jonaha?

– Jonaha tak – odpowiada. Kąciki ust ma wyraźnie opuszczone.

Zapada cisza. Walczę ze łzami.

– Gen uczucia przeskoczył jedno pokolenie?

Zamknął jednak oczy, głowa kiwa mu się na boki, ale muszę się skupić na prowadzeniu samochodu. Nagle to ja rządę.

Bruce z nawigacji każe nam zjechać z M25 i jechać na zachód M40, ale Jonah się z tym nie zgadza. Jeszcze przed chwilą mamrotał słodko pod nosem, ale ton jego głosu robi się coraz bardziej burkliwy, a podskakiwanie coraz agresywniejsze. Próbuję go uspokoić, ale hamulce puściły. Skacze do przodu, zaciska dłonie na szyi taty i zaczyna walić jego głową o zagłówek.

– Zjedź na pobocze.

– Nie mogę, jestem na skrajnym pasie. Daj mi pióro... pióro... są w schowku.

Tata się dusi i nie może dosięgnąć. Dłonie Jonaha zaciskają się jak pętla kata. Wyciągam rękę, naciskam zatrask, ledwie widząc drogę, wymacuję torebkę z piórami i rzucam ją za siebie niczym ochłap mięcha do lwiej jaskini. Jonah puszcza tatę i bierze do ręki pióro. Jego lewe oko natychmiast się na nim skupia. Uspokaja go.

– Jesteś cały, tato?

– Żyję. Na szczęście mam cztery podbródki.

– Jego pas jest zapięty?

– Zapięty.

– W kieszeni twoich drzwi jest butelka z wodą. Sprawdzisz, czy nie chce mu się pić?

Jonah wypija wodę jednym haustem, kawałki piór ma przyklepione do warg. Znowu się uśmiecha, a gdy zaczynają z tatą przybijać sobie piątki, wybucha śmiechem. Ciężko wypuszczam powietrze.

– „Za czterysta metrów skręć w lewo”.

Do wysokiej bramy z kutego żelaza prowadzi długi, łukowaty podjazd. Dzwonię domofonem i informuję o naszym przyjeździe, brama zaczyna się rozwierać do środka i ukazuje się gregoriańska posiadłość. Ruszamy powoli. Po chwili z prawej strony widać pola, las i stajnię, po lewej grupę niskich nowoczesnych budynków. We wstecznym lusterku widzę przyklejoną do okna twarz Jonaha. Parkuję i wysiadamy.

– Tak to sobie wyobrażałeś? – pytam tatę.

– Nie naciskaj.

– Nie naciskam. Cenię sobie twoje zdanie.

– Moje zdanie jest takie, że za dużo gadasz, zamknij się więc i pozwól mi wyrobić sobie własną opinię.

Z budynku wychodzi młoda, ubrana w nieformalny strój kobieta.

– Dzień dobry, jestem Susan Atwater, dyrektor do spraw nauczania, a to na pewno jest Jonah?

Jonah cały czas wściekle podryguje.

– Może być jeszcze nieco pobudzony od...

Susan Atwater wyciąga do Jonaha dłoń i patrzę jak zaczarowany, bowiem on podaje jej swoją.

– Jeżeli zachcecie panowie wejść... przygotowaliśmy plan zwiedzania.

Za podwójnymi drzwiami eleganckiego domu znajduje się wielki, wyłożony boazerią hol. Na wprost są schody, na lewo i prawo odchodzą korytarze. Z pokoju w lewym korytarzu wychodzi młody mężczyzna ubrany w granatowy dres z logo szkoły.

– To jest Mike. Mike, to ojciec i dziadek Jonaha. Mike oprowadzi Jonaha, a ja przedstawię panom nasz zespół i oprowadzę po ośrodku.

Mike wyjmuje z kieszeni plik laminowanych kart, przegląda je, wybiera tę, która przedstawia basen wypełniony piłeczkami, i podaje ją Jonahowi. Jonah oddaje mu kartę, bierze Mike'a za rękę i odchodzą. Kolejne podporządkowanie.

– Zobaczymy go za kilka godzin. Proszę się nie martwić, wszystko będzie dobrze.

Tata sprawia wrażenie skrępowanego, jego wzrok wędruje w górę i dół schodów.

– Internat... oddział... jest na piętrze?

Susan Atwater śmieje się.

– Nie, panie Jewell...

– Georg.

– Georg. To budynek administracyjny, mieszkania dzieci są gdzie indziej. Zaraz je obejrzymy. Pomyślałam, że najpierw przejdziemy się po terenie i wyjaśnię kilka naszych zasad.

Wychodzimy na zewnątrz i rozglądamy się.

– Nasz teren rozciąga się do płotu z drutu kolczastego, który widać przed nami, czyli jakieś pięćset metrów. Jeśli spojrzymy w prawo, będzie widać Wiejski Ośrodek Nauczania, gdzie nasi uczniowie mają kontakt ze zwierzętami – karmią świnię i kury, czeszą kucyki i oczywiście na nich jeżdżą.

– Jonah na koniu?

– Tak, konie to bardzo empatyczne zwierzęta, uważamy ten rodzaj terapii za bardzo skuteczny.

– Mam nadzieję, że konie są mocne.

Nie jestem w stanie tego pojąć. Umysł zablokował mi się jak stara czterdziestkapiątka. Jonah musi się tu dostać. Chcę, żeby tu był. Chcę tego dla niego. Cokolwiek trzeba będzie zrobić, cokolwiek.

Pani Atwater i tata zdążyli kawałek odejść, przyspieszam więc kroku, by ich dogonić.

– A to jest nasz las. Powyznaczaliśmy w nim szereg ścieżek, są tu odpowiednio uformowane gałęzie i obiekty do dotykania, które uczniowie mogą badać.

– Jonah zakocha się w tym – słyszę własny głos, brzmiący jak u alkoholika, który dostał na własność gorzelnię.

– Aby odpowiedzieć na pańskie wcześniejsze pytanie, Georg, mamy siedem domów, każdy z miejscem dla góra ośmiorga dzieci.

Susan Atwater otwiera karabińczyk na metalowej furtce i podchodzimy do budynku o płaskim dachu. Wciska przycisk przy drzwiach i wchodzimy do środka. Ogromne dwukondygnacyjne wnętrze sprawia wrażenie otwartej przestrzeni, choć cały parter wypełniono pluszowymi kanapami i workami do siedzenia. Jest telewizor i kuchnia, jedna ściana jest ze szkła i wychodzi na ogród.

– To Bell House, gdzie mieszkają najmłodszy. Obecnie to siedmioro dzieci, wszystkie są w tej chwili w szkole.

Mieszanka radości i obawy jest nie do zniesienia, jakbym pełził na pustyni do oazy, nie wiedząc, czy uratuje mi życie, czy to jedynie miraż.

– Sypialnie są na górze.

Im więcej mijamy drzwi, tym bardziej sprężysty staje się krok taty. Jak Charlie w fabryce czekolady.

– A to nasz najnowszy nabytek: basen sensoryczny. Basen z wodą ogrzaną do temperatury wody w wannie, z terapią dźwiękiem i światłem.

Sam chętnie bym się tu przeprowadził. Susan Atwater zwraca naszą uwagę na pole za oknem, w okolicy bramy wjazdowej. Trawa jest tam krótko przyszyżona i w szerokim kręgu rozstawione jest coś, co wygląda jak tor przeszkód dla dzieci z dmuchanymi przeszkodami. Dwie postacie zbliżają się do wielkiej, czerwonej, zwieńczonej łukiem bramy – Jonah... truchta. Dotychczas najszybszy bieg, jaki widziałem w jego wykonaniu, odbył się między telewizorem a lodówką.

Ta szkoła to niezwykle miejsce, to dwadzieścia hektarów rajy Jonaha. Dwadzieścia hektarów, pięćdziesięcioro czworo dzieci i ponad dwieście osób personelu na dyżurach w dzień i w nocy. Ten poziom opieki ma jednak cenę, więc w jakimś sensie tata ma rację – wszystko sprowadza się do pieniędzy. Dowiadaliśmy się z Emmą na temat tego typu szkół, a lista była krótka. Emma była w trzech i wybrała Highgrove Manor. Doskonale rozumiem dlaczego: pasuje do naszego syna jak rękawiczka do dłoni. Tyle jest potrzebujących dzieci, a tak mało miejsc dla nich, że jedynie drobny ułamek dostanie to, czego potrzebuje. Na myśl o tym, że Jonah opuści dom, przechodzą mnie dreszcze, ale jeszcze bardziej na myśl, że go tu nie będzie. Nie wyobrażam sobie, że miałby się tu nie dostać.

W gabinecie dyrektora szkoły, Hugh Challonera, rozmawiamy o czekających nas wyzwaniach.

– Czterdziestoczytygodniowy pobyt, czyli rok, w Highgrove kosztuje dwieście tysięcy funtów. Jeżeli Jonah dołączy do nas we wrześniu i zostanie do dziewiętnastego roku życia, wyniesie to milion sześćset tysięcy. Nie przyjmujemy prywatnych dotacji od rodziców ani innych osób, niezależnie od ich stanu majątkowego. Pobyt każdego przebywającego u nas dziecka finansują lokalne władze samorządowe.

– Płacą? – pyta tata.

– Niechętnie – mówię.

– Zaskakujące.

Pan Challoner uśmiecha się.

– Właśnie to próbuję ci od dwóch miesięcy wyjaśnić, tato. Musimy udowodnić, że Maureen Mitchell nie jest odpowiednia do potrzeb Jonaha, a Highgrove jest. Rozumiesz?

– Bogacze nie mogą po prostu zapłacić, aby się tu dostać?

– Nie mogą – odpowiada pan Challoner.

– Więc to socjalistyczna szkoła dla dzieci z autyzmem?

– Jeżeli chce pan to tak interpretować – odpowiada dyrektor.

– Po to więc ten trybunał, o którym suszysz mi głowę dzień i noc?

– Tak, tato.

– Ben, znajdziesz taką szkołę niedaleko Muswell Hill, to pogadamy.

Highgrove Manor podoba się tacie, bez dwóch zdań. Po raz pierwszy w tym tysiącleciu rozłożył stół w jadalni i zamiast wydłubywać jedzenie widelcami z plastikowych pudełek przy podrapanym kuchennym stole, zostaliśmy zaszczytzeni talerzami, łyżeczkami i kieliszkami do wina. Jonah nie chce siedzieć z nami, krąży między stołem a kanapą, łapie garściami to, na co ma ochotę, i odchodzi. Tata wygląda na zatroskanego, cmoka i wzdycha, lekko się uśmiecha i ma łezkę w oku, jakby wspominał. Jego melancholia mi się udziela, czuję do niego nagle coś w rodzaju czułości.

– Wiesz co? Może sobie odpoczniesz, a ja posprzątam i zajmę się Jonahem?

Dźwięk mojego głosu działa na niego jak pstryknięcie palcami przez hipnotyzera. Czerwieni się, jakby został na czymś przyłapany.

– Nie, Benjaminie, to miła propozycja, ale cały dzień prowadziłeś. Sprzątnij tylko ze stołu, a ja wezmę JJ-a na górę, potem pozmywamy.

– Dlaczego nie możemy wykąpać go razem?

– Nie trzeba, poradzimy sobie.

Słyszę w jego głosie pojawiającą się panikę, ale ma rację – jestem skonany, hamuję więc ciekawość.

– W porządku, ale pozmywam też sam, dobrze?

– Wiesz, gdzie są ścierki?

– Wiem.

– Płyn do mycia naczyń?

– Też wiem.

– Tylko nie nachlap wszędzie. Chodź, Jonah, idziemy do wanny.

Zmywanie zajmuje mi pół godziny, przemycie podłogi mopem kolejne dwadzieścia minut. Jest już najwyraźniej po kąpeli, bo gdy wchodzę po schodach, aby dać Jonahowi buziaka na dobranoc, słyszę dolatujący z jego pokoju głos taty. Ogarnia mnie ciekawość, pokonuję więc ostatnie stopnie na paluszkach i osuwam się wzdłuż ściany na podłogę, gdzie mogę słuchać niewidziany.

– Gdy urodziłem się w tysiąc dziewięćset trzydziestym czwartym roku – to bardzo, bardzo wiele dni temu, mój kochany chłopcze – bycie Żydem wydawało się dobre. Mój ojciec i moja matka, Edit, kochali mnie bardzo i tak samo mocno kochali mojego brata Jonatana – twojego wujka-dziadka. Uwielbiałem brata, był trzy lata starszy ode mnie, wysoki, miał ciemne włosy i promienny uśmiech, który zawsze rozświetlał mu twarz, gdy na mnie patrzył. Jednocześnie bardzo się różniliśmy. Podobnie jak ty, niewiele mówił. Gdy się go niedokładnie pilnowało, znikał i czasami wpadał w takie nerwy, że nawet ja

nie byłem w stanie go uspokoić... JJ? Może dokończymy jutro?

Słysząc ciche chrapanie Jonaha. Cała moja chwilowa czułość do taty rozwiała się jak mgła. Brat? Miał rodziców – to biologiczna konieczność – ale starszego brata? Jonatana? Dlaczego nigdy o tym nie mówił? Jonah może się dowiedzieć, ale ja nie?

Całe życie towarzyszyła mi paranoja „nieufności” cechującej ojca, chrzęściła mi między zębami niczym ości, teraz jednak, gdy okazuje się, że wcale nie była to paranoja, czuję się całkowicie nie na miejscu. Matka na Grenlandii i ojciec, który nie jest w stanie zrzucić z siebie warstwy lodu. Będę musiał co wieczór podsłuchiwać niczym agent KGB, aby się dowiedzieć, skąd się wywodzę? Tak stworzyć sobie własną książkę do poduszki? Rozlega się cmokanie, cicha kołysanka i szelest kołdry, gdy tata otula nią Jonaha. Skradam się na dół i zanim tata opuści pokój Jonaha, jestem już na kanapie. Tata wchodzi i wpatruje się we mnie pytająco.

– Zdawało mi się, że słyszę cię na górze.

– Z Jonahem wszystko w porządku? – odpowiadam pytaniem i wzruszeniem ramion.

– Jest w łóżku, szczęśliwy.

– To dobrze. Dzięki za uśpienie go. Spodobała mu się twoja opowieść?

Tata unosi dłoń na znak, że nie chce o tym mówić.

– Podaj mi „Daily Mirror”.

Rzucam gazetę, która ląduje rozłożona u jego stóp, nie reaguje jednak na to, ze spokojem podnosi płachty, składa je razem i siada.

– Jestem adoptowany? – rzucam.

– Że co?

– Nic.

Tata skupia się na środkowej podwójnej stronie z programem telewizyjnym, gdzie zaznaczył czerwonym długopisem różne programy w taki sam sposób, w jaki zaznaczał konie w programie gonitw. To pierwsza rzecz, jaką robi po skończeniu krzyżówki w „Guardianie”. Siedzi rozparty w fotelu, z pilotem w dłoni. Cisza gęstnieje i wiem, że z taką ilością krążącej w żyłach adrenaliny nie wytrzymam dłużej. Muszę znaleźć monopolowy.

– Wychodzę.

– Nie rób tego, Ben.

– Czego? – Boże, szpieguje mnie z okna swojej sypialni?

– Doprowadzisz się do ruiny.

– Potrzebuję tylko fajek.

– Skoro tak mówisz.

Mój samochód sam zna drogę – jestem jedynie pasażerem obserwującym, jak przyspiesza na obwodnicy północnej, jedzie pięć minut na wschód, po czym zjeżdża w kierunku Wynchgate. Samochodu Emmy nie ma pod domem, siedzę więc spanikowany i wściekły. W środku tygodnia dziesiąta to wystarczająco późno, daję jej jednak prawo do małego spóźnienia, ale jedenaście minut po dziesiątej czuję, jak skręca mnie w żołądku.

Próbuję normalnie oddychać, mierzę tętno i wyobrażam sobie, jak daję upust swojej energii na pysku tego, z kim przyjedzie. Dwadzieścia po gadam do siebie, boksuje

się z cieniem i popijam whisky z grzejącej się między moimi udami piersiówki. Wpół do jedenastej jestem załamany, mam objawy hiperwentylacji i pojękuję.

Zbliża się jakiś samochód – jego światła omiatają mnie, gdy skręca i wjeżdża na miejsce parkingowe Emmy. Gdy wysiada sama, dostaję kopa, jakbym wstrzyknął sobie herę. Wszystko się uspokaja, ogarnia mnie euforia i patrzę, jak z wyraźnym zmęczeniem otwiera frontowe drzwi i zaczyna wchodzić po schodach. Gdy w salonie zapala się światło, przekręcam kluczyk i odjeżdżam. Kocham ją tak, jak ćpun kocha swojego dilera, a jednak chcę ją przyłapać na kłamstwie.

Zaniepokojony

Wynchgate and Carlton NHS Trust



SZPITAL
WYNCHGATE

Pan Georg Jewell
14 Oakfield Avenue
Londyn N10 4RG

*Oddział
onkologii*

12 marca 2011 r.

Szanowny Panie Jewell,

wyznaczono Panu wizytę w Szpitalu Wynchgate w dniu 3 kwietnia 2011 r.

Proszę się zgłosić na Oddział Onkologii w Budynku Hestona (mapka w załączeniu) o godz. 10.00. Proszę wziąć pod uwagę, że zabieg – biopsja gruczołu tarczowego – zostanie przeprowadzony w znieczuleniu miejscowym, polityką szpitala jest jednak zatrzymywanie pacjentów powyżej siedemdziesiątego roku życia, którzy przechodzą ten zabieg, na noc na obserwację.

Keith Waters-Long
Administrator

Jonah się śmieje. Śmieje się od wpół do piątej rano. Śmiał się, gdy go szorowałem i kąpałem, śmiał się, gdy go wycierałem i ubierałem, a teraz nie może ze śmiechu jeść. Mnie nie jest do śmiechu, jestem wykończony. Jest sobota rano, ledwie dochodzi ósma, ale mam wrażenie, że minęło już pół dnia. Tata – wykąpany i ogolony – stoi w kuchennych drzwiach, z płócienną torbą podręczną w dłoni.

– Nie będzie mnie na noc. Poradzisz sobie?

Jonah śmieje się do niego, a tata całuje go w czubek głowy i mierzwi mu włosy. Jest jakby skurczony, mniej sprężysty. Jego oczy zmieniły kolor z bursztynowego na czerwony.

– Gdzie się wybierasz?

Dzwoni dzwonek do drzwi i w zamku obraca się klucz.

– Co się dzieje? – pytam, zanim wejdzie Maurice.

– Southend – mówi Maurice. – Turniej kaluki¹.

– Nienawidzisz kaluki. Nienawidzisz starych Żydów. Co się dzieje, tato? – Czasami bywa strasznie nieprzenikniony, w zasadzie przez większość czasu, ale Maurice jest jak otwarta księga. – Maurice?

– Nie patrz na mnie.

– Tato?

– Nic się nie dzieje. – W jego głosie jest równocześnie złość i strach. – Doktor Frankenstein chce kawałka mojego ciała, to wszystko.

Podaje mi kartkę papieru z niebieskim logo NHS w prawym górnym rogu.

– Biopsja? Masz dziś biopsję? Na szyi?

– Nie, na fujarzy. Oczywiście, że na szyi. Zacziesz raz się spotykać z lekarzami, nie odpuszczą, dopóki nie zrobią z człowieka chorego. Nic wielkiego, wróć jutro. A jak nie, skremuj mnie.

– Na Boga, dlaczego mi nie powiedziałaś?

– Jesteś chirurgiem? Nie. Więc co mogłeś zrobić?

– Jadę z tobą. Nie jestem dzieckiem.

– Zostajesz w domu. Jest ładny dzień, weź JJ-a do parku, daj mu zniszczyć kilka roślin. Maurice jedzie ze mną.

Ponownie rozlega się dzwonek do drzwi.

– To pewnie taksówka. Maurice, otwórz.

– Po co zamawiałeś taksówkę? Może cię przynajmniej zawiozę?

– Jeśli musisz, możesz mnie jutro odebrać. Tylko żeby nie było bałaganu.

Po ich wyjściu siedzę nad kawą. Jonah kręci się po ogródku, rwie na kawałki gołębie pióro. Jego ubranie leży na kupce przy tylnych drzwiach, na podłodze, przy otwartej lodówce widać kawałek nadgryzionego sera.

Wpatruję się w ekran telefonu, w numer Emmy. Serce dudni mi w uszach, z każdą kolejną naciskaną cyfrą coraz głośniejsze. Przy jedenastej cyfrze mam mdłości. Wciskam zieloną słuchawkę i czekam wieczność na połączenie; jeden sygnał, drugi, trzeci... po czym telefon przełącza się na pocztę głosową i się rozłącza.

Siedzę z tyłu między Jonahem i Tomem, udając, że tak jak Toma fascynują mnie

karty z piłkarzami.

– Muszę tylko wpaść na chwilę do Brent Cross, żeby coś wymienić – rzuca bez troski siedząca na fotelu pasażera Amanda.

– Nie możesz zrobić tego potem?

– To zajmie tylko dwadzieścia minut, w Johnie Lewisie. Johnny zaparkuje na zewnątrz, prawda, kochanie?

– Pewnie – mówi Johnny.

Takie proste rzeczy, drobne zbaczanie z drogi, są dla mnie niezwykle stresujące. Wszystko się może zdarzyć.

– Jeśli musisz.

– Będziemy w parku za pół godziny. Obiecuję – mówi Amanda.

Obserwuję minę Jonaha. Na razie jest dobrze. Skupia się na futrze wokół kołnierza swojej kurtki, zawzięcie wyszarpuje kawałki i skręca je w palcach. Gdy samochód zatrzymuje się w wolnej zatoce i Johnny rozpina pas, Jonah wysiada i chwyta mnie za rękę jak aniołek. Jedyną przewidywalną rzeczą w jego zachowaniu jest nieprzewidywalność.

Johnny wyciąga z bagażnika torbę i ruszamy do działu z damską odzieżą.

– Wujku, mogę zabrać Jonaha do działu z zabawkami? – pyta Tom.

To dwa piętra wyżej. Amanda upomina sprzedawcę, Johnny stoi za nią, jakby zażenowany.

– Chodźcie, wezmę was obu.

Gdy wjeżdżamy schodami, obserwuję ich. Jonah jest wyższy, ma dłuższe włosy, ściska i pociera gumową poręcz. Tom patrzy na niego, bez przerwy coś mówiąc, rozpaczliwie oczekując reakcji. Urodzili się w odstępie trzech dni, najpierw Jonah. Razem z Johnnym mieliśmy względem nich plany – mieli zostać najlepszymi przyjaciółmi czy coś w tym stylu i Tom dotrzymał umowy. Nigdy nie zapomina o Jonahu, zawsze zaprasza go na swoje urodziny, zawsze wita się z nim z radością. Tom chce się przyjaźnić z Jonahem, tak jak ja z Johnnym. Też bym tego chciał.

Z zabawkami na drugim piętrze sąsiaduje elektronika, więc mając oko na chłopców, zapoznaję się z najnowszymi gadżetami. Jonah podchodzi, zafascynowany kolorowymi, poruszającymi się zygzakami wygaszacza na laptopie. Sięgam po jego dłoń i łagodnie ją przytrzymuję. Dzwoni mój telefon.

– Skończyliśmy. Gdzie jesteś?

– Na górze, z chłopcami. Już jedziemy na dół.

– W porządku, widzimy się za minutę.

Sięgam po dłoń Jonaha, ale jej nie znajduję. Widzę nad regałem z figurkami z *Gwiezdných Wojen* głowę Toma i zakładając, że Jonah jest z nim, idę do niego.

Jonaha nie ma.

– Tom, gdzie Jonah?

– Był z tobą.

Wspinam się na palce i rozglądam po piętrze. To tu, to tam wydaje mi się, że widzę jego długie, potargane włosy. Próbuję opanować narastającą panikę. Ruszam przed siebie i przeszukuję kolejne przejścia między regałami w nadziei, że zaraz będzie po wszystkim

i świat wróci do normy.

– Wujku, gdzie on jest? – W głosie Toma słysząc przerażenie.

– Nie wiem. Tom, idź na dół i przyprowadź rodziców.

Gdy Tom zbiega po ruchomych schodach, dorywam jakiegoś wyższego rangą pracownika i próbuję mu wyjaśnić sytuację, jestem jednak tak rozkojarzony, że bełkoczę jak człowiek po wylewie.

– Mój syn... się zgubił... ma autyzm... nie mówi... nie wyczuwa niebezpieczeństwa...

Nagle nade mną wyrasta Johnny. Nogi mi nie wytrzymują, siadam po turecku, czekając, aż ktoś mnie uratuje. Gdyby była tu Emma... Słyszę dźwięki, jakbym był pod wodą. Z trudem docierają do mnie okrzyki „Jonah!”, rozpadłem się na kawałki. Amanda siada obok i obejmuje mnie ramionami.

– Proszę się nie denerwować, mamy na takie wypadki sprawdzone systemy.

Nad lustrem otaczającej mnie wody pojawiają się mężczyźni z krótkofalówkami, jakieś ręce mnie podnoszą i sadzają na krześle. Tom siedzi obok. Płacze. Johnny opisuje Jonaha i rysopis zostaje natychmiast podany przez głośniki.

– Ustawimy ludzi przy każdym wyjściu, nie wyjdzie z pasażu.

Johnny uspokajająco kładzie mi dłoń na barku. Powinienem biegać, pokonywać kolejne przejścia, krzyczeć jego imię, drzeć się ile sił, ale siedzę sparaliżowany, gdyż wyobraźnia podsuwa mi scenariusze zbyt straszne, aby dało się z nimi żyć. Tak łatwo go skrzywdzić... skrzywdzić... skrzywdzić. Zatyka mi dech w piersiach. Łkam i mam ochotę wyć. W przeponie, w moim gadzim wnętrzu, czuję, jak narasta coś, co jest w stanie rozbijać szkło i równać domy z ziemią.

Wpatruję się tępo w ruchome schody. Wypluwają głowę za głową, ciało za ciałem. Każda twarz wydaje mi się ohydna, diaboliczna, szydząca ze mnie.

– Ben, nie martw się, znajdą go – szepcze Amanda.

Tom wtula twarz w ciało ojca.

Na schodach pojawiają się głowy dwóch kobiet, a wraz z ich umundurowanymi ciałami materializuje się wciśnięta między nie potargana grzywa – za jedną dłoń trzyma go kobieta po lewej, w drugiej ma jasnoczerwony różek.

Johnny opowiedział mi później, że znaleziono go w McDonaldzie. W tamtej chwili uczucie ulgi było tak wszechogarniające, że nic do mnie nie docierało.

Siedzę z Amandą na ławce, podczas gdy Tom i Johnny mężnie próbują zainteresować Jonaha karmieniem kaczek. Jej długie nogi sięgają dużo dalej niż moje; prawie czarne, poskręcane w drobne loki włosy zasłaniają jej oczy i poruszane wiatrem, muskają jej nos. „Wygląda inaczej” – tak określa ją Emma. Wygląda inaczej, ale zachwycająco. Tom odrywa kawałki chleba z bochenka i podaje je Jonahowi, który je zjada. Podziwiam jego oddanie. Zdaję sobie sprawę, że ten park jest teraz dla Toma nieco nudny, jaskrawe urządzenia na placu zabaw nie stanowią już dla niego wyzwania, a huśtawka jest za niska, ale jego obecność pozwala mi się łudzić, że Jonah ma przyjaciół i może któregoś dnia będzie kopał piłkę. Jest oczywiście, że nadejdzie dzień, w którym nawet Tomowi znudzi się niefrasobliwość Jonaha i odwiedziny staną się obowiązkiem, niczym wizyta u młodszego kuzyna, albo – na tę myśl aż się wzdrygam – podstarzałego

wujka.

- Jeszcze się trzęsiesz? – pyta Amanda.
- Tylko trochę. Zabiłbym za drinka.
- Nic mu nie jest. Popatrz na niego. Nawet nie wie, że było jakieś zamieszanie.
- Czuję się jak przestępca.
- Nie wygłupiaj się. Coś takiego ciągle się zdarza.
- Jeszcze nigdy się nie zdarzyło, gdy był ze mną. Mogło mu się wszystko stać.
- Ale się nie stało.

Amanda częstuje mnie papierosem i zapalam nam obojgu.

Czuję się bezbronny, odsłonięty, więc nawet taki drobny przyjacielski gest nieomal doprowadza mnie do płaczu.

- Dlaczego nie ma jej z nami, Amando? Powinna tu być.
- Ben, wiem, że jesteś wściekły i nie bardzo wiesz, co się dzieje...
- To powiedz mi.

Amanda zaciąga się papierosem.

- Nie akceptuję jej zachowania, ale na pewno kocha Jonaha.
- Więc dlaczego?
- Musisz dać jej trochę czasu. Oboje już tak długo żyjecie pod ogromną presją, że mało brakowało, a któreś z was by wybuchło. Gdybyś pytał o moje zdanie – oboje eksplodowalście.

- Ja nie.
- Nie? Nie zapominaj, że znam cię, odkąd skończyłeś szesnaście lat.

Przerywa i palimy w ciszy.

- Wiesz, kiedy pierwszy raz uświadomiłam sobie, że masz problemy, Ben? Mam na myśli picie.

Kręcę głową.

- Dzwoniłeś do Johnny’ego i odebrałam, jakieś pół roku po tym, jak zacząłeś pracować u ojca. Siedziałeś na parkingu w Ikei i kazałeś mi zgadnąć, co robisz.

– I co robiłem?

- Przebijaleś się przez zestaw małych aromatyzowanych wódek i uważałeś, że to przezabawne.

Tak, wtedy mnie to bawiło.

- Teraz sobie przypominam. Pojechałem po dziecięce meble.
- Była dziesiąta rano.

Zapalam następnego papierosa, wydmuchuję dym i odwracam głowę.

– Kiepskie czasy – stwierdzam.

- Tak, kiepskie. Nie tylko dla ciebie, Ben. Kocham cię, ale trzeba cię doglądać.

Kiedy się poznaliście, ostrzegałam Emmę. Ostrzegałam.

– Dzięki.

- Naprawdę. Powiedziała jej, że jeżeli spodziewała się rekina przemysłu, to mocno się rozczaruje. Odparła, że dzięki tobie się śmieje i że jesteś delikatny.

– Amando, byliśmy dla siebie kiedykolwiek odpowiedni?

- Życie ma swoje wymagania. Bądźmy szczerzy: jeśli chodzi o odpowiedzialność,

nie zrobiłeś szczególnych postępów.

Krzywię się, na co Amanda głaszcze mnie po policzku.

– Potem oczywiście pojawił się ten wspañiały łobuz o imieniu Jonah i dawałeś jej popalić za własne, nieuzasadnione poczucie winy. Daj jej trochę przestrzeni. Emma zbyt długo nosiła ten ciężar na ramionach. Wiem, że niemiło ci to słyszeć ode mnie, ale rusz tyłek! Johnny i ja zawsze ci pomożemy.

Wpatruję się we własne stopy.

– W porządku? – pyta Amanda. – Wszystko między nami okej?

Zjawia się Johnny, zadyszany, chłopcy biegną tuż za nim.

– Co się dzieje z twoim tatą? – pyta.

– Biopsja jakiegoś guzka w szyi.

– Prawdopodobnie nic poważnego. Zwykle tak jest.

– Mhm. Mogą nawet znaleźć ropę naftową.

– Albo kwas siarkowy. Stary drań z twojego taty.

– Wujku! – woła Tom. – Jonah idzie do kawiarni.

Wstaję, by za nim pobiec, ale Johnny mnie powstrzymuje.

– Idź z nim, Tom, bądź dobrym chłopcem.

– Ale nie mam pieniędzy.

– Nie przejmuj się, Jonah ma otwarty rachunek – uspokajam go. – Powiedz tylko Marie, żeby zanotowała, zapłacę potem. Kup sobie, na co masz ochotę.

– Dziękuję.

Patrzę za nimi, aż wchodzi do małego parterowego budynku, po czym dalej gapię się na zamknięte drzwi.

– Naprawdę, Ben, twój tata jest zrobiony z kevlaru. To prawdopodobnie tylko coś gruczołowego.

– Prawdopodobnie tak.

Emocje z wczorajszego wieczoru ukryłem głęboko, ale rozmowa o tacie sprawia, że wracają. Obserwuję na powierzchni stawu odbijające się wierzby, zmiany obrazu w zależności od przebijania się słońca przez rzadkie chmury. Koncentracja na wodzie to w sumie medytacja – Jonah też tak czasami robi. Dobrze wyczuwam, że tata jest poważnie chory, czy to tylko mój zwykły pesymizm? Wyobrażanie sobie śmierci kogoś bliskiego to chyba nic złego – przygotowanie się do spokojnego zachowania, ustalenie, kto będzie człowieka wspierał.

– A u ciebie jak?

Wydmuchuję dym razem z „w porządku”.

– A twoja mama? Wie o tym?

– Jeszcze by tego brakowało. Nawet nie wiem, gdzie jest. Podobno w Skandynawii, ale do końca nie wiadomo.

– Rodzice Emmy?

– Murray i Evelyn? Nie mam pojęcia. Opuszczają Florydę tylko, jak ktoś umrze.

– A trybunał?

– W dalszym ciągu muszę wydusić pieniądze od taty.

– Aua.

- Właśnie.
- Nie powiedziałaś jeszcze, co u ciebie.
- Poza zjebką, jaką właśnie dostałem od twojej żony?
- Ben... – próbuje protestować Amanda, przyciągam jednak jej głowę i całuję w czoło.

Chłopcy schodzą ze wzgórza, Jonah idzie pierwszy, gryząc jabłko, Tom za nim, z przylepionym do ust jaskrawym lodem.

– U mnie? A jakie to ma znaczenie? Sprawa nie zależy ode mnie. Tata zdecyduje, czy będziemy walczyć w trybunale, ponieważ jestem goły, a Emma najwyraźniej zdezerterowała, o czym wiesz. Od wieków nie widziałem się ani nie rozmawiałem z nikim poza wami. Jeśli nie zawalczymy, albo zawalczymy i przegramy, reszta mojego życia będzie sterowana ruchami jelit, rytmem snu i skokami nastroju mojego syna – jeśli wygramy, mój syn w wieku jedenastu lat opuści dom, by prawdopodobnie nigdy nie wrócić, będę tacie winien pieniądze do końca życia, a do tego będę samotny i bezdomny.

- Mogłoby być gorzej.
- Czyli?
- Mógłbyś być łysiejącym Żydem w średnim wieku z podupadającym interesem, żoną i ptakiem wielkości nóżki pieczarki.
- Co ja bym zrobił bez twoich motywujących gadek?
- Wujku! Wujku! Możemy iść na plac zabaw?

Jonah już ruszył. Nie do najbliższej furtki na sprężynie, lecz do tej, która znajduje się po przeciwnej stronie płotu wokół placu zabaw. Zawsze tak robi – prawdopodobnie nie dostrzega związku między otwarciem bliższej furtki a urządzeniami w środku. Jakby jego pamięć nie była w stanie poradzić sobie z dwójkowymi rozwiązaniami, jakby potrafił osiągnąć to, czego pożąda, tylko za pomocą jednego określonego działania. Nieustannie mam przed oczami, jak drepcze w kółko z uniesionymi rękami.

– Chodźmy z nimi – mówię do Johnny’ego i Amandy.

Tom buja się na huśtawce obok Jonaha, ale równie dobrze mogliby być na dwóch różnych placach zabaw. Siadam obok Jonaha, a on schodzi z huśtawki i idzie na zjeżdżalnię. Wspina się, ale zatrzymuje, blokując drogę idącym za nim dzieciakom. W końcu przepycha się na schodki i niepewnie schodzi. Jeszcze nigdy nie zjechał ze zjeżdżalni.

- Wujku, naprawdę mi przykro.
- Dlaczego, Tom?
- Tom zaczyna płakać, klękam przed nim i kładę mu dłonie na udach.
- Powinienem być go pilnować, gdy poszliśmy do zabawek. Przepraszam...
- Tommy, to nie była twoja wina. Absolutnie nie czuj się winny.
- Jest moim najlepszym przyjacielem, a ja go zostawiłem.
- Nie jesteś odpowiedzialny za Jonaha.
- Nie umie mówić, więc muszę to robić za niego. Próbuję go uczyć, wujku, żebyśmy w przyszłym roku mogli iść do tej samej szkoły.
- Tom...
- Amanda staje za mną i przejmuje pałeczkę.

– Tommy, Jonah pójdzie do wspaniałej szkoły, gdzie nauczą go wszystkiego, co musi wiedzieć, ale ty zawsze będziesz jego najlepszym przyjacielem, prawda? Więc uściśnij wujka.

Uścisk dziesięciolatka to dziwne uczucie.

W nocy przygotowywałem się na najgorsze, ale rano tata wychodzi przez automatyczne drzwi, ściskając torbę niczym wracający z wakacji turysta. Z lewej strony szyi ma wielki plaster. Na jego widok Jonah uśmiecha się i zaczyna podrygiwać. Tata pozwala mi wziąć torbę, idziemy w milczeniu na parking i wsiadamy do samochodu.

– Dobrze się czujesz?

Z terenu szpitala wyjeżdżamy w ciszy.

– No i? – pytam.

– Co: no i?

– Co powiedział lekarz?

– Nic, wbił tylko igłę w szyję i kazał nosić szlafroczek, z którego wystawało mi dupsko.

– Co stwierdzili?

– Mam czekać na cytologię, histologię, czy jak to się zwie.

– Byli zaniepokojeni?

– Dlaczego mieliby być zaniepokojeni? To we mnie wbijali igłę. Umieram z głodu, a tego, co tam serwują, nie da się jeść. Zabierz mnie gdzieś na lunch.

– Nie wolisz jechać do domu i odpocząć?

– Leżałem dwa dni i jestem pusty w środku. Potrzebuję jedzenia. Ruszaj!

Ze wszystkich możliwych miejsc wybiera Goldberga – w niedzielę, w porze lunchu. Stoły są poustawiane tak blisko siebie, że gości muszą chyba sadzać dźwigiem, a hałas jest nie do zniesienia. Przychodzi się tutaj, by dać upust swoim frustracjom i rozżaleniu oraz z nadzieją, że ten, kto je wywołał, będzie siedział przy stoliku obok. Kelnerzy – wszyscy wiekowi, pochodzący z Grecji i pracujący na zlecenie – są tu uczeni krzywić się, rozlewać zupę, rzucać kiepskie dowcipy i szczypać policzki tłustych wnuków – zawsze nieco za mocno.

Tata ma jednak ochotę na soloną wołowinę – czerwoną jak dupa pawiana i ciętą jak skóra na buty, nasączone olejem *latkes*², ogórki konserwowe, barszcz i, co najważniejsze, kłótnię, głośną kłótnię z mnóstwem dźgania palcem. Założę się, że na potrzeby tylko tej restauracji pogotowie trzyma jedną z karettek w ciągłej gotowości.

– Nie sądzę, aby to miejsce było dobre dla Jonaha.

Stoimy w kolejce, czego Jonah nie rozumie.

– Tato, jeśli jeszcze chwilę tu postoiemy, zacznie rozrabiać. Możemy jechać gdzie indziej?

Tata patrzy na Jonaha, który ściska go z całej siły za rękę.

– Może masz rację. Zrobisz mi kanapkę w domu.

Nagle jednak w górę idą gięte krzesła.

– Tam! Chodź tędy – rzuca tata i przeciska się między dwoma stolikami, między którymi nie ma przerwy. – Trzymaj się mnie.

– Hej, pilnuj tego małego *szajgeca*³!

Patrzę w dół na Jonaha. Wciśnięty między mnie a tatę, żuje garść czyjejś solonej wołowiny. Krzywi się, pluje, rzuca mięso z powrotem na talerz właściciela i bierze sobie placek ziemniaczany.

– Co to ma być? Ten dzieciak to świnia!

Tata odwraca się i dźga powietrze palcem.

– To mój wnuk, *szmok*⁴. – Macha dłonią w powietrzu i nawiązuje kontakt wzrokowy z kelnerem. – Tutaj! Jeszcze jeden talerz wołowiny i *latkes* dla tego *jidysze* Kojaka. Zadowolony?

– Tato, chodźmy. – Wieść o przywłaszczeniu sobie placka przez Jonaha rozeszła się jak ogień.

– Nasz stolik jest gotowy.

– Nie chce mi się jeść.

– Ty wyszedłeś właśnie ze szpitala? Siadaj, zjesz.

Stolik jest malutki i okrągły i muszę chwycić Jonaha za biodra, aby wpasować go w krzesło. Przez dresowe spodnie czuć krzywiznę półdupków. Nie powinno być ich czuć. W pośpiechu zapomniałem mu założyć pieluchę i nie wziąłem torby z dodatkowymi. Modlę się, aby tylko się zsikał. Jest mi równocześnie zimno i gorąco.

– Tato, możesz poprosić kelnera o garść serwetek?

– Masz na stole.

– Potrzebuję większych, grubszych, mnóstwo, albo jeszcze lepiej rolkę papieru kuchennego lub toaletowego. – Sam poszedłbym po papier do toalety, ale nie mogę się poruszyć. – Proszę.

Wbija we mnie wzrok i zamyka oczy, z pogardą, po czym woła kelnera i szepcze mu do ucha. Kelner odchodzi szybkim krokiem.

– Jak mogłeś?

– Martwiłem się o ciebie – odpowiadam.

– Nieudacznik. Nie jesteś w stanie pamiętać o zwykłej torbie z rzeczami dla niego.

Kelner wraca z rolką ręczników kuchennych. Nie ma możliwości zrobić tego dyskretnie. Odrywam pojedyncze listki, składam je w plik, ściągam Jonaha z krzesła i wpycham mu prowizoryczną pieluchę od tyłu w spodnie i między nogi.

– Jak mogłeś go tak upokorzyć?

– Przepraszam, spieszyłem się.

– Benjaminie...

Więcej nie zdążył powiedzieć. Opuszcza brodę na pierś. Bycie karconym pełnym imieniem boli, głęboko. To jak upominanie dziecka, wyraz najgłębszej dezaprobaty. Nie złości – przed złością można się obronić – ale prawdziwego, całkowitego odrzucenia, które zre duszę. Do tego dochodzi obrzydliwa świadomość, że ciągle zależy mi na jego akceptacji.

Pojawia się zapach.

Ciemniejąca plama.

Dwieście unoszących się nosów.

Wstawanie.

Biegnący kelnerzy.

Szarpanie z gmerającymi rękami Jonaha.
Rozsmarowywanie.
Gorączkowe wycieranie.
Stoliki, rozstępujące się jak Morze Czerwone.
Wstyd.

Pierdolony wstyd.
Opatrunek na jego szyi.
Panika – a jeśli jednak?
Milcząca jazda do domu.

I jedyne słowa, rzucone z westchnieniem w drzwiach do sypialni:

– Ty zapłacisz. Jesteś jego ojcem. Dałem ci interes, zapłać z niego. Jeżeli naprawdę chcesz tego dla swojego syna, zapracuj na to. A teraz go wykup. Porządnie.

Przez cały tydzień jestem w niełasce, ciągle w drodze między pubem, magazynem i domem.

Dziś jest piątek i siedzę w moim imperium sprzętów na przyjęcia do wynajęcia. Spędzam poranek, śniąc na jawie. Po raz pierwszy cieszy mnie perspektywa wielu godzin zmywania. Jest w tym coś terapeutycznego – powtarzający się ruch ścierki wokół kieliszka, unosząca się nad białymi porcelanowymi talerzami para. Valentine stoi naprzeciwko i każdy jego ruch jest podobny do mojego. Nie lubi mówić, nie lubi mnie, więc obu nam pasuje, że każdy zajmuje się swoją robotą.

Dzwoni telefon.

– Wypożyczalnia Przyjęciowa Jewella.
– Mogę mówić z panem Benem Jewellem?
– Przy telefonie, czym mogę służyć?

– Jestem sekretarką Valetty Price. Wiem, że to bardzo krótki termin, ale klient pani Price odwołał spotkanie dziś o czwartej...

– Przyjadę.

Valentine przestaje polerować kieliszek.

– Wychodzisz?
– Tak, muszę się spotkać z adwokatem w sprawie Jonaha.

Cmoka.

– Mamy dostawy.
– Możesz je załatwić.

Odstawia kieliszek i wbija we mnie wzrok.

– Nie weźmiesz choć kilku? Nie wyrobię się sam ze wszystkimi.
– Poradzisz sobie. Przygotowałem ci trasę.
– Za dużo przystanków. Nie skończę przed szóstą.
– Valentine, nie możesz wziąć kilku godzin więcej? Zapłacę.
– A co, twoim zdaniem, robiłem przez ostatnie tygodnie?
– Byłem zajęty.
– Wiem, w pubie.
– Posłuchaj mnie...
– Nie, ty mnie posłuchaj: mam tego dość.

Kładę dłoń na czole.

– Zrób, ile możesz, resztę odwołam.

Valentine wraca do polerowania i spuszcza wzrok.

– Jak uważasz.

1 Gra karciana, odmienna od remika (przyp. red.).

2 *Latkes* (jidysz) – placki ziemniaczane.

3 *Szajgec* (jidysz) – łobuz, hultaj, urwis.

4 *Szmok* (jidysz) – kretyn.

Ile?

SZKOŁA HIGHGROVE MANOR

DLA DZIECI I MŁODYCH DOROSŁYCH Z AUTYZMEM

Highgrove Lane, Highgrove, Oxfordshire OX7 3RG

24 marca 2011 r.

Szanowny Panie Jewell,

po ocenie Jonaha, zarówno w obecnej szkole, jak i u nas, w Highgrove Manor, z przyjemnością informuję, że doszliśmy do przekonania, iż będziemy w stanie spełnić potrzeby Jonaha, w związku z czym zarezerwowaliśmy u nas miejsce dla niego, przy założeniu pozytywnego wyniku planowanego postępowania przed trybunałem do spraw wykształcenia.

Życzymy szczęścia i czekamy na pojawienie się Jonaha u nas we wrześniu.

Z wyrazami szacunku
Susan Atwater
Dyrektor ds. nauczania

Lincoln's Inn Fields. W poprzednim życiu, gdy jeszcze miałem aspiracje i cechowałem się arogancją, pracowałem pięć minut stąd jako asystent do spraw marketingu. W tamtych czasach – paskudnej recesji wczesnych lat dziewięćdziesiątych – okolica była pełna wyglądających jak wielokolorowe jednoosobowe namioty, wybrzuszonych i pospiesznie skleconych kartonowych budek, sprawiających wrażenie pastiszu festiwalu rockowego. W samym sercu londyńskiego przepychu bezdomni zbudowali sobie domy. Był to afront wobec adwokatów w garniturach z wełny czesankowej, którzy traktowali okolicę jak prywatny park, i gdy korty tenisowe, na których grali w czasie lunchu, nagle zrobiły się niedostępne, czara goryczy się przelała. Jednego dnia kartonowe „namioty” stały, następnego już ich nie było, brama została zamknięta na kłódkę i wprowadziły się szczury. To, że adwokaci wolą gryzonię od ludzi, zawsze mnie bawiło.

Teraz wszystko wróciło do swej okazałości. Idę na spotkanie z – być może – adwokat Jonaha, panią Valettą Price. Najwyraźniej adwokaci nie lubią się reklamować, bo wszystkie ogromne drzwi zajmującego cały kwartał budynku są identyczne, a każdy lokator budynku ma na swoich mosiężną tabliczkę wielkości pocztówki. Obchodzę wszystko dookoła i zanim z ulgą dostrzegam – całkiem przypadkowo – napis „Pani Valetta Price”, leje się ze mnie pot.

Recepcja jest zaskakująco nowoczesna, wcale nie w stylu Rumpole'a₁ – wszędzie błyszczący dębowy fornir i czarna skóra. Jestem prowadzony korytarzem do otwartych drzwi, sprawiających wrażenie dębowych, przez które wchodzę do gabinetu utrzymanego w podobnym, ascetycznym stylu. Biurko jest jasnobrązowe i ogromne, siedząca za nim Valetta Price wydaje się malutka i przygaszona. Jej fryzura wygląda, jakby cięto ją „po garnku”. Od razu widać, że ta kobieta nie bierze jeńców.

– Więc pochodzi pani z Malty?

– Słucham?

– Valetta. To miasto na Malcie?

– Możemy zacząć jeszcze raz, panie Jewell? W sprawie Jonaha?

– Oczywiście.

Powtarzam sobie, że Valetta Price jest znana z nieustępliwości. Przewraca kartki z teczki dotyczącej Jonaha, o przygotowanie której poprosiła mnie jej asystentka, gdy po raz pierwszy się z nią skontaktowałem, i drażni mnie, że dotychczas ich nie czytała.

– Jest pan w pełni świadom, w co się pan pakuje?

Ogarniają mnie lekkie wątpliwości.

– No cóż, wiem, że to będzie drogie.

– Dzisiejsze spotkanie jest darmowe, ale tylko to jedno. Przedstawiam najgorszy możliwy scenariusz tylko i wyłącznie z uczciwości.

– Oczekiwałem kilku...

– W rzeczy samej. Jeżeli jest pan w stu procentach zdecydowany na zdobycie miejsca w szkole z internatem, będzie pan robił dokładnie to, co powiem, przedstawi Jonaha wszystkim ekspertom, których wyznaczę, i będzie gotów do walki.

– Chciałaby pani zobaczyć zdjęcie Jonaha?

– Nie, dziękuję. Musi pan zrozumieć, że ten przypadek nie jest moją sprawą osobistą i panu też nie wolno traktować niczego osobiście. Proszę się nie spodziewać, że władze lokalne położą się i poddadzą, bo nie zrobią tego. W materiałach, które mi pan przekazał, nic na to nie wskazuje. Obowiązek dowodu jest po naszej stronie, panie Jewell – nie działamy w schemacie „winny–niewinny”, ponieważ władze lokalne... które dokładnie?

– Wynchgate.

– Och, jakże miło...

Robię co mogę, aby wychwycić w jej głosie choć odrobinę serdeczności.

– Wynchgate, jak właśnie mówiłam, musi jedynie udowodnić, że Maureen Mitchell jest dla Jonaha „odpowiednia”.

– Ale zdecydowanie nie jest.

Z półki za biurkiem Valetta Price zdejmuje książkę. Liże kciuk i zaczyna kartkować.

– Odpowiedni: właściwy, stosowny, przysługujący, zasłużony, godziwy, słuszny. Z prawnego punktu widzenia słowo „odpowiedni” nie jest jasno określone – to pojęcie miękkie, ogólne, niejasne.

Unosi wzrok i przyszpila mnie nim.

– I z tego powodu cholernie trudne do udowodnienia. Dlaczego, pańskim zdaniem, wybrali akurat to określenie?

– Dla chachmętu.

– Nie. – Splata dłonie za głowę i opada na oparcie fotela. – Nie dla chachmętu, to pojęcie wydumał raczej kiedyś prawniczy odpowiednik rachmistrza ubezpieczeniowego. Ktoś, zdający sobie sprawę z tego, że jedne sprawy wygrają, inne przegrają, ale muszą utrzymywać na odpowiednim poziomie składki, żeby zainteresować konieczną do zachowania dodatniego bilansu liczbę klientów. W sumie to całkiem sprytnie.

– Wkurwiające.

– Proszę trzymać emocje na wodzy. Po to pan tu jest.

– Nie, jestem tutaj, aby zapewnić synowi i żonie najlepszą możliwą przyszłość i aby znowu mieć dom.

– Obawiam się, że w tym zakresie nie jestem w stanie pomóc.

– Ale to, że jesteśmy w separacji, pomoże w sprawie Jonaha?

– W minimalnym stopniu, panie Jewell. Chodzi wyłącznie o kształcenie Jonaha. Pańska sytuacja rodzinna to sprawa służb socjalnych, więc nieistotna. Prawo rozwodowe nie jest moją specjalnością, choć mogłabym doradzić, gdzie się skierować. Panie Jewell, słucha mnie pan?

– Nieistotna? Przykro mi, ale myli się pani.

– W jakim sensie?

– Moja żona dowiedziała się, że samotni ojcowie częściej wygrywają procesy przed trybunałem. Jesteśmy od dwóch miesięcy w separacji na podstawie założenia, że...

– Przykro mi, ale moim zdaniem ktoś źle jej doradził. Może powinien pan do niej zadzwonić i poprosić o powrót do domu. Panie Jewell?

Valetta Price patrzy na mnie znacząco – taka namiastka współczucia.

Z jakim specjalistą rozmawiała Emma? Można było uniknąć całej tej maskarady. Jak Emma mogła nie wiedzieć, jak mogła...? Cierpię męki.

– Mogę na chwilę przeprosić, pani Price? Chciałbym iść do toalety. – Nie czekam na odpowiedź. Mijam korytarz i wychodzę na otrzęwiający powietrze. Spływam potem i mam mdłości. Miotając się między upokorzeniem a wściekłością, wybieram numer. Włącza się sekretarka. Znowu wybieram numer, tym razem ukrywając własny. Sekretarka. Dzwonię do biura Emmy – nie ma jej. Dzwonię do domu: sekretarka. Znowu dzwonię na jej komórkę: sekretarka. Zostawiam wiadomość: „Oddzwoń, do kurwy nędzy. Dlaczego mnie okłamałaś? Naopowiadałaś głupot o samotnych rodzicach?! Gówno prawda. I nie próbuj udawać, że nie wiedziałaś – jesteś prawniczką! Zrobiłaś mnie w wała. Dlaczego, Emmo? Dość tego pieprzenia, rozumiesz?”.

Rozłączam się, choć jakaś część mnie najchętniej skasowałaby wiadomość albo wysłała następną, rozjemczą i płaszczącą się – co tylko nasila cykl wściekłości i upokorzenia. Wciągam głęboko powietrze, jakbym miał zanurkować, wypuszczam je, po czym powtarzam oddechy raz za razem, równocześnie masując sobie kark. Wracam do środka, w łazience spryskuję sobie twarz wodą, przyklepuję włosy i biorę łyk z piersiówki. Jonah... – powtarzam sobie. – To dla Jonaha.

Gdy sięgam po herbatę, drży mi dłoń. Próbuję odstawić filiżankę, ale wylewam przy tym herbatę na biurko Valetty Price. Dałbym wiele, żeby móc natychmiast stąd wyjść. Niczym mantrę powtarzam w myśli „Jonah, Jonah” i jakoś odzyskuję panowanie nad sobą.

– Dziękuję za propozycję, ale nie potrzebuję specjalisty od rozwodów. Niedługo będziemy znowu razem.

– To dobrze – odpowiada nonszalancko Valetta. – Skupmy się jednak na Jonahu, dobrze? Jak już mówiłam, powinnam zostać zaangażowana przez pańskiego adwokata i taka powinna być moja rola.

– Nie mam adwokata. – Kolejny dowód przerażającej ignorancji.

– W takim razie powinien pan skorzystać z usług tego.

Podaje mi błyszczący folder z przypiętą w prawym górnym rogu wizytówką.

– Curran i Partnerzy, Manchester? Jak mam tam pojechać?

– Nie musi pan. Wszystko zostanie załatwione przez telefon i maila. Zadzwoń do nich w pańskim imieniu?

Zaczyna wybierać numer, zanim zdąży odpowiedzieć. Cokolwiek każe Valetta Price, zgodzę się. Czuję, jak wszystkiego mi się odechciewa – moja złość wykonała nagły zwrot i jej ostrze kieruje się teraz przeciwko mnie. Mam ochotę się ukarać – zanurzyć w wannie z wódką i natrzeć ciało stalową wełną. Zniknąć, nic nie czuć. Wszystko od siebie odsunąć, niczym się nie przejmować i nie mieć nikogo, kto się mną będzie przejmować.

– Georgia? Cześć, tak, świetnie, dziękuję. Mam potencjalnego klienta, umieszczenie z powodu autyzmu, część czwarta. Wiem, że już późna godzina, ale...

Siedzę pochylony na krześle, ściskając spocone dłonie. Późna godzina?

– Tak, już daję.

Podaje mi słuchawkę.

– Halo?

– Witam, panie Jewell. Mówi Georgia Stone z Curran. Valetta skopiuje pańskie dokumenty i wyśle je do mnie. Prawdę mówiąc, powinien był pan zacząć działać rok temu, ale proszę się nie przejmować, jeśli uda nam się zebrać wszystko, czego trzeba, i zostanie ustalony termin w trybunale, który wszystkim będzie pasował, powinniśmy zdążyć do trzydziestego lipca. Panie Jewell?

Głos Georgii brzmi, jakby była młoda i rozbijającą życzliwa.

– Tak, słucham?

– Ma pan jakieś pytania?

– Co się stanie, jeśli termin nie zostanie wyznaczony przed trzydziestym lipca?

– Wtedy będziemy musieli, niestety, celować w datę we wrześniu, gdy – na szczęście – jest u nas spokojniej, ale Jonah nie będzie mógł chodzić do szkoły, aż odbędzie się posiedzenie trybunału i ogłoszony zostanie werdykt.

Szybko liczę w pamięci: sześć tygodni wakacji plus prawdopodobnie cały wrzesień, czyli dziesięć albo jedenastą tygodni sam na sam z Jonahem i tatą. Nie – Emma będzie musiała wziąć go na jakiś czas.

– Musimy zdążyć. To konieczne.

– Zrobimy co w naszej mocy, panie Jewell, ale im szybciej zaczniemy, tym większe będą szanse. Przedstawić panu nasze zasady?

– Tak, chyba tak będzie najlepiej. Nie, sekundę! Jaki będzie mniej więcej całkowity koszt?

– Średnia wynosi dwadzieścia pięć tysięcy funtów, ale wszystko zależy od władz lokalnych, czasu, jaki my i Valetta będziemy musieli poświęcić sprawie, wezwanych na świadków rzeczoznawców i tak dalej. Nie powinno wyjść jednak więcej niż trzydzieści tysięcy. Panie Jewell?

Nie więcej niż trzydzieści tysięcy! Na jakiej planecie...

– Tak, jestem.

– Nasze zasady?

– No tak.

– Wymagamy początkowego depozytu w wysokości dziesięciu tysięcy funtów i miesięcznego zlecenia stałego na pięćset funtów, które będzie przechowywane na pańskim koncie klienta. Mogę ruszyć procedurę, jeśli...

Tego też oczywiście nie uwzględniłem. Zdruzgotany, wyjmuję portfel i sprawdzam karty kredytowe. Ciekawe, czy któraś przeszłaby kontrolę wypłacalności – firmowa na pewno nie. Jeśli się nie uda, mogę zadzwonić do Johnny'ego...

– Akceptujecie karty kredytowe?

– Oczywiście. Wszystkie to Visa?

– Trzy z nich.

Valetta wyjmuje mi ze spoconej dłoni słuchawkę i zaczynam czekać na przesłodzone wymówki o awarii czytników i zerwaniu połączenia z Internetem w reakcji na moje karty jedna po drugiej wypływające niczym trucizna.

– Panie Jewell, wszystkie systemy działają.

Zaskoczony, wybucham śmiechem.

– Wszystkie osiem przeszło.

– Na to wygląda. – Valetta podaje mi kartkę papieru.

– To jest lista ekspertów, którzy powinni zobaczyć Jonaha. Niektórzy będą musieli przeprowadzić obserwację w domu i w szkole, ale poinformują pana o tym. Powtórzę: mieliśmy drobny falstart, więc musimy nadgonić, a ponieważ ludzie z tej listy są najlepsi, prawdopodobnie wielu będzie już zajętych. Zaczęłabym dzwonić do nich natychmiast po powrocie do domu i przekazywać, że działam w pana imieniu. Gdyby ktoś odpowiedział panu, że jest niedostępny, proszę skierować go do mnie. Jakies pytania na koniec? – Patrzy na zegarek. – W porządku, w takim razie widzimy się w trybunale. Aha, rzeczoznawcy będą panu wystawiać swoje rachunki.

– Oczywiście.

Ścisną mi dłoń i nagle stwierdzam, że jestem na podwórzu, choć nie pamiętam, jak wychodziłem z budynku. Nie wiem dlaczego, ale czuję się, jakbym sprzedał rezydencję albo wstąpił do scjentologów.

Znajduję ławkę i siadam. „Cechy wspólne” – tak to nazwała. Bycie samotnym ojcem bardzo pomoże w sprawie Jonaha. Mam już dość tego uczucia, tej dziwacznej upiornej brei, która otacza mnie tym gęściej, im bardziej oddalam się od Emmy. Czy to możliwe, aby jej koleżanka się pomyliła albo Emma została wprowadzona w błąd?

Minęły dopiero dwa miesiące, a już mam trudności z przypomnieniem sobie brzmienia jej głosu – jak świat może się tak szybko rozlatywać? Dlaczego moje zmysły i wspomnienia mają tak krótki czas rozpadu połowicznego? Zadzwoić do niej ponownie i przekazać „dobrą wiadomość”, że możemy z Jonahem wracać do domu? Udawać, że nie wątpię w jej motywę? Może powinniśmy się wprowadzić bez pytań, rozwiesić baloniki, rozstawić babeczki i butelkę wina? Zaskoczyć Emmę? Tak, chyba by ją to zaskoczyło.

1 Nadawany w latach 1978–1992 w Wielkiej Brytanii serial telewizyjny *Rumpole of the Bailey* przedstawiał starzejącego się adwokata, broniącego (często biednych) klientów w sądzie kryminalnym.

Wafel

Wydział Służb Socjalnych Wynchgate
Centrum Obywatelskie
Brown Street
Londyn N24 3EA

30 marca 2011 r.

Szanowny Panie Jewell

Sprawa: Jonah Jewell, ur. 11 maja 2000 r. – pakiet opieki

Niedawne spotkanie z Jonahem było przyjemnością.

Po analizie Pańskiej sprawy mogę zaoferować następujący pakiet opieki:

- Trzy razy w tygodniu opiekunka w godzinach 7.00–8.30 do pomocy w szykowaniu Jonaha do szkoły.

Wraz z obecnie udzielanymi świadczeniami:

- Co niedziela – uczestnictwo Jonaha w dzielnicowym ośrodku dla dzieci niepełnosprawnych w godz. 9.30–15.30, z transportem. Szczegóły zostaną przesłane w osobnym piśmie.
- Po szkole klub w tym samym miejscu jak powyżej, dwa wieczory w tygodniu (łącznie z przewozem szkoła–klub–dom).
- Dwa wieczory w miesiącu opiekunka do dziecka.

W przypadku pytań lub wątpliwości proszę o kontakt.

Z poważaniem
Mary Carey
Starszy pracownik socjalny

Przynajmniej nie ma gadki o rodzinie zastępczej, ale to ma być „kompleksowe”? Próbują się pod człowieka podkopać, centymetr po centymetrze są coraz bliżej fundamentu gmachu, który się przeciwko nim wzniosło. Kawałeczek po kawałeczku podważają wiarę człowieka w to, że ma rację. Nie zaproponowano niczego, zanim im nie zagroziliśmy i nie zaczęliśmy robić szumu wokół trybunału. Doskonale rozumiem, co oznacza mieć ograniczone środki, ale pieprzę to i wkurzam się – to ma być Złoty Standard Pakietów Opieki? Może musieli dać te ochłapy do czasu, aż sprawa obróci się przeciwko nam? Są we wszystkim zdecydowanie bardziej obeznani ode mnie. Muszę się wzmocnić nienawiścią i złością.

Robię sobie miejsce na kanapie, atakuję „jego” cherry brandy i klnę na czym świat stoi panelistów *Question Time*¹. Narastające uzalanie się nad sobą miesza się z brandy, tworząc ciepłą otoczkę oburzenia i wściekłości. Nie chcę tego, co się wokół mnie dzieje – nie to zaplanowałem sobie na początek wieku średniego. To popieprzone. Kurewsko absurdalne.

Wyjmuję z kieszeni telefon i przewijam w tę i z powrotem kontakty, za każdym razem zatrzymując się przy „Emma”. Dlaczego nie oddzwoniła? Ile dam jej czasu, zanim znowu zadzwonię? Oskarżyłem ją o kłamstwo, skląłem ją. Nic dziwnego.

Postanawiam zadzwonić o 23, potem zmieniam godzinę na 23.05, 23.10, 23.30. O północy butelka jest pusta, beka mi się owocową słodyczą i pilotem wyłączam głos w telewizorze. Na ekranie komórki pojawia się jej uśmiechnięta twarz. Piękna, daleka i dziwna; w tym momencie rozlega się sygnał, a ja trzymam palce nad przyciskiem „rozłącz”.

Zanim urodził się Jonah, pracowałem w Centennial Communications. Mój dyrektor marketingu był brutalnym, któremu przyjemność sprawiało kierowanie zespołem za pomocą bluzgów. Dał wszystkim po telefonie komórkowym, oczekując, że będziemy dostępni 24 godziny na dobę. Któregoś dnia wpadłem na pomysł, żeby przypisać mu określony dzwonek, dzięki czemu zawsze wiedziałem, że to on dzwoni, i mogłem się przygotować. Przypisałem do niego *Marsz żałobny* i z początku było zabawnie – przynajmniej tak się wszystkim wydawało. Po kilku dniach zaczęło mnie to jednak przesładować i wywoływało psychofizyczną reakcję. Za każdym razem, gdy rozlegało się „Da-da-da-dam da-da-dam-dam-dam-dam-dam”, miałem wrażenie, że puszcza mi jelita. Dokładnie tak samo czuję się teraz. Czekać, aż Emma odbierze, trochę z nadzieją, że nie odbierze, jeszcze jeden dzwonek i się rozłączę...

– Czego chcesz, Ben?

Głos ma zachrypnięty od snu.

Czekam chwilę, zastanawiam się, czy się nie rozłączyć.

– Niczego. Dostałaś moją wiadomość?

– Ben. Jak, twoim zdaniem, miałam zareagować?

– Posłuchaj... nie wytrzymam tego dłużej. Mam dość, chcę odzyskać nasze życie.

Zakończmy to. Zaangażowałem najlepszą adwokat, mamy po naszej stronie prawników i rzeczoznawców. Jej zdaniem nie musimy kontynuować tej farsy.

Emma wzdycha.

– Ben...

– Wiedziałaś, że to pierdoły? Że nie ma po co udawać? Sądziłaś, że się nie dowiem? Mieszkam z ojcem. Pamiętasz go? Ducha Trockiego? Dzień i noc jest ze mną Jonah. To zbyt wiele. A ty na to pozwoliłaś, odepchnęłaś nas i pozbyłaś się odpowiedzialności. Bardzo dziękuję, Emmo.

Zapada cisza, wraz z nią pojawiają się mdłości i wycie w głowie.

– Emma? Em?

Wydmuchuje nos, w zasadzie to chlipnięcie z gilem.

– Emma?

– Przepraszam, Ben.

Kolejna dawka lekarstwa.

– Nie przepraszaj. Poniosę ciężar. Najważniejszy jest Jonah.

– Nie za to przepraszam.

– Nie? To za co?

– Że nie wrócisz.

– Nie ma sprawy, poradzę sobie do trybunału, nie ma sprawy, ale...

– Nie słuchasz mnie, Ben. Nigdy. Nie wrócisz nigdy.

– Ale nie ma już powodu mieszkać osobno...

– Ben, proszę, to już wystarczająco trudne.

– Dla kogo? Mnie czy ciebie?

– Nas obojga.

– A Jonah? Jest twoim synem, Emmo.

– To mnie strasznie boli...

– Nieprawda. Bądźmy uczciwi.

– Ben, proszę cię, wezmę całą winę na siebie, ale...

Cofam taśmę, szukam jakichś wskazówek, zdezorientowany, że mogłem przeoczyć coś decydującego, niewłaściwie użytego słowa, które ostrzegłoby mnie przed tą apokalipsą.

– A dokąd naprawdę poszły pieniądze, Emmo?

– Ben...

– Powiedz mi.

W ciszy zapalam papierosa.

– Emmo?

– Potrzebowałam ich.

– Na co? Co jest ważniejsze od Jonaha?

– Ben, nie teraz.

– Nie teraz? A kiedy? Co się, kurwa, dzieje? Emmo!

Czuję ją niemal fizycznie po drugiej stronie linii, jak się zbiera w sobie, przygotowuje.

– Emmo – mówię cicho. – Powiedz mi, co się stało.

– Jonah się stał.

Wyłączam telefon i wpycham go pod poduchę kanapy.

Czuję się, jakby zgasł wskazujący mi drogę reflektor. Świadomość własnej

naiwności wbija mnie w tę poplamioną szczykami kanapę. Ludzie poświęcają się dla tych, których kochają, prawda? Dla siebie nawzajem, dla swoich dzieci? Zwłaszcza dla dzieci. Taka powinna być główna motywacja człowieka, ale czy moja taka jest?

Dla kogo robię ten pokaz altruizmu? Oczywiście dla Jonaha. A jestem altruistyczny? Adwokat jest tak słodki, że muszę dolać do niego wódki. Im bardziej dociera do mnie prawda, tym głośniej krzyczy mój wewnętrzny głos: „Ale to ja chcę uciec! Ona nie ma prawa! Uciekła – a ja nie mogę”.

Biegnę do toalety zwymiotować. Wylewa się ze mnie coś, co wygląda jak rabarbar w majonezie.

Z góry dolatuje ich synkopowane chrapanie. Jonah leży na brzuchu w samej pielusze, klękam więc przy łóżku i delikatnie głaszczę go po plecach. Skórę ma ciągle miękką jak u noworodka i ciepłą, złotobrazową. Gdy wystawia ją na słońce, natychmiast się opala i nigdy nie spieka na czerwono – teraz wygląda tak, jakby właśnie wrócił z dwutygodniowego pobytu na Karaibach. Masuję mu kark i wsuwam palce we włosy. Ubieram go, delikatnie, aby go nie obudzić, w piżamę.

– Kocham cię, Jonahu, ale czasami żałuję, że się urodziłeś. – Gryzę się w język i chciałbym jakoś cofnąć te słowa, ale gorycz tak zatyka mi gardło, że nie jestem w stanie przełknąć. Otwiera oczy, jakby mnie usłyszał i zrozumiał. Schodzi za mną na dół, bierze do ręki buty i staje przy drzwiach. Nie mam siły się spierać, więc zakładam mu buty, wychodzimy i cicho zamykam drzwi.

Uda mam napięte jak tańczący Kozak, gdy przeciskam się obok zaparkowanego na moim miejscu bmw, szurając po nim tyłkiem. Gdybym nie był tak bardzo odwodniony, nasikałbym na spersonalizowaną tablicę rejestracyjną. Światło księżyca odbija się od kombinerek w mojej dłoni, czarny błyszczący wentyl opony w końcu daje się wyrwać, a impet odrzuca mnie do tyłu, prosto na krzak róż.

– Jak wydostałeś się z samochodu? Wracaj... ale już... do samochodu. Nie śmiej się ze mnie, łobuzie, nie wchodzimy do środka. – Nic dziwnego, że chce wejść do środka, dla niego to w dalszym ciągu dom. – Chodźmy. Jezu, Jonah... przestań! – Zrywa pąki róż i wacha je.

W oknach na drugim piętrze zapala się światło i na tle halogenów pojawia się kontur twarzy. Emma.

Lampy, oświetlające budynek dla celów bezpieczeństwa, wystarczająco oświetliły parking, aby dało się w całej krasie dostrzec moje położenie wśród róż. Odciąganie teraz Jonaha na bok byłoby tak samo skuteczne, jak polewanie lodowatą wodą parzących się psów. Scyzoryk spełnił już jednak swoją funkcję – dzięki ci, armio szwajcarska, za twoją obsesję wyposażania we wszystko, co tylko się da! Wpycham Jonaha z częściami krzaka na tylne siedzenie.

– Ben, to ty? – Emma stoi góra trzy metry ode mnie i macha nierdzewną łopatką do przewracania potraw na patelni. – Co tu robisz? – W jej głosie nie ma zaskoczenia, jedynie znużona wersja rozczarowania, w której jakimś sposobem brzmi równocześnie pogarda i litość. – Jonah jest z tobą?

– Nie mógł spać.

– Co chcesz przez to osiągnąć?

To pytanie zadaję sobie od ponad dwudziestu lat. Kompletne upokorzenie?

– Zabierz go do domu. Nie może wejść, to by mu całkiem pomieszało w głowie.

– On jest w środku?

– Ben...

– Pan PP 32.

– O czym ty mówisz?

– A więc jest.

– Ben, przysięgam na Boga! – Emma opiera się plecami o ścianę. – Jest wpół do czwartej rano, zabierz go do domu.

– Jest w domu.

– Chyba wiesz, co mam na myśli.

– Zajął moje miejsce, Emmo, moje miejsce.

– To samochód brata Tricii, sąsiadki. Spytała, czy może skorzystać przez kilka dni z miejsca, i się zgodziłam.

– Nie mówię o samochodzie.

– Mówisz bez sensu. Wracaj do taty.

Drzwi samochodu się otwierają, Jonah przeciska się obok mnie i chwytając Emmę za rękę. Emma przytula go mocno do siebie, wtula twarz w jego włosy i płacze. W tym momencie cały świat jest postawiony na głowie. Nie zdziwiłbym się, gdyby nagle się okazało, że na niebie wiszą dwa księżycy, albo Jonah nagle krzyknął do nas obojga: „odpierdolcie się!”.

Zamiast tego zaczyna padać, Jonah odsuwa się od Emmy i zaczyna płasnąć po ulicy. Emma płacze, przyglądając się tańcowi naszego syna w deszczu, i jeszcze nigdy nie czułem takiego bólu jak teraz – na widok łez mieszających się na jej policzkach z deszczem.

1 Brytyjski telewizyjny program publicystyczny z udziałem pięciu panelistów – polityków i innych osób publicznych. Osoby z widowni przygotowują pytania, spośród których wybrane są w trakcie programu zadawane.

Diabeł tasmański



DZIAŁ SERWISOWY

WYNCHGATE

Units 1-4, Wynchgate Industrial Estate, Mutton Lane N27 5YG Tel.: 0208 777 1234

FAKTURA

FV PP32-5684898

Pan Ben Jewell
BMW M5, nr rej.: PP32
M. 4, 97 Rutland Road
Wynchgate
Londyn N24 3RS

Za dostawę i montaż:	Cena	Suma
	£	£
2 x opona niskoprofilowa Bridgestone 255	173,73 x 2	347,46
2 x zawór	18,50 x 2	37,00
Wyważenie	55	55,00
Zbieżność	110	110,00
Robocizna	90	90,00
	VAT 20%	127,89
	RAZEM	767,35 £

NINIEJSZA FAKTURA JEST PRZETERMINOWANA

Zapłacone czekiem przez Wypożyczalnię Przyjęciową Jewella

Spółka rejestrowana: Wynchgate, Ltd 23 Garalton St Londyn W1G 5SD
Nr spółki: RD43344683456

Zdarzało mi się już budzić z zadrapaniami i siniakami, ale wtedy zwykle nie pamiętałem, skąd się wzięły. Dziś pamiętam. Zadrapania od kołców róż kłują i swędzą. Spałem tylko kilka godzin, przeschmuglowana butelka po whisky leży obok mnie, odkręcam ją jednak i wsadzam język do środka – w rozpaczliwej nadziei, że zostało kilka kropel. W ostatniej chwili przed pojawieniem się taty upycham butelkę pod kołdrę.

– Dokąd brałeś go tak późno?

Zakrywam sobie głowę poduszką.

– Zasuń zasłony.

– Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

– Do Stringfellows¹.

– Nie próbuj zgrywać cwaniaka.

– Nie mógł spać, przejechaliśmy się samochodem.

– O trzeciej w nocy? Jak ma się nauczyć spać, jeśli wywlekasz go z łóżka w połowie nocy?

– Tato, możesz mnie zostawić w spokoju? Zaraz wstanę.

– Jest południe, masz wstawać. Za pół godziny gram w kręgle. Masz.

Herbata jest kwaśna, ma kolor torfu, a listki przyklejają mi się do podniebienia niczym martwe muchy.

– Ile razy mam ci mówić, że rano pijam kawę? – mówię, ale tata już wyszedł.

Opieram się o blat szafek w kuchni i zapalam papierosa. Oczy nie chcą mi się otworzyć.

– Idziesz dziś do pracy?

– Potem. Trzeba tylko pozmywać, Valentine sobie poradzi.

– Kto będzie odbierał telefony?

Macham mu komórką.

– Przekierowywane.

– To może ją włącz. Chcesz, żeby poszli do konkurencji? A na wypadek, gdybyś chciał wiedzieć, JJ pojechał do szkoły bez problemów.

Wyciągam komórkę w kierunku taty i wciskam klawisz, aż rozlega się sygnał.

– W porządku? Nie zapomnij o karciami.

– Kręgielni.

– Wszystko jedno.

Po powrocie do łóżka przeglądam nieodebrane połączenia – same numery, żadnych nazwisk. Wyłączam komórkę i rzucam ją na stertę prania, przetaczam się na brzuch i drzemię. Połowa srody już za mną i nie czuję przymusu, aby wstawać.

Na łóżku leżą porozrzucane książki – żadna nie jest otwarta ani założona dalej niż na dwudziestej stronie. Spod *Wojny i pokoju* wystaje szyjka butelki. Przedstawiam się jej, włączam radio i odpływam.

Jestem na lotnisku i bramka piszczy – nawet gdy stoję już w samej bieliźnie. Setki stojących za mną podróżnych śmieją się i pogwizdują na mnie, a bramka brzęczy i brzęczy...

Dzwonek do drzwi. Zwlekam się z łóżka i prawie spadam ze schodów.

– Idę! Idę! – Jonah przyciska twarz do szyby, klękam i patrzę na niego. – Cześć, koleżko.

Otwieram drzwi i mija mnie, nawet na mnie nie spoglądając.

– Miał dobry dzień?

Minibusowa Marge, stała towarzyszką Jonaha i jedna z ulubienic Emmy, lustruje mnie od stóp do głów. Bokserki mi się pogniosły i podwinęły, przez co z dołu wystaje mi fiutek.

– Przepraszam – mruczę i poprawiam bokserki.

– Proszę. – Podaje mi zawiązaną na supeł reklamówkę z ubraniami. Widać w środku strużki moczu. – Jest jego dziadek?

– Wyszedł. Do zobaczenia jutro rano – mówię do oddalających się pleców i zamykam drzwi. – Jonah? – Idę korytarzem, śladem porzucanych ubrań, do kuchni. Szafki są pootwierane, z otwartej lodówki leci arktyczne powietrze, winogrona ozdabiają podłogę. – Jasna cholera, Jonah. – Zbieram winogrona na czworakach, niczym szklane kulki, i nagle zderzam się głową z wielkim słojem marmite. – Chcesz tosta?

Zaczynam przeszukiwać szafki, ale nie ma chleba. Lodówka. Też nic. Gdy zamykam lodówkę, pod magnesem w kształcie sierpa i młota znajduję notatkę z klasycznym pismem taty: „Ben, kup, proszę, chleb”.

Jonah stoi tuż obok i wali mnie słojem w przedramię. Jest tak zdesperowany, że nawet biegnie do książki z symbolami PECS, wybiera prawidłową kartę i wkłada mi ją do ręki.



CHLEB

– Rozumiem, ale najpierw musimy kupić.

Nie rozumie albo nie chce tego zrozumieć, albo jedno i drugie. Protestuje, a krzyki robią się coraz bardziej przenikliwe, do tego zaczyna podskakiwać. Nie jest to radosne podskakiwanie, lecz wyraz frustracji.



CHLEB

– Nie mamy chleba, Jonah. Rozumiesz? Nie mamy chleba. Może zjesz trochę chrupek?

Ten system komunikacji jest dobry, gdy ma się to, czego Jonah chce. Umie żądać, ale nie pojmuje związków przyczynowo-skutkowych.

Gdy podaję mu chrupki, uderza w moją rękę i rozsypują się po kuchni. Wpycha sobie dłoń w usta i gryzie tak mocno, że blizny zaczynają krwawić.

– Nie, proszę, przestań, Jonah, proszę. Nie mamy jebanego chleba.

Z wysokoku rzuca słoje marmite o podłogę. Brązowe szkło i brązowa kleista drożdżowa maź rozpryskują się na linoleum pod jego stopami. Łapie go i próbuje odciągnąć na bok, ale jest zbyt ciężki. Angażuję całą swoją energię, udaje mi się jednak tylko tak go obrócić, żeby nie stanął na szkle – ja za to rozcinam sobie stopę.

Jonah jest na pełnym gazie. Lewą ręką trzyma mnie za szyję, prawą za włosy – nieobcinane paznokcie robią swoje. Wykręca i rwie jak rekin ludojad. Tracę równowagę i spada na mnie całym ciężarem, przyszpila do podłogi. Patrzę na krwawy odcisk stopy. Czuję w ustach metaliczny smak krwi i wiem, że gdybym uderzył go wystarczająco mocno – naprawdę go zdziesiął – otumaniałbym go na tyle, aby się wyswobodzić, ale nie chcę tego robić. Chcę, by sprawiał mi ból, bo na to zasługuję. Nie pamiętam nawet, kiedy kupowałem chleb.

Czuję, jak jego zęby zaciskają mi się na nosie, ale mam to gdzieś. Potrzebuję całej jego złości, zasługuję na blizny. Wiem, że rany na mojej twarzy i głowie są głębokie i krwawie, ale leżę bez ruchu, niczym tonący, który wie, że nieuniknione zaraz nastąpi, i schodzi pod powierzchnię z ulgą.

Nagle Jonah przestaje i zaczyna płakać. Prawdziwymi łzami, grubymi i słonymi. Puszczą. Jego rozluźnienie jest jednocześnie ulgą dla mnie. Siadam, przyciągam go do siebie i obejmuję, przeciwko czemu nie protestuje.

– Przepraszam, Jonah. Tak mi przykro.

Czuję na piersi, jak jego oddech się uspokaja, choć ciągle jest rozedrgany. Już nie wrzeszczy, tylko cicho, niezrozumiale bełkocze.

– Kupiłem chleb na wypadek, gdyby... – Ojciec zamiera i wbija w nas wzrok. – Wezmę obcinarkę i przytnę JJ-owi paznokcie.

– Zrób mu najpierw grzanekę. W lodówce jest drugi słoik.

Jonah wybucha śmiechem. Twarz mu się zmienia – śmieje się, chichocze, zaczyna biegać między kuchnią a salonem – sztafeta na cześć tosta z marmite. Siada przed telewizorem, skręca sobie włosy w palcach, wraca po następnego tosta, bierze z lodówki jabłko, je kolację palcami i zapomina. Zapomina, że przed godziną toczył ze mną bitwę, rozszarpał mi twarz, że moja niedostateczna opieka sprawiła, iż postanowił mnie zranić. Wszystko zapomniał, nie chowa urazy, nie ma wyrzutów sumienia, nie czuje żalu. Szczęściarz.

Ziewa.

– Chcesz, żebym go wykąpał?

– Nie, zajmę się tym, tato. Pójdę teraz nalać wody. Siedźcie i oglądajcie telewizję.

Gdy wchodzi na górę, Jonah wspina się na kanapę i siada obok taty, który zaczyna do niego gadać. Prawdopodobnie serwuje mu kolejne kawałki rodzinnej opowieści. Kolejne informacje nie dla moich uszu.

Zaczynam schodzić na palcach, ale zatrzymuję się. Chciałbym wiedzieć, czym nie jest w stanie podzielić się ze mną, ale nie chcę podsłuchiwać, lecz zmusić go do powiedzenia prawdy. Może nie chodzi o mnie, lecz o ojca? Może opowiadać Jonahowi, ponieważ ten ani go nie oceni, ani nie będzie plotkował, i niezależnie od tego, jak bolesna będzie informacja, Jonah zniesie ją bez bólu. A ja? Co może być tak złe, że nie mogę się o tym dowiedzieć? Może właśnie jestem świadkiem jego *katharsis* w sprawie, w której

czuł się bezradny? Dzięki tej myśli znajduję w sobie nieco empatii wobec niego. Śledztwo będzie musiało poczekać.

Kąpiel to mój ulubiony rytuał. Najpierw ścielę łóżko Jonaha nowym prześcieradłem, zmieniam poszwy kołdry i poduszek i układam kołdrę. Sprawdzam, czy krem leży na stoliku, i zaciągam zasłony. Zapalam światło w akwarium ze sztuczną rybą, sprawdzam, czy jaskrawa plastikowa tropikalna ryba swobodnie się obraca, i włączam odtwarzacz – zawsze z tą samą płytą, Mr Tumble śpiewający piosenki dla dzieci (siła głosu 2).

W łazience spłukuję prysznicem wannę, zatykam ją i odkręcam kurki tak, aby woda była gorąca, ale nie za bardzo. Potem przez trzy sekundy wyciskam w strumień wody hipoalergiczny płyn do kąpeli i patrzę, jak tworzy się piana. Odnajduję dwie buteleczki z lekarstwami, które bierze zaraz po obudzeniu się i przed spaniem – na wyrównanie nastroju.

Zajmuje mi to około dziesięciu minut. Potem go wołam i czekam. Czasami muszę zawołać dwa razy, ale zwykle od razu słyszę na schodach jego nierówny krok, po czym wpada do łazienki, uśmiechnięty od ucha do ucha. Chyba wie, że zbliża się koniec stresu i traumy jego dnia świstaka.

Pomagam mu się rozebrać, zdejmuję pieluchę i zanim wejdzie do wanny, wycieram go na mokro. Pielucha i chusteczki lądują w plastikowym worku. Pierwsze lekarstwo podaję mu do ust za pomocą strzykawki bez igły, drugie – łyżeczką. Oba przyjmuje bez protestów.

Klękam obok wanny i patrzę, jak się bawi, rozciera pianę na całym ciele, po czym zaczyna ją zjadać. Gdy go myję, patrzymy sobie w oczy i się śmiejemy – kontakt ojca z synem, rozkoszny, ulotny i cenny.

Pozwalam mu się bawić tak długo, jak ma ochotę, albo aż woda wystygnie – rozkładam wtedy szeroko ręcznik, Jonah wychodzi z wanny i wpada mi w ramiona z takim impetem, że muszę się mocno zapierać i przez pół minuty, przez które go trzymam i wycieram, znowu jest dzieciaczkiem, trzyma mi głowę na ramieniu, pachnie niewinnością i czystością.

Gdy go puszczam, biegnie do swojego pokoju i zaczyna skakać na łóżku w rytm śpiewu Mr Tumble'a, a ja dosuszam miejsca na jego ciele, do których nie mogłem się wcześniej dostać. Potem leży na brzuchu – mój mały chłopiec z cellulitem na pośladkach, oponką wokół brzucha, grubymi udami i miękkimi plecami bez ani jednego piega, różowy od gorącej wody.

– Odwróć się, koleżko – mówię, na co się przysuwa, unosi dolną część pleców, żeby mu zapiąć na noc pieluchę, i nie jest już wtedy dzieckiem, ale jeszcze nie nastolatkiem, i nigdy – co kolejny raz do mnie dociera, razem z nawracającym pieczeniem świeżych ran – nigdy nie będzie mężczyzną.

Zakładam mu spodnie od piżamy, po czym siada i czeka, aż założę mu górę, i opada na poduszkę, kładąc głowę jak najbliżej „akwarium”. Całuję go, mówię, że go kocham, gaszę światło, zamykam drzwi i schodzę na dół. Na dole zwalam się na kanapę i chowam głowę w poduszkę.

– Tylko nie zakrwaw mi mebli.

1 Luksusowy londyński klub nocny.

Pusty



Wynchgate and Carlton NHS Trust

SZPITAL
WYNCHGATE

Pan Georg Jewell
14 Oakfield Avenue
Londyn N10 4RG

*Oddział
onkologii*

10 kwietnia 2011 r.

Szanowny Panie Jewell,

otrzymaliśmy wyniki Pańskiej niedawnej biopsji i wyznaczaliśmy Panu wizytę w dniu:

15 kwietnia 2011 r., godz. 11.30.

Zostanie Pan przyjęty przez konsultanta ds. onkologii p. Grahama Stonehouse'a.

Keith Waters-Long
Administrator

Przez ostatnie dwa tygodnie przebijalem się przez teczki z napisem JONAH. Zaczynają tworzyć coraz wyższy stos na stoliku przy moim łóżku. Do każdego raportu załączone są przesyłane mailem komentarze Emmy. Czytam jej maile wraz z raportami, szukając pretekstów do skontaktowania się z nią, są jednak bardzo rzeczowe, pełne refleksji dotyczących Jonaha, ale całkowicie pozbawione komentarzy na mój albo nasz temat. Dzięki mojej obsesji na tym punkcie udało mi się wyprzeć z głowy myśl o opuchliznie na szyi taty – do dziś. Jonah siedzi, trzymając grzanke w każdej dłoni, tata stoi przy zlewie i płucze swój kubek.

– Jestem dziś zajęty – mówi.

– Tato...

– Kręgle, ligowy mecz.

Na Boga...

– Masz za godzinę wizytę u lekarza i nie możesz nie iść. – Jeszcze tego brakowało, żeby także tata zaczął się zachowywać jak dziecko.

– Co zamierza mi powiedzieć ten cały pan Stone-house, o czym jeszcze nie wiem? Co, twoim zdaniem, zrobi? Zmierzy mi długość nogi od wewnątrz i uszyje parę spodni? To rak.

– A nawet jeśli? W dzisiejszych czasach istnieją różne pojebane metody.

– Nie wyrażaj się tak przy Jonahu.

– Dlaczego? Powtórzy to? Jeśli się odwróci i nazwie mnie pojebanym draniem, umrę szczęśliwy.

Obaj jesteśmy przerażeni. To punkt zwrotny w naszym życiu – przyszłość jest w rękach innych ludzi. Dla mnie brak kontroli to żadna nowość, ale dla taty? Patrzę, jak kręci się trochę bez celu, bierze różne przedmioty do ręki i je odstawia, próbuje oczyścić swój umysł z negatywnych myśli, mechanicznie powtarzając tę samą czynność, tak jak to robił przez lata – polerując w magazynie szkło.

– To rak. W dzisiejszych czasach nie marnuje się pieniędzy na takich dziadków jak ja. Mają specjalne tabele.

– Nie wiesz tego na pewno.

Uderza listem o blat stołu i wskazuje na niego palcem.

– Nie? Widzisz gdzieś napisane, że to oddział wenerologiczny? Onkologia, Ben. Rak. Nawet taki stary głupiec jak ja widzi, o co chodzi. Poza tym to rodzinne.

– O jakiej rodzinie mówisz? Jedyne, co kiedykolwiek powiedziałeś, to ogólnikowe: „zagazowani przez hitlerowców”.

– Gdyby przeżyli, umarliby na raka.

Przyglądam mu się uważnie – mojemu siedemdziesięcioośmioletniemu ojcu z opuchniętą szyją. Żrenice ma rozszerzone, czoło spocone – nie trzeba geniusza, by się domyślić, że przegrywa bitwę ze swoimi demonami.

– Tym razem pojedę z tobą. Bez dyskusji.

Nie słucha mnie. Lewą dłonią głaszcze Jonaha po włosach, prawą karmi go łyżką płatkami kukurydzianymi.

– Ma pan nowotwór gruczołu tarczowego, panie Jewell.

Siwowłosy pan Stonehouse ma na sobie garnitur z eleganckiej wełny czesankowej, stoi obok podświetlanego kasetonu, do którego przypięte jest zdjęcie rentgenowskie. Szyja taty na zdjęciu wygląda, jakby połknął piłeczkę pingpongową.

– I niestety jest złośliwy.

Tata kiwa głową.

– Normalnie byśmy operowali. Usunęli gruczoł i zniszczyli wszystkie pozostałe komórki nowotworowe za pomocą radioaktywnego jodu. Reszta polegałaby na codziennym przyjmowaniu tyroksyny. Proszę usiąść.

Pan Stonehouse wskazuje nam dwa stojące naprzeciwko biurka krzesła.

Tak wyglądałoby proste rozwiązanie – z tym że w naszej rodzinie nic nie robimy prosto. Pan Stonehouse informuje, że tata ma raka anaplastycznego. To bardzo rzadka i niezwykle agresywna odmiana. Nie da się go operować, nie ma gwarancji usunięcia z organizmu wszystkich złośliwych komórek, które mogłyby spowodować rozprzestrzenienie się nowotworu po całym ciele – o ile już do tego nie doszło.

– Więc co możecie zrobić? – pytam.

– No cóż... pierwszy krok to rezonans magnetyczny, za pomocą którego zostanie sprawdzone, czy nie nastąpiły przerzuty do innych narządów.

– A jeśli nastąpiły?

Pan Stonehouse odwraca się w stronę mojego ojca.

– Panie Jewell, muszę być z panem szczery. Pański nowotwór jest nieuleczalny. Przeciętna oczekiwana długość życia od chwili diagnozy do śmierci wynosi od trzech do piętnastu miesięcy, w zależności od tego, w jakim stadium zostanie dokonana diagnoza.

Pierwszą myślą, jaka przychodzi mi do głowy, nie jest ból taty, lecz sprawa Jonaha i pieniądze, co wywołuje we mnie ogromne poczucie winy. Czy to normalne? Czy perspektywa śmierci bliskiej osoby kieruje myślenie na praktyczne tory? Przypomina mi się stary luger z dwoma kulami i to, że muszę go schować, ponieważ tata jest zdolny do wszystkiego, uparty jak osioł, fatalista wyzuty ze strachu.

Wtedy dociera do mnie, że tata płacze. Mdłości oraz wstyd, jakie czuję, są tak samo nie do powstrzymania jak rak ojca.

– Panie Jewell, zorganizowałem na dzisiejsze popołudnie tomografię, po której będziemy mieli lepszą orientację co do odpowiedniej terapii paliatywnej. Zalecałbym panu jak najszybsze rozpoczęcie leczenia. Panie Jewell?

Tata wpatruje się w deszcz bębniący w okno za plecami pana Stonehouse'a.

– Posłałem go do szkoły bez kurtki, więc zmoknie. Ben, jedź do domu i spakuj mi trochę ubrań, a w drodze powrotnej zostaw JJ-owi kurtkę w szkole. Nie chcę, żeby się przeziębiał.

– Oczywiście, tato.

– Benjamin...

– Tak?

– Nie mów Jonahowi. Nie chcę, żeby wiedział.

– Nie powiem.

Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki pojawia się pielęgniarka.

Tata wstaje, pielęgniarka ujmuje go za łokieć i wyprowadza na korytarz. Idę za

nimi i gdy oni skręcają w prawo, ja skręcam w lewo. Zostałbym, chciałbym zostać, ale co miałbym powiedzieć? Nie wiem, jak pokonać powstałą między nami przepaść, jak przejść na drugą stronę, zanim wypełnią ją tęsknota, żal, urazy oraz trudna, skomplikowana miłość między mną a ojcem.

Jemy w McDonalddie w milczeniu. Wziąłem zestaw z big makiem, który ledwie tknąłem, Jonah je swoje zwykle potrójne frytki i popija dwoma koktajlami owocowymi. Do kogo należałoby zadzwonić? Przeglądam listę kontaktów w telefonie. W zasadzie pozostaje tylko Maurice, ale nie mam jego prywatnego numeru, a nawet gdybym miał, to nie wiem, czy umiałbym mu powiedzieć. Emma? Powinna się dowiedzieć, poza tym potrzebuję jej współczucia – dzwonię. Poczta głosowa. Zostawiam wiadomość: „Tata umiera”. Jonah zaczyna rozrzucać chipsy.

– Chodź, Jonah. Wracamy do domu.

W piżamie z Bobem Budowniczym wygląda jak przebieraniec – rękawy i nogawki są za krótkie, dół bluzy rozciągnięty. Czuję jego ciepło na nagiej piersi i zapach gumy do żucia z płynu do kąpieli, którego użyłem.

Chrapie zadowolony, ja nie mogę mimo pół butelki brandy. Dziś wieczór postanowił wejść do mnie do łóżka i leżeć ze mną nos w nos, wpatrując mi się w oczy aż do zaśnięcia. Wieczór będzie bardzo, bardzo długi.

Przed oczami miga mi wyciągnięty w moim kierunku palec wskazujący, jednak gdy zapalam lampkę, dostrzegam jedynie przepełnioną pieluchę, unoszącą się wbrew prawu grawitacji. Odrzucam kołdrę i ruszam za Jonahem.

Ścigam go, patrząc, jak pielucha zsuwa mu się z bioder niczym dzinsy szkolnym *gangsta*. Gdy dobiegam do szczytu schodów, Jonah jest w połowie drogi na dół. Wpadam z rozpędem na schody i rozpaczliwie machając ramionami, zaczynam się po nich ześlizgiwać.

– Aaaaa...!

Jakimś sposobem – przyciskając plecy do ściany i hamując palcami stóp – udaje mi się uniknąć katastrofy.

Moje palce...

Mój mały palec...

W dupę! Wskazuje w moją stronę pod kątem, pod jakim jeszcze nigdy się nie znajdował, niczym agresywnie uniesiony środkowy palec, i zaczyna boleśnie pulsować.

Boję się go dotknąć – jakby był martwą osą albo wyciągiem z konta.

Jonah staje u dołu schodów. Nagi. W ustach trzyma bajgla i wpatruje się we mnie z pokerową miną. We włosach ma kawałki masła.

Nie boli mnie jakoś szczególnie, ale czy to dobra wiadomość, czy zła? Przy złamaniu nie powinno wściekle boleć? Może palec jest oderwany?

– Jonah! – krzyczę, gdy rusza z powrotem do kuchni.

Zjeżdżam na tyłku, podciągam się na balustradzie i kuśtykam za nim. Przy każdym kroku rwie mnie w palcu u nogi.

– Wal się, paluchu!

Pod zlewem jest nowa paczka chusteczek nawilżanych i udaje mi się złapać zarówno chusteczki, jak i Jonaha bez nadmiernego obciążania zranionego palca – aż

Jonah się cofa i stawia na nim cały swój ciężar. Krzyczę, ale z przerażenia, bo w dalszym ciągu nic nie czuję, i gdy Jonah spokojnym krokiem odchodzi w kierunku salonu, z chusteczką wystającą spomiędzy pośladków, patrzę w dół i stwierdzam, że mój synalek nastawił palec do prawidłowej pozycji. Siadam na krześle i dotykam palca. Porusza się bez trudu we wszystkich kierunkach jak dżojstik. W tym momencie zaczyna boleć.

– Aaron mówi, że musisz iść na oddział urazowy, zrobić prześwietlenie, czy nie uszkodziło się jakieś naczynie krwionośne – mówi Johnny.

– Naprawdę muszę? Zawsze był złośliwy.

– Aaron jest lekarzem, Ben.

– Nie mogę zabrać Jonaha na oddział urazowy. Wyobrażasz to sobie? Nie mógłbyś się nim zająć?

– Załapaliśmy się na mecz kapitanów w klubie golfowym.

– Jonah lubi golfa.

Johnny śmieje się w słuchawkę.

– Jedź tam z nim i wyjaśnij, że ma autyzm. To w końcu szpital, rozumieją sytuację.

Jonah leży rozwalony na kanapie, rozgniata sobie bajgla na nagiej piersi. Lekko śmierdzi. Siadam przy nim na podłodze, ale zaczyna kopać mnie w dół pleców. Wstaję, nalewam sobie leczniczą dawkę whisky i opadam na krzesło.

Co za scena. Zasłonięte w środku dnia zasłony, za którymi siedzą nagi dorosły mężczyzna i jego syn i tępo patrzą przed siebie. Nie mam żadnych innych opcji – mój ojciec, Johnny i Amanda są jedynymi ludźmi, którym ufa, a którzy są w stanie znieść jego rockandrollowy styl życia i chcą wpuszczać go do domu. Dlaczego nie stało się to w zwykły szkolny dzień?

Szkoła! Maria – jego nauczycielka! Gdzie wsadziłem ten kretyński numer? Na pewno nie mam go w portfelu, mimo to go przeszukuję. Nie ma go tam.

Odtwarzam moment, gdy dała mi go na szkolnym parkingu. Co z nim zrobiłem? Wsiadłem do samochodu i zacząłem się kłócić z tatą. Boczna kieszeń drzwi! Kartka jest w kieszeni drzwi!

– Wracam za chwilę, Jonah.

Maria nie odbiera, zostawiam jej więc na sekretarce bełkotliwe wyjaśnienie i zaczynam półgodzinną procedurę ubierania się, gładzenia palca i lizania ran.

Jonah nie ma ochoty oderwać się od automatycznych drzwi. Podskakuje zaintrygowany, nie zwracając uwagi na innych wchodzących na urazówkę szpitala North Middlesex. Każdy nowy pacjent oznacza dla nas dodatkowe dwadzieścia minut czekania i jestem podenerwowany, bo mój palec zaczyna nieprzyjemnie pulsować.

– Jonah, wchodź! – Podkreślam słowa klepieniem się w udo. – Chodź, Jonah!

Udaje mi się go przeciągnąć do połowy przez drzwi, nogi zostają jednak na zewnątrz. Obejmuję go, splatam dłonie na jego plecach, unoszę nad podłogę i taszcę do pełnej poczekalni. Wiszący na ścianie wielki monitor z rozmazanym obrazem informuje, że czas oczekiwania wynosi cztery godziny. Ciągnę Jonaha za sobą do okienka.

Pielęgniarka odzywa się, nie podnosząc głowy.

– Nazwisko?

– Ben Jewell.

– Ben Jool – powtarza. – Problem?

– Poważnie złamany palec stopy.

– Prawdopodobnie złamany palec stopy. Lekarz rodzinny?

Podaję jej dwa razy szczegóły, po czym przyciągam Jonaha przed okienko.

– Proszę pani, musiałem przyprowadzić ze sobą syna, który ciężko choruje na autyzm. Nie poradzi sobie ze zbyt długim czekaniem. Da się coś w tym zakresie zrobić?

Tym razem kobieta podnosi głowę. W grubych szklach jej okularów odbija się światło lamp na suficie, kłując mnie w oczy.

– Proszę usiąść, pielęgniarka podejdzie najszybciej, jak to możliwe.

No to nic z tego. Jak na złość Jonah jest całkowicie spokojny. Bawi się nitką, którą znalazł na podłodze. Wolę nie wiedzieć, co to jest.

Ten oddział to narody zjednoczone chorych – niemowlaków, burek, kapturów, sandałów, sari, słów z różnych europejskich języków, które rozpoznaję, i słów w językach afrykańskich, których nie znam. Ciekawe, co sądzą o Jonahu i jego unikalnym, ewoluującym języku? Dlaczego wszyscy na oddziale urazowym kaszlą, choć przyszli z raną na głowie albo skręconą kostką? Jesteśmy aż tak niepewni siebie, że zawsze musimy ubarwiać? Patrzę na Jonaha, który w milczeniu kręci nitkę w palcach. Jonah nie ubarwia – Jonah po prostu coś robi.

Piskliwy zgrzyt nienaoliwionych kółek zapowiada pojawienie się nędznie wyglądającego, sześćdziesięcioletniego Murzyna z jeszcze nędzniejszą ofertą czekoladek i chrupek. Jonah zaczyna wciągać powietrze niczym surykatka. Nie mam przy sobie gotówki, ale jeśli zaproponuję mu teraz pitę, którą mam w torbie, rzuci nią o podłogę. Będę musiał odmówić.

Zanim zdążę zareagować, Jonah jest już przy wózku. Trzyma oburącz wielkie opakowanie chipsów o smaku bekonowym. Próbuje mu je zabrać, co natychmiast wyzwala warkot. Zwalnia jedną rękę i próbuje złapać mnie za szyję, po czym ściska paczkę z całej siły i folia eksploduje. Jeszcze bardziej go to irytuje, odwraca się do wózka, rzuca wszystko, co tam jest, na podłogę i zaczyna skakać po stercie. Choć w sumie to bolesne, w myślach go dopinguję: „Dawaj, synu, dawaj!”

W kilka sekund oddział ożywa i okazuje się, że wolne są aż trzy pielęgniarki. Barki Jonaha otacza ramię, które mocno go przytrzymuje. Nad jego prawym ramieniem pojawia się ruda czupryna Marii.

– Przepraszam, że tyle to trwało – mówi.

– Nie, to ja dziękuję, że pani przyjechała.

Ciekawe, dlaczego rudowłose dziewczyny tak szybko się czerwienią?

– Proszę zostawić go ze mną, będzie dobrze. Prawda, Jonah? – pyta, gdy jedna z łez Jonaha spływa jej po twarzy.

Gdy wychodzę z rentgena, czekają na mnie. Mały palec u stopy mam przywiązany do następnego, w ręce trzymam opakowanie silnych środków przeciwbólowych. Jonah przyciska dłoń do kartki papieru, palce ma rozczapierzone, a Maria obrysowuje mu dłoń długopisem. Gdy długopis dotyka delikatnej skóry między palcami, chichocze. Maria odpowiada śmiechem. Dostrzegają mnie, Maria, uśmiechnięta, podnosi wzrok ku mnie.

– Wszystko załatwione? – pyta.

– Najwyraźniej będę żył.

– Dzięki Bogu! Jak byśmy sobie bez niego poradzili? – pyta Jonaha.

Teraz ja się czerwienię. A w każdym razie robi mi się gorąco. Wzrok Marii cały czas spoczywa na Jonahu. Ile ma lat? Dwadzieścia siedem, osiem? Wychodzę za nimi na parking i stajemy w trójkę przy samochodzie.

– Co jeszcze zaplanowaliście, chłopcy, na dzisiejszy dzień?

– Wizytę w supermarkecie, potem wracamy do szpitala po mojego tatę.

– Tak, słyszałam. Współczuję. Może przyjadę i pomogę? Pan jest w końcu ranny.

– Już wystarczająco dużo swojego wolnego czasu pani poświęciła.

– I tak bym się cały dzień objęła. Chętnie pomogę, o ile nie ma pan nic przeciwko temu.

– Oczywiście, że nie. Jonah byłby zachwycony. Gdzie pani zaparkowała? Chce pani jechać z nami do Tesco?

– Przyjechałam autobusem. Dlatego tyle to trwało.

Przyjechała autobusem? Jonah, jesteś farciarzem!

– No to wskakujmy. – Otwieram jej drzwi. – I proszę się nie przejmować bałaganem na podłodze. Po prostu proszę deptać.

Czuję się dziwnie, spacerując z Marią między półkami w Tesco. Jonah wypełnia wózek jabłkami, chrupkami i smarties, cały czas coś jedząc – to jedyny sposób, aby utrzymać go pod kontrolą. Z Emmą wypracowaliśmy system, który polegał na wkładaniu do wózka drugiego egzemplarza wszystkiego, co zjadł, by zeskanować to i zostawić przy kasie.

Maria śmieje się, widząc, jak Jonah sprawdza półki niczym wytrawny łowca okazji.

– Jest takim słodkim chłopcem... – mówi. Ma cichy i łagodny głos. Tata nazwałby go „BBC-owskim”.

– Mam poczucie winy – odpowiadam – że psuję pani weekend, odrywam od przyjaciół.

– Niepotrzebnie. Bardzo panu współczuję w związku z tym, co się panu przytrafiło. To takie przygnębiające, że nie umiemy być wobec siebie szczerzy.

– Przepraszam – przerywam jej. – Jonah! Masła nie potrzebujemy, zostaw masło!

Odkłada je i rusza w kierunku piekarni. Maria natychmiast idzie za nim, na co Jonah, czując za sobą jej obecność, wybucha głośnym śmiechem i przyspiesza. Słyszę ich śmiech i kroki, gdy skręcają w alejkę z warzywami w puszkach, a Maria próbuje go spowolnić przed kuchniami świata. Pojawiają się za chwilę obok mnie, trzymając się za ręce.

– Było zabawnie? – pytam.

– Było, Jonah? Nie rozumiem, jak ktokolwiek może wątpić w to, że Jonahowi potrzebny jest całodzienny program nauczania, o który pan walczy. Jak mogą mu odmawiać? Wystarczy tylko spojrzeć na tę buzię – mówi, delikatnie ujmując twarz Jonaha w dłoń. – Kto mógłby się oprzeć tej minie?

– To gęba, którą tylko ojciec może kochać.

– Przecież jesteście identyczni.

Siedzimy w supermarketowej kawiarni i popijamy lurowatą kawę, podczas gdy Jonah przerabia na proszek piernikowego ludzika.

– Co czwartek rozmawiam z Emmą – mówi Maria.

Nie wiedziałem o tym.

– O czym?

– O Jonahu, oczywiście! O czym by innym?

Ale ze mnie palant! Fantazja, która powoli kształtowała się w mojej głowie, zmienia się w wizję zdrady i wzajemnych oskarżeń. Znowu czuję pulsowanie palca i łykam kolejną tabletkę. Kobiety robią ze mną, co chcą. Zawsze tak było. Cóż dziwnego w tym, że Maria co tydzień przekazuje Emmie najnowsze wieści? Jeśli dobrze się zastanowić, to kolejny dowód na to, jaki jestem do dupy. Dlaczego od razu na to nie wpadłem? Wstyd mi i jestem zazdrosny, że to Emma podejmuje wszystkie te działania dla Jonaha świadczące o trosce i odpowiedzialności, które mnie nie przyszłyby do głowy. Świadomość tego tworzy rysy na obrazie Emmy jako jedynej winnej, który sobie zbudowałem, i jest mi wstyd – wstyd, że w mojej głowie narodziła się fantazja, że mógłbym mieć romans z Marią. Wzmianka o Emmie przebiła balon marzeń i rzeczywistość znowu boleśnie dała o sobie znać. Jest mi głupio, że wyobraziłem sobie, iż mogę zasługiwać na więcej lub mieć więcej niż teraz, że pomyślałem o wyzwoleniu się od Emmy. Ty głupi dziadu w średnim wieku!

– Gdyby to w czymś pomogło, chętnie spędzałabym więcej czasu z panem i Jonahem.

Nie poprawia to mojego stanu zaplątania. Oczywiście, że obecność Marii by pomogła, ale znowu włącza mi się paradoks pokrętnego myślenia: jeżeli jestem dla niej atrakcyjny, nieuczciwe byłoby ją bałamucić właśnie teraz; nie może mnie jednak uważać za atrakcyjnego, proponuje więc pomoc z litości, a ja nie zniosę tego. Jestem równocześnie arogancki i niepewny. *Jak zamienić życie, by przegrać tak czy inaczej*, autor Ben Jewell.

– Rozumiem – mówi po moim dłuższym milczeniu, głosem stłumionym przez gęste włosy Jonaha.

– Nie, nie, byłoby świetnie, ale z tatą i tak dalej, trudno jest planować.

Odsuwa twarz od szyi Jonaha.

– Moglibyśmy improwizować? – pytam.

Maria wytrzymuje moje spojrzenie. Dostrzegam teraz, że ma pryszczę.

– Oczywiście – odpowiada. – Tyle że całe lato będę podróżować, jak tylko skończy się szkoła.

– Dokąd pani jedzie?

– Do Ameryki Łacińskiej.

– Super.

– Sama.

– Odważnie.

Uśmiecha się.

– To zorganizowana wycieczka, z przewodnikami i tak dalej.

– Bardzo rozsądnie. Będzie pani musiała przysłać nam pocztówkę.

– Załatwione – mówi i wyciąga rękę, aby potwierdzić umowę.

Po odwiezieniu Marii do domu wracamy do szpitala. Tata leży na łóżku z podniesionym wysoko zagłówkiem i popija herbatę. Jonah rzuca się na fotel i wbija wzrok w stojący przy łóżku taty monitor ekg.

– Ten rak ma nawet plan bitwy, jak Hitler – najpierw zajął Czechosłowację, potem Polskę. A mój? Zaatakował szyję i ma plany względem płuc.

– Masz go w płucach?

– Trzy małe guzy jak klopsiki *matzo* Myry, z tym że jego zdaniem mniej zjadliwe.

– Chcesz, żebym skontaktował się z mamą?

– Jak umrę. Nie zniosę myśli o jej paskudnej gębie na moim pogrzebie. Dzwoniłeś do Maurice’a?

– Nie mam jego numeru.

– Daj mi telefon. – Wyciąga dłoń.

– Musisz wpisać zero-dwadzieścia...

– Wiem.

Dopiero za trzecią próbą wpisuje prawidłowy numer. Maurice odbiera od razu.

– Maurice? Georg. Musisz poćwiczyć kadisz. Tak, tak źle. Oddział Wellingtona. Żadnych cygar.

Oddaje mi telefon, nie rozłączając się, więc z aparatu w dalszym ciągu dolatuje blaszana gadka jego kumpla.

– Będzie za godzinę – mówi tata.

Powinienem poczekać, aż zjawi się Maurice? Całą godzinę? Nie mogę spędzić tyle czasu na rozmowie z nim, rak czy nie rak.

– Iść po Maurice’a?

– Nie, przyda mu się trochę czasu na uspokojenie się – odpowiada tata, nie unosząc wzroku znad gazety.

– Więc guzy w płucach?

– Aha.

– Dzięki Bogu nigdzie więcej.

– Słucham? To mało? Nie trzeba oddychać?

– Miałem na myśli jedynie...

Tata klepie mnie po dłoni.

– Wiem, co miałeś na myśli.

Odblokowuję telefon i przeglądam najnowsze wiadomości. Moją uwagę zwraca zdjęcie myszy z wyrastającym jej na grzbiecie ludzkim uchem. Jeśli coś takiego jest możliwe, to na pewno da się załatwić tacie nową tarczycę i płuca. Nauki medyczne... Niezależnie od tego, o jaką nieuleczalną chorobę chodzi, naukowcy zawsze twierdzą: „właśnie jesteśmy u progu”. Dlaczego nigdy nie powiedzą: „tak, możemy rozwiązać ten problem”? Przyglądam się tacie rozwiązującemu czerwonym długopisem krzyżówkę w „Daily Mirror”. Wyczuwam, że się przegrupowuje, szykuje na bitwę. Jestem z niego dumny, z tego tajemniczego człowieka w stroju kamuflującym, szykującego się na swój osobisty Stalingrad.

Jonah wstał z krzesła. Stoi przy oknie i na wysokości oczu kręci piórkiem.

– Co zamierzają robić?

Tata wzdycha i starannie składa gazetę, po czym kładzie ją obok siebie na łóżku.

– Zdaje się, że dziś rano mają konsylium, żeby zdecydować. Prawdopodobnie naświetlania z chemioterapią na deser. Jeśli jednak menu mi się nie spodoba, nie będę jadał w tej restauracji.

– Co to ma znaczyć?

– Jestem starym człowiekiem, Benjaminie.

– Musisz spróbować.

– Dla kogo? Dla siebie? Sądzisz, że chcę, byście z JJ-em patrzyli, jak kurczę się niczym śliwka? Nic z tego.

Nie jest to ten rodzaj odwagi, jakiego po nim oczekuję. Nie! Żadnego poddawania się, nie pasuje to do niego – ani do mnie. Moja duma natychmiast zmienia się w gorzki bycia porzuconym. Stary egoistyczny drań.

– Po prostu jesteś bardzo szlachetny, co?

– W śmierci nie ma nic szlachetnego.

– Musisz zawalczyć, tato.

– Ze śmiercią? Nie da się.

– Z rakiem. Idź na naświetlania i chemię.

– Ben, mam siedemdziesiąt osiem lat.

– Jonah...

– To nie fair.

– Maurice.

– Przyzna mi rację.

A więc będę musiał urobić Maurice'a. Nie – Maurice to piesek taty. Jonah – jedynym sposobem zmuszenia go do zmiany postawy jest Jonah. Chowam twarz w dłoniach i wciskam głowę w materac. Po chwili prostuję się i klepię tatę w dłoń.

– Coś ci powiem – zaczynam. – Zawrzemy umowę. Rozpoczniesz leczenie, a jeśli nie da się go wytrzymać, przewiesz i nic nie powiem.

– Efekt końcowy będzie taki sam.

– Ale może dać ci to dodatkowy rok.

– Na co? Skoro mój wnuk jest posyłany nie wiadomo dokąd, a mój syn, następnego dnia po tym fakcie, się wyprowadzi?

Tak jakby rozumiał, Jonah podchodzi i siada obok taty na łóżku. Teraz dostrzegam. Oczywiście. Stary cwaniak. Odwraca się, ale dostrzegam opuszczone w uśmiechu kąciaki ust. Podobają mi się obie strony transakcji, którą chce mi narzucić. Nie da się zmylić mojego ojca – człowieka z lugerem, dwoma pociskami i rakiem w całym ciele.

– Coś ci powiem – mówię.

– Słucham.

– W takim razie popatrz na mnie.

Odwraca głowę w moją stronę, ale wie. Szczwany stary drań.

– Dopóki żyjesz, Jonah zostanie w domu, z nami.

– Więc odwołasz trybunał...

– Przesunę na późniejszy termin. To maksimum, co wyhandlujesz.

Nie ma możliwości przesunięcia terminu trybunału, po co więc ta gadka? Liczę na to, że umrze prędzej niż później – zanim będę musiał przyznać się do kłamstwa?

– Nie wierzę ci.

Nic dziwnego.

– Musisz mi zaufać. Trudno to przełknąć?

– Wszystko jest trudno przełknąć – odpowiada tata.

– Wszystko będzie przebiegać zgodnie z planem, aż będą gotowe wszystkie ekspertyzy, potem sprawę wstrzymam, o ile będziesz się leczył.

– Nagle mój syn się targuje.

– Ale ty jesteś właścicielem straganu, tato. Albo zaczniesz brać lekarstwa i spędzisz rok z Jonahem, albo zostaniesz męczennikiem i pożegnasz się z nim w ciągu trzech miesięcy.

– A ty dotrzymasz warunków? Uszanujesz wygrany kupon?

– Stuprocentowo.

– Choć stawiasz przeciwko własnej drużynie?

– Obaj jesteście moją drużyną.

Koniec końców muszę jednak dokonać wyboru i obiecać coś, czego nie zamierzam dotrzymać.

– To sytuacja, w której każdy wygrywa, tato.

– Nie traktuj mnie jak *szmoka*. Kiedy mają zacząć mnie przypiekać?

Gdy po konsylium pojawia się pan Stonehouse, obwieszcza, że pierwsze naświetlanie zaplanowano na jutro.

– Chcielibyście panowie, abym wyjaśnił procedurę?

– On ma egzamin z chemii – mówi tata, wskazując na mnie. – Jemu niech pan powie.

Odwraca się i wkłada w uszy słuchawki szpitalnego radia.

Smutny

Strona 1 z 1
JEWELL, Georg (mężcz.)
 Nr NHS: 436 0069 111
 14 Oakfield Avenue, Wynchgate, Londyn, N10 4RG
 Nr EMIS: 18820
 Data wydruku: 11.06.2011

Data wizyty kontrolnej: 11.06.2011 []

Oramorph roztwór doustny stężony 20 mg/ml
 0,5 do 1 ml CO CZTERY GODZINY
 Ostatnio przepisane: 3.06.2011 []

Pantoprazol kaps. 1*28
 40 mg PRZYJMOWAĆ DWA RAZY DZIENNIE
 Ostatnio przepisane: 11.06.2011 []

Lorazepam tabl. 1 mg 1*28
 PRZYJMOWAĆ PRZED SNEM (maks. 2 mg)
 Ostatnio przepisane: 3.06.2011 []

Cetaben krem 500 g podajnik pompowany
 STOSOWAĆ WG POTRZEBY
 Ostatnio przepisane: 3.06.2011 []

Data wizyty kontrolnej 18.06.2011

INFORMACJA DLA PACJENTA: proszę przeczytać uwagi na

Oddział chemioterapii
WIZYTY: p. G. JEWELL

DATA	GODZ.	CZAS TRWANIA
2.10.5.	10.00	
3.	10.00	
4.06.	10.00	
8	10.00	
12	10.00	
16.06	10.00	

WYNCHGATE
 NHS TRUST

6 piętro
 Budynek
 Desmond
 Kampus
 Północny

Strona 1 z 1
JEWELL, Benjamin (mężcz.)
 Nr NHS: 114 796 141
 Mieszkanie 4, 97 Rutland Road, Wynchgate, Londyn, N24 3RS
 Nr EMIS: 56954
 Data wydruku: 11.06.2011

Data wizyty kontrolnej: 11.06.2012 []

Prozac tabl. 20 mg 1*28
 40 mg PRZYJMOWAĆ DWA RAZY DZIENNIE
 Ostatnio przepisane: 11.05.2011 []

Data wizyty kontrolnej: 18.06.2012

INFORMACJA DLA PACJENTA: proszę przeczytać uwagi na tylnej stronie

Strona 1 z 1
JEWELL, Jonah (dziecko)
 Nr NHS: 584 3901 141
 Mieszkanie 4, 97 Rutland Road, Wynchgate, Londyn, N24 3RS
 Nr EMIS: 13240
 Data wydruku: 11.06.2011

Data wizyty kontrolnej: 11.06.2012 []

Risperidon roztwór doustny 500 mg/ml
 1 ml DWA RAZY DZIENNIE
 Ostatnio przepisane: 3.01.2011 []

Sodium Valproate roztwór 500 ml
 5 ml PRZYJMOWAĆ DWA RAZY DZIENNIE
 Ostatnio przepisane: 3.01.2011 []

Data wizyty kontrolnej: 18.06.2012

Oddział chemioterapii
WIZYTY: p. G. JEWELL

DATA	GODZ.	CZAS TRWANIA
2.05.	10.00	
9	10.00	
16	10.00	
23	10.00	
30	10.00	
6.06	10.00	

WYNCHGATE
 NHS TRUST

3 piętro
 Budynek
 Desmond
 Kampus
 Północny

Nie jest dobrym pacjentem. Może i ma stoicyzm we krwi, ale dom zamienił się w szpital, prywatny szpital z prywatną pielęgniarką (Maurice'em), prywatnym portierem i lokajem (mną), i rozrywką (Jonahem). Tyle przepisano mu naświetlań, że ledwie stoję na nogach – Bóg wie, jak sobie poradzę od przyszłego tygodnia, gdy zacznie się chemia.

– Nie zapomnij o wnioskach o recepty.

– Mam je.

– Nie masz, ciągle leżą na stole w kuchni. Dlaczego mamy z Jonahem bardziej cierpieć tylko dlatego, że masz pamięć jak sito?

Biorę trzy świstki.

– Masz dwie dychy?

– Po co? Ja i Jonah nie płacimy za lekarstwa, a twoje to jakieś siedem funtów. Po co ci dwadzieścia funtów?

– Na drobiazgi.

– Leżę tu jak ofiara na stosie całopalnym, a ten chce papierosów... Bardzo wrażliwego chłopca wychowałem. Pieniądze leżą za zegarem.

Biorę dwie dwudziestki.

– Nie możesz pozwolić wszystkiemu wokół siebie zejść na psy przez to, co się dzieje. Rozumiesz, Benjaminie?

– Tak, tato.

Dźwięk klucza przekręcanego w zamku przez Maurice'a to codzienność. Tylko Maurice ma prawo dotykać taty – no i oczywiście Jonah, który jest niezwykle delikatny, jakby rozumiał. A może po prostu lubi efekt, jaki wywołuje krem łagodzący, rozsmarowany na spalonych włosach na piersi taty. Co rano tata rozbiera się do pasa i Maurice smaruje go jak indyka przed włożeniem do pieca.

– Maurice! – krzyczy tata. – Zrób herbaty i nie zapomnij sprawdzić temperatury!

– Georg, wiem, jak się robi herbatę.

– Poproszę miłą dla gardła temperaturę, Maurice.

Maurice idzie do kuchni, tata ścisza głos.

– Benjaminie, zadbaj o interes, to interes zadba o ciebie, ile razy mam ci to mówić?

– Mówiłeś już z milion.

– Nie bądź niepoważny. Valentine nie boi się pracy, ale nie możesz od niego oczekiwać, żeby prowadził firmę. Proponuję ci umowę: pozalatasz wszystkie zaległe sprawy w magazynie, postawisz go – na ile będziesz mógł – na nogi, doprowadzisz do stanu, że wszystko będzie na bieżąco zapłacone, zrobisz remanent, a ja załatwię papiery dla Jonaha.

Nie mam jak się wykręcić.

– Dobrze.

Maurice wraca z herbatą i pojemnikiem cetrabenu, mającego za zadanie łagodzić skórne efekty naświetlań.

– No, Georg, zdejmuj koszulę.

Maurice pomaga tacie, ale widać, jakie to dla niego trudne. Z powodu oparzeń we wszystkich koszulkach wycięliśmy głębokie dekolty, aby go nie cisnęło. Maurice jest

bardzo delikatny, mimo to tata się krzywi.

Maurice wyciska na dłoń kulkę kremu wielkości piłki do krykieta i zaczyna go kuliście wcierać tacie w szyję i górną część klatki piersiowej.

– Nie tak mocno, Maurice.

– Zamknij się, Georg.

Ruszam do wyjścia.

– Pamiętaj o wnioskach na powtórki recept i żeby wpaść do Valentine’a z paroma groszami. Słyszysz mnie?

– Tak, tato.

Pierwsza seria naświetlań dobiega końca i zaczyna go łamać. Po pierwszych dwóch zabiegach widać było jedynie zaczerwienienie, teraz jednak to, co gotuje się pod skórą, wydobywa się na zewnątrz, tworząc pęcherze i strupy, które się sączą i pieką. Szpital zaproponował pielęgniarzkę ze specjalizacją onkologiczną, ale tata jej nie chce.

Za dwa tygodnie będzie miał kolejną tomografię, która wykaże, czy naświetlania zmniejszyły guza, a następnie chemioterapia – koktajl trucizn – pozbawi go gęstych siwych włosów, rzęs, brwi. Niezbyt miła perspektywa. Valentine może poczekać, muszę się przedtem napić.

Guinness jest zimny i ma wyrazisty smak. Mam w głowie natłok myśli. Mogę przyjmować je do wiadomości, rozumiem je i akceptuję, nie wypieram niczego, ale nie jestem w stanie zorganizować własnych myśli tak, aby działały wspólnie – jedyną reakcją wydaje się więc beczyność. Przeciążenie sensoryczne wymaga tłumiącego efektu alkoholu. Prozac może działa na młodych Kalifornijczyków, ale dla tak paskudnego drania jak ja to dropsy. Dopijam drugie piwo i jadę trzysta metrów do magazynu. Wiekowy biały luton stoi na zewnątrz.

– Do kurwy nędzy, Valentine.

Powinien już być w drodze i zbierać wypożyczone sprzęty, nie ma jednak śladu jakiegokolwiek aktywności. Wsiadam, zapalam papierosa i podchodzę do metalowych roletowych drzwi. Są nie tylko opuszczone, ale na dodatek tkwią w nich kłódki. Gdy się pochylam, by sprawdzić, czy kłódki są zamknięte, dostrzegam wystającą spod spodu kopertę. Jest brązowa, zaadresowana na mnie i ostemplowana pieczęcią urzędu skarbowego. Gdy ją wyciągam, guinness burzy się w moim żołądku. Koperta jest, o dziwo, rozerwana, ale w środku jest złożona kartka, którą otwieram niczym wyniki egzaminów.

ZWALNIAM SIĘ

VALENTINE

PS PIERDOL SIĘ!

Jak na Valentine’a to już słowotok.

Gdy podciągam roletę, smród wali we mnie niczym ekspres Delhi–Bombaj. Niedzielne hinduskie wesele na czterysta osób. Czterysta sztuk wszystkiego: talerzy, talerzyków, noży, widelców, łyżeczek, kieliszków, a wszystko brudne i beznadziejnie

spiętrzone w nierówne sterty – chylące się ku upadkowi miasto ze szkła, metalu i ceramiki z gwałtownie rosnącą ilością much.

Sprawdzam pudełko na gotówkę i liczę banknoty. Jest wszystko poza tygodniówką Valentine'a. Wyplacił ją sobie, nic więcej nie wziął. Dwadzieścia dwa lata harówki w brudzie w końcu okazały się ponad jego siły. A tak naprawdę to dziesięć lat kontaktu ze mną. Wsadzam pieniądze do kieszeni, nawet nie myśląc o tym, by namawiać go do powrotu, jedynie odnotowuję w pamięci, by wpaść do niego z jakimiś pieniędzmi, i stoję, przyglądając się syfowi. Nie zajmę się tym. Nie dotknę. Zostanie, jak jest. Nawet nasze przemysłowe zmywarki potrzebowałyby tygodnia, by sobie z tym poradzić – a potem trzeba by wszystko policzyć, poowijać i powkładać na półki, żeby znowu mogło gdzieś jechać.

Koniec. Interes taty przestał istnieć. Moje dochody przestały istnieć.

Dzwoni telefon.

– Potrzebuję czajnika elektrycznego, skarbie, na imprezę dziś po południu. I mógłbyś przy okazji przywieźć dwadzieścia talerzyków na ciasto marmurkowe?

– Dokąd?

– Streatham.

– Nie.

– Nie?

– Nie.

– *Nu?*

– Żegnam. – Rzucam słuchawką, wyrywam kabel telefonu ze ściany i ciskam aparat na stertę brudnych naczyń.

Mam kieszeń pełną pieniędzy, w głowie lekko mi szumi po guinnessie i muszę zabić kilka godzin. Jonah jest w szkole, Maurice z tatą i nie wyobrażam sobie niczego, co mogłoby sprawić mi przyjemność.

Równie dobrze mógłbym pojechać do Streatham, znam tam jednak tylko żydowski cmentarz, gdzie byłem na pogrzebie dalekiego kuzyna.

Przez pięć minut kręcę się na biurowym fotelu, aż robi mi się niedobrze, po czym zdejmuję ze ściany spięte metalową klamrą faktury dla klientów, ostemplowane na czerwono NIEZAPŁACONE.

Z każdą kolejną, jaką przerzucam, narasta we mnie złość, skierowana zarówno na niesolidnych klientów, jak i na siebie samego. To pieniądze Jonaha, a ja byłem zbyt leniwy, aby pościągać należności.

Magazyn zamienił się w sracz, ponieważ na to pozwoliłem. Valentine odszedł, bo traktowałem go lekceważąco, a ludzie nie raczyli płacić, gdyż ja nie raczyłem ich ścigać. Stali klienci odchodzili, bo myliły mi się zamówienia. Nigdy niczego porządnie nie sprawdzałem i, w pewien sposób, chciałem zniszczyć to, co zbudował tata, był to bowiem jedyny sposób na ucieczkę z mojego osobistego więzienia.

Przeglądam faktury do końca – niektóre zostały wystawione trzy lata temu – i dzielę je na osoby prywatne, z adresami domowymi, oraz firmy cateringowe, które w dalszym ciągu istnieją albo i nie.

Układam je chronologicznie i przypinam do wiszącej na ścianie mapy Londynu.

Na koniec biorę kalkulator i sumuję, ile ci ludzie są mi winni.

Siedemdziesiąt dwie zaległe faktury. Gdy kończę po dziesięciu minutach, czuję równocześnie przypływ adrenaliny i wstyd.

CAŁKOWITA SUMA NALEŻNOŚCI: 18 724,84 £.

Cukierek albo psikus

Mógłbym poprosić Boga o przysługę, ale prawdopodobnie ta rozmowa natychmiast zostałaby przekierowana na pocztę głosową. W magazynie jest zimno i cicho, więc robiąc w głowie rachunki i – jak zwykle, gdy trzeba zrobić coś, co jest trudne – próbując nie podjąć żadnej decyzji, rozgrzewam się whisky. Jak zażądać od tych ludzi pieniędzy po – w niektórych przypadkach – trzech latach? Jeśli odmówią albo zaprzeczą istnieniu długu, prawdopodobnie będę musiał przeprosić. Mogą mnie nawet wyśmiać, co wtedy zapewne wywoła u mnie wybuch wściekłości i gwałtownych reakcji. „Nigdy nie będziesz rekinem przemysłu” – zwykła mówić mi mama w ramach samospełniającej się przepowiedni – „ale zawsze będziesz pewien mojego serca”, co oczywiście jest bzdurą. Mógłbym zatrudnić firmę windykacyjną, wymagałoby to jednak pisania listów, telefonowania i zachowania odpowiednich procedur. Nie mam na to czasu.

Idę do obmierzłej toalety i tam przeglądam się w lustrze. Mam nieumyte i zmatowiałe włosy, od alkoholu błyszczą mi oczy, a twarz zdobi sześciodniowa szczecina – nie broda, lecz brudna płatanina, która podkreśla fatalną resztę. Mój polar śmierdzi wielotygodniowym potem, a bojówki mają, aż po czarne buciory, pełno starych plam po curry. Przyglądam się mojej kłacie z różnych stron, niczym kulturysta przed zawodami, stwierdzam, że lata wnoszenia i wynoszenia stołów i krzeseł z lokali oraz noszenia ich po schodach nieźle mnie napakowały.

Świetny widok.

Zaczynam bokсовать się z cieniem, ale natychmiast łapie mnie atak kaszlu.

Dzwonię do Johnny’ego.

– Wchodzimy w branżę odzyskiwania długów – informuję go prosto z mostu.

– Żartujesz sobie?

– Nie, Johnny, mówię śmiertelnie poważnie.

– Nie możesz wziąć kogoś innego?

– Nie znam nikogo innego, więc z braku możliwości powiadomienia wymiaru sprawiedliwości...

Wyjaśniam mu, do czego doprowadziło moje niedbalstwo, na co on wybucha śmiechem.

– I to twoja kasa?

– Co do pensa.

Johnny jest tak naprawdę jedyną osobą, na którą mogę liczyć – oczywiście poza Jonahem. Nasza przyjaźń należy do tych, które trwają mimo okresów braku kontaktu – oczywiście zawsze z mojej winy, gdy uciekam w samotność.

– Ben, pamiętasz chyba, że nie stosuję przemocy.

– To łatwizna, wystarczy, że będziesz stał za mną i groźnie wyglądał. Będę cię potrzebował tylko w przypadku tych, którzy odmówią.

– To pocieszające.

– Aha, i twoje włosy.

– Co jest z moimi włosami?

– Przytnij je przy skórze, przejedź maszynką, coś takiego.

– Chcesz, żebym ogolił sobie głowę? To się skończy tym, że będę musiał nocować u ciebie, bo...

– Johnny, proszę. To nie dla mnie, tylko dla Jonaha.

– Jezus, ja to robię dla ciebie. Gdzie się spotykamy?

– Przyjedź po mnie jutro wpół do dziewiątej rano.

– Sądzisz, że pozwolę ci do tej akcji użyć mojego samochodu?

– Jest gangsterski, aż krzyczy: jestem dilerem!

– Jedno zadrapanie...

Jonah jest już w drodze do szkoły, gdy zwlekam się po schodach, sprzątam więc po śniadaniu i odkażam jego pokój. Gdy zbieram reklamówki z Tesco wypełnione pełnymi pieluchami i zniszczoną bielizną, Johnny podjeżdża nieskalanym samochodem. Słońce odbija się od jego świeżo ogolonej głowy. Wsiadam, zaczynam czytać adresy i wyśmiewać się z jego łysiny, podczas gdy on programuje nawigację.

– Ona mnie zabije.

Spogląda na leżącą na moich kolanach torbę.

– Powiedz mi, że nie wzięłeś lugera twojego starego.

– Zastanawiałem się nad nim.

– Jesteś nienormalny.

Otwieram torbę, pokazując butelkę whisky.

– Brudny, zły i zalatujący wodą – nie zapłaciłbyś?

– Nie wiem, ale na pewno kazałbym cię aresztować.

– Nie martw się, najpierw będę grzecznie prosił, groźby zostawię na potem.

Gdy Johnny przekręca kluczyk, nie wygląda na przekonanego.

Jest w tym coś szalonego, jak wyjazd na wakacje – jazda do Gatwick, aby wsiąść w samolot lecący w Alpy albo do Dublina. Wolność i picie dla samego picia, zamiast tego, co teraz – nienormalne picie, aby zachować normalność. W naszą dziwną hulankę wkrada się wspomnienie: docieram na lotnisko w drodze do Francji ze świadomością, że nie mam pieniędzy, i proszę Johnny'ego o kasę. Spełnia prośbę bez pytania. Nigdy nie oddałem mu żadnej pożyczki – tylko biorę. Od Johnny'ego, od Emmy, nawet od taty. Muszę zacząć spłacać długi.

Proszenie żydowskich wdów o pieniądze za stypę po zmarłym mężu wydaje mi się szczytem bezduszności, ale nie wolno mi zapominać, że grały na moim współczuciu, by nie zapłacić, więc pieprzyć je! Johnny w każdym miejscu, do którego docieramy i które rozpoznaje – a jest ich wiele – kuli się na tylnym siedzeniu jak tchórz.

– Chodź, to dobra zabawa! – wołam do niego, wyskakuję z samochodu i podbiegam do progu. Obecność Johnny'ego pozbawia mnie skrępowania. Zawsze tak było.

– Odpierdol się, to dom mojej teściowej. Nie dzwoń, zapłacę za nią, tylko spadajmy stąd.

Niestety jego protest jest spóźniony. W korytarzu dzwoni dzwonek i po chwili drzwi się otwierają. Sprzątaczką informuje, że pani Caplin gra w golfa.

– Nie, nie chcę zostawić wiadomości – stwierdzam.

– Drań – rzuca Johnny, siadając za kierownicą. Kładę mu fakturę na kolanach i przyklepuję ją dłonią.

– Jesteś bardzo szczodrym zięciem.

Do lunchu odwiedzamy trzydzieści jeden miejsc – to jedna z zalet getta – i sprawa okazuje się zaskakująco prosta. Większość ludzi płaci z ulgą, wielu stwierdza, że ponieważ nikt nie podnosił słuchawki, sądzili, iż zamknąłem interes. Nawet Johnny’emu udzielił się nastrój, bo gdy wpadamy do pubu w Sudbury na lunch, radośnie podskakuje w rytm lecącej muzyki Dr Dre.

Gdy jemy, Johnny liczy i zapisuje równe kolumny cyfr.

– No i?

– Jak na razie sześć tysięcy czterysta jednaście pięćdziesiąt. Nieźle jak na jeden poranek.

– No widzisz, a nie mówiłem?

Kanapka klubowa Johnny’ego porusza się w górę i w dół w rytm jego potakiwania głową. Nie powiedziałem mu, że ci, których objechaliśmy, zaliczyłem do kategorii „łatwi”, i nie mam pojęcia, co przyniesie popołudnie, cały czas powtarzam sobie jednak, że to dla Jonaha, i szybko wlewam sobie w gardło nieco płynu dla odwagi. Dzwonię do szpitala, aby dowiedzieć się, co u taty. Gdy udaje mi się przebić do dyżurki pielęgniarek, pierwsze, co słyszę, to jego wrzaski na Maurice’a.

Gdy znowu ruszamy, czuję w kieszeniach gruby zwitek banknotów i jeszcze grubszy plik faktur. Chyba nigdy w życiu nie miałem przy sobie tylu pieniędzy. Ile ich zmarnowałem przez te wszystkie lata? Pamiętam ekscytację, gdy klient poprosił o możliwość zapłacenia gotówką, rozkosz i poczucie mocy w kieszeni, gwarancję dobrego drinka, jaką to dawało – butelkę whisky single malt zamiast mieszanej, aby uczcić sukces. Pitej oczywiście dokładnie tak samo: z butelki, w furgonetce.

Jedziemy dalej, a sklepy i domy zaczynają być znajome.

– Tutaj prawdopodobnie będziesz mi potrzebny – mówię, gdy podjeżdżamy pod dwupiętrowy budynek w stylu wiktoriańskim w Kilburn.

– Boże...

– Na pewno będzie okej, tylko stój za mną, nie odzywaj się i wyglądaj przygłupio.

Dzwonek nie działa, zaczynam więc łomotać do drzwi. W oknie na parterze porusza się firanka.

– Dzień dobry, Kieran! – Walę teraz w okno. – Kieran, wiem, że jesteś w środku. Otwórz, proszę.

Drzwi się otwierają i pojawia się w nich mierzący metr osiemdziesiąt osiem Irlandczyk w bokserkach i brudnym T-shircie. Wygląda na oszołomionego, jakby moje walenie go obudziło. Wchodzi w rolę.

– Nie proponujesz nam kawy? – pytam i przeciskam się obok niego do środka.

– Chodź do kuchni.

Przechodzimy – ja przodem, Johnny tuż za mną – nad zajmującymi pół przedpokoju pudłami ze sprzętem komputerowym i wchodzimy do kuchni, której – mówiąc oględnie – nie zaszkodziłaby kropla cillitu. Kieran włącza czajnik, ja podaję mu fakturę. Jego oczy rozszerzają się.

– Boże, panie Jewell, nie mam tyle pieniędzy.

– No cóż, trzeba było o tym pomyśleć, zanim wynająłeś dwadzieścia moich stołów

na krzyżakach na targi komputerowe i spierdoliłeś, ani nie płacąc, ani nie mówiąc, gdzie są stoły. Mój kolega potrzebował sześciu tygodni, by je wszystkie zebrać – mówię, wskazując kciukiem za siebie, na Johnny’ego.

Kieran wbija w Johnny’ego tępe spojrzenie.

– Tak, bardzo mi przykro, ale byłem trochę zakręcony.

Biorę od niego kawę w wyszczerbionym kubku, Johnny odmawia.

– Chciałbym panu pomóc, panie Jewell, ale jestem w tej chwili spłukany.

– No cóż, Kieran, ja też, i to głównie przez takich jak ty.

– Naprawdę nic w tej chwili nie mam. Z targami się posrało. Wyglądam na nadzianego gościa?

Nie wygląda.

– Wyjeżdżasz dokądś, Kieran? – pyta Johnny.

– Jadę do rodziny. Skąd pan wie?

– Czy aby nie amerykańskiej?

– Boże, panie Jewell, pana kumpel jest jasnowidzem?

Johnny przechodzi przede mną z paszportem w dłoni. Jest pełen dolarów.

– Nie, proszę, to na wydatki... – jęczy Kieran.

– Jaki jest dziś kurs wymiany dolara, szefie?

Wyjmuję telefon i gugluję.

– Wygląda na to, że za dolara dostaje się sześćdziesiąt sześć pensów.

– Co oznacza, że Kieran ma na dzień dzisiejszy do oddania...

Kieran wrywa Johnny’emu plik z dłoni.

– ...dwa tysiące sześćset dwadzieścia pięć dolarów.

– Dajcie spokój, nie mam tyle. Pozwólcie jednak, że okażę dobrą wolę.

Liże palec, odlicza pięćset dolarów i podaje je Johnny’emu.

Johnny przysuwa się do niego – są podobnego wzrostu, ale widać, że Johnny zawsze dojada posiłki do końca.

– Jeszcze pięćset, ale to wszystko, na co mnie stać. – Kieran podaje drugie pięćset.

Johnny kładzie mu dłonie na ramionach.

– To tysiąc i teraz wszystko odliczysz – warczy.

Kieran odlicza banknoty drżącymi dłońmi, aż robi się tysiąc. Czuję się winny – to jego pieniądze na wakacje, widać, że cienko przedzie, w sumie to miły gość, może oddamy mu połowę, po części to moja wina, że go nie ścigałem. Rzucam Johnny’emu zbolale spojrzenie.

– Nie! – odpowiada, przepychając mnie do drzwi. – Kieran! Udanych wakacji! – dodaje, gdy wychodzimy na ulicę.

Ale z ciebie groźny pieprzony windykator – szepczę, gdy idziemy do samochodu.

– Tutejszy świat jest bezpardonowy. Nie daj się zwieść pozorom.

– Szacun.

– Jasne – mówi, trąc dłonie. – Kto następny, szefie?

W samochodzie uśmiechamy się do siebie. Wygląda na to, że proaktywność to nie fantazja, wyśniona w trakcie marketingowej burzy mózgów w Los Angeles. Czuję, jak poprawił mi się nastrój. Nie tylko dlatego, że zaczyna się zapełniać wojenna szkatuła

Jonaha, ale także dlatego, że mogę cały dzień spędzić z moim najlepszym przyjacielem, śmiejemy się i żartujemy, i zachowujemy się jak wariaci. O to jednak chodzi: szalona sytuacja wymaga szaleństwa. Niemal żałuję, że nie wziąłem lugera.

Reszta popołudnia nie przebiega idealnie – odbijamy się od kilku ścian zaprzeczeń, a numer z agresywnym draniem nie bardzo wychodzi z paroma recepcjonistami, w końcu jednak mamy nieco ponad jedenaście tysięcy funtów w gotówce i czekach. Jest szósta i obaj jesteśmy wykończeni.

– Starczy, jedźmy do domu. Muszę stanąć przed moją panią.

– Jeszcze tylko jedno miejsce.

– Nie, Ben, mój dzień pracy się skończył. Jestem wykończony.

– To po drodze i możesz zostać w samochodzie.

Każę mu stanąć za starym volkswagenem golfem, zaparkowanym przed domkiem szeregowym z lat pięćdziesiątych.

– To potrwa sekundę.

Dzwonię do dobrze znanych czerwonych drzwi i po chwili ze środka dobiega szuranie stóp na schodach. Drzwi się otwierają i nastolatka w progu cmoka na mój widok.

– Tato, do ciebie! – krzyczy i natychmiast wbiega z powrotem na schody. Czekam na zewnątrz. Nigdy nie byłem w środku.

Valentine ma na sobie szary dres. Wypełnia sobą całe drzwi.

– Czego chcesz?

– Przepraszam, jestem tępym durniem – mówię, wręczając mu tysiąc funtów. Nie jest to fortuna, ale pozwoli przeżyć miesiąc. Valentine bez komentarza chowa pieniądze do kieszeni.

– Co będziesz robił? – pytam.

– Wracam na Barbados.

– To dobrze. – Naprawdę tak uważam.

– Jak twój chłopak? – pyta Valentine z uśmiechem.

– Dobrze.

Bez ceregieli zamyka drzwi i jedyne, co przychodzi mi do głowy, to: „Boże, musiałem być dla niego kozłarem”.

Gdy wracam do samochodu, Johnny podziwia we wstecznym lusterku swoją nową fryzurę.

– Dzięki – mówię. – Naprawdę. Sam bym sobie nie poradził.

Johnny sięga do schowka i wyjmuję książeczkę czekową.

– Nie musisz mi płacić za sprzęt dla teściowej. Uznajmy to za wynagrodzenie.

Z kieszeni drzwi wyjmuję jednak długopis i zaczyna pisać.

– Nie musisz.

Kończy zamasztyłem podpisem i podaje mi czek. Na czeku są tylko moje nazwisko i jego podpis.

– Nie rozumiem.

– Nieważne, ile ci zabraknie. Gdy wszystko się skończy, z prawnikami i tak dalej, wpisz sumę.

– Nie mogę...

– To ustalone. Rozmawialiśmy o tym w nocy.

– Z Amandą?

– Tak.

– Zwrócę ci.

– Zwróć nam, uśmiechając się i wygrywając. Nie wytrzymam dłużej widoku twojej skrzywionej gęby.

W dzisiejszym dniu było coś, co postawiło mnie na nogi. Coś osiągnąłem. Nie jest to ideał, ale z odzyskanymi pieniędzmi i pomocą Johnny’ego skupiam się nie tyle na problemie, ile na rozwiązaniu, na tej części, którą udało się osiągnąć. Będę panował nad sytuacją do czasu, aż Emma odda mi pieniądze. Wreszcie czuję, że pomagam Jonahowi i nie potrzebuję pomocy taty.

Wracam do domu jak na skrzydłach, wszystko jednak wali się w gruzy na widok frontowych drzwi. Do mosiężnej kołatki przywiązany jest niebieski balonik. Boże, nie... jedenasty maja... W korytarzu walają się kolejne balony, w salonie przekrzykują się chrapliwe głosy rodem ze szkółki pokera.

– Głowa jak sito – wita mnie tata.

Na stoliku do kawy stoi dumnie marmurkowe ciasto z jedenastoma świeczkami. Jedna połowa jest zmiażdżona.

– Nie mógł się doczekać.

Jonah siedzi na kanapie, obsypany okruchami, w koronie z zielonej bibułki na głowie, i kręci w palcach złotą wstążkę. Podchodzę, by go pocałować, ale się odwraca.

– Skąd wiedziałeś?

– Jest moim wnukiem, jak bym mógł nie wiedzieć?

– Naprawdę?

– Emma też jest.

– Tutaj?

– Nie, u Maurice’a. Oczywiście, że tutaj.

– Wpuściłeś ją?

– A dlaczego miałbym tego nie robić? Matka nie powinna widzieć się z synem w jego urodziny? Poza tym dość w tobie złości na nas obu. Jest w kuchni.

Gdy wchodzę, stoi plecami do mnie i wrzuca do kubków torebki z herbatą.

– Pomyślałaś sobie, że ot tak się zjawisz?

– Jonah ma urodziny. Ben, proszę, nie zaczynaj akurat teraz.

– A kiedy? Kiedy zamierzasz zacząć odbierać moje telefony? Kiedy zamierzasz powiedzieć mi prawdę?

Odwraca się do mnie.

– Ben, proszę. Daj mi spędzić nieco czasu z Jonahem w jego urodziny. Tęsknię za nim.

– Nikt nie zabrania ci się z nim widywać, Emmo. To ty...

– Daj jej spokój!

– Nie wtrącaj się, tato.

– Nie. Masz ją natychmiast zostawić w spokoju, Ben!

– Georg, może...

– Nie, nie, powinnaś pobyć z JJ-em.

Wychodzę na miękkich nogach na korytarz i opieram się o ścianę. Oddycham z trudem. Z kuchni dolatuje cichy płacz Emmy i jej przyciszony głos, ale nie da się rozróżnić słów. Kilka minut później przechodzi obok mnie i wchodzi do salonu, następnie podbiega do frontowych drzwi i wychodzi. Zbieram się w sobie i idę do salonu.

Kumple taty od pokera, Harvey i Sammy, próbują ściągnąć na siebie uwagę Jonaha, machając mu przed nosem kiepsko owiniętymi prezentami, wzrok ma jednak przyklejony do ekranu telewizora. Nic dla niego nie mam.

– Otwórz mu je, Sammy, sam tego nie robi – mówi Harvey.

Sammy rozrywa papier. W środku jest torba z niebieskiego aksamitu wielkości złożonej gazety z nadrukowanymi literami hebrajskiego alfabetu. Sammy rozsuwa suwak i wyjmuję zdobiony z białego i niebieskiego jedwabiu tałes – szal nakładany na głowę podczas modlitwy – i jarmułkę z niebieskiego zamszu z herbem Tottenham Hotspur.

– To jakiś żart? – pytam.

– Żydowski chłopiec nie powinien mieć tałesu? – mówi Sammy. – A co miałem mu kupić? Jabłko?

– On tego nie potrzebuje, ani jednego, ani drugiego. Nie będzie miał bar micwy ani się nie ożeni, nigdy nie pójdzie do synagogi. Czyj był ten idiotyczny pomysł?

– Mój – mówi tata.

– Twój? Ateisty?

– Tak, mój.

Odwracamy się obaj w stronę Jonaha, który owinał sobie głowę szalem. Po obu końcach tałes ma mnóstwo frędzli plecionych z jedwabnych nitek. Palce Jonaha przebierają po nich.

– Żeby miał co skręcać, nie dlatego, żeby został rabinem.

Patrzę na zranionego Sammy'ego.

– Przepraszam.

– A co ty mu kupiłeś? – Oczy ojca rzucają błyskawice.

– Zostawiłem w bagażniku. Zaraz przyniosę.

Siedzę w samochodzie z włączoną na maksimum klimatyzacją, ale krew we mnie wrze. Wściekłość i wstyd niełatwo stłumić. Emma nie była taka, jak sobie wyobrażałem. Była słabsza, niż zapamiętałem, jej pewność siebie uleciała. Nie było ponownego połączenia się, nie było kłótni, nie było stoicyzmu i czuję się jak kawał gówna.

Jedynym miejscem, gdzie można teraz kupić zabawkę, jest całodobowe Tesco. Jadę jak wariat North Circular, wmawiając sobie, że nikt nie zauważy mojej czterdziestopięciominutowej nieobecności. Z piskiem hamulców skręcam na zjazd i moja deska rozdzielcza natychmiast zostaje rozświetlona jak dyskoteka – zmieniającym się czerwonym i niebieskim światłem. Zjeżdżam na pobocze, powtarzając sobie: dziś są urodziny mojego syna, ma autyzm, żona mnie zostawiła, jestem dobrym człowiekiem. Oślepia mnie snop światła z latarki, który następnie przesuwają się po wnętrzu samochodu niczym lądujące UFO. Rozlega się mocne stukanie w szybę. Wciskam przycisk opuszczania.

– Czym mogę służyć?

– Czy zazwyczaj zjeżdża pan z drogi dwupasmowej na dwóch kołach?

– Nie. Jestem bardzo ostrożnym kierowcą.

– Mógłbym prosić o wyjście z samochodu?

Na zewnątrz, stojąc oparty plecami o karoserię, przeliczam w głowie dzisiejsze picie. Perspektywa więzienia zgina mi kolana, jakbym się potknął. Policjant patrzy na mnie ze smutkiem i odwraca się do swojego partnera, który kieruje się do tylnej części mojego auta.

– Pił pan coś dziś wieczór?

– Nie. – To prawda, bo nie miałem jeszcze okazji.

– Zamierzam zbadać pana pod kątem obecności alkoholu w organizmie. – Wyjmuje z kieszeni rurkę w plastikowej torebce. W tym samym czasie jego partner otwiera prawe tylne drzwi mojego samochodu. Pisk ksylofonu przebija się przez uliczny hałas.

– Gavin, chyba powinienś to zobaczyć.

Funkcjonariusz Gavin prowadzi mnie za łokieć dookoła samochodu i zatrzymuje tak, abym stał twarzą do wnętrza.

– Co to jest?

– Puste butelki.

– Proszę nie cwaniakować. Dlaczego wypadają z pańskiego samochodu?

– Wiozłem je do pojemnika za sklepem.

– Naprawdę? Nie słyszał pan o reklamówkach?

– Niedobre dla środowiska.

– Pijani kierowcy też. Proszę dmuchać w tę rurkę. Nie brać głębokiego wdechu, jedynie dmuchać, aż wyda się panu, że zaraz zemdleje.

Już się czuję, jakbym miał zemdleć, ale wykonuję polecenie. Dotychczas udawało mi się unikać uważnych kontroli, ale biorąc pod uwagę moje szczęście w ostatnim czasie... Policjant wyjmuje rurkę z czarnego pudełka, chowa ją do plastikowego opakowania i obaj wpatrujemy się w trzy kolorowe diody. Nigdy w życiu nie życzyłem sobie tak bardzo, aby światło zmieniło się na zielone. Diody migoczą jak szalone: zielone, żółte, czerwone, zielone, żółte, czerwone. Zatrzymują się na chwilę na czerwonym, po czym zmieniają kolor na żółty. Nie mam pojęcia, co to znaczy.

– Ma pan szczęście. Widzi pan ten kolor? Oznacza, że jest pan obecnie minimalnie poniżej granicy. Chciałbym, żeby schował pan butelki do bagażnika, wszedł do samochodu i ostrożnie pojechał do domu, zanim kolor zmieni się na czerwony.

– Ale muszę zrobić zakupy.

– Jutro, proszę pana. Sprawdzimy, czy pan odjechał, dobranoc.

Jadą za mną pięćset metrów, a gdy skręcają w bok, zatrzymuję się przy pierwszym pubie.

Jonah chrapie w łóżku, ściskając w dłoniach tałes. Całuję go w czoło i gdy delikatnie zabieram mu szal, czuję perfumy Emmy. Zapach drapie mnie w gardle jak amoniak i sprawia, że mam łzy w oczach. Udało mi się uniknąć dziś więzienia, ale czy istnieje gorsze od tego, w którym już tkwię?

Radość z porzucenia interesu już się gdzieś ulotniła. Ta zmiana nie odbyła się w sposób, o jakim marzyłem – z perfekcyjnym scenariuszem, po nieoczekiwanym

telefonie z wielkiej agencji marketingowej z informacją (podczas gdy zbiera mi się na płacz z radości), że widzieli jakąś moją starą robotę i muszą mnie zatrudnić. Odejdzie z dumą, wybawienie.

Nie, to nie może się tak skończyć. Będę musiał utrzymać magazyn na minimalnym poziomie – z Valentine’em albo bez. Jest wystarczająco dużo agencji pracy, gdzie znajdę kierowcę i pomywaczy. Postanawiam zadzwonić do nich jutro. No i zaparkować w bocznej uliczce i zalać się w trupa.

Krowa

Lomax i Partnerzy

Adwokaci

132 Furnival Street

Londyn EC4 2JR

30 maja 2011 r.

Szanowny Panie Jewell

Re: Pozew o rozwód w imieniu Pani Emmy Jewell

Piszę do Pana w imieniu mojej klientki Emmy Jewell, wnosząc pozew o rozwód.

Wiem od mojej klientki, że od prawie czterech miesięcy jesteście Państwo w separacji i ponieważ Pani Jewell obecnie pracuje na pełnym etacie, razem zdecydowaliście, że to Pan przejmie czasową opiekę nad Jonahem, który dzięki udziałowi Pana, Pańskiego ojca oraz służb socjalnych ma ją zapewnioną w dobrym zakresie. Zastrzegamy prawo do zmiany tego stanu, jeżeli okoliczności będą pozwalać na wspólną opiekę. Oczywiście znacznie upraszcza to sprawę, nie ma bowiem potrzeby zwracania się do sądu rodzinnego w celu rozwiązania sporu w tym zakresie.

Od mojej klientki wiem także, że były dom rodzinny w Wynchgate jest zapisany całkowicie na jej nazwisko, co także pozwoli uniknąć skomplikowanych negocjacji i sporów.

Moja klientka prosiła mnie, by zapewnić Pana, że nie chciałaby, aby postępowanie stało się przyczyną jakiegokolwiek

wrogości i abym ubłagała Pana o podpisanie załączonych dokumentów, byśmy mogli zacząć działać. Z pewnością zauważy Pan, że jako przyczynę rozkładu związku małżeńskiego określiła „niezgodność charakterów” i ma nadzieję, że nie będzie Pan tego kwestionował.

Zdaję sobie sprawę, że obecnie badacie Państwo możliwość skierowania sprawy syna, Jonaha, do trybunału do spraw edukacyjnych i Pani Jewell chce powtórzyć, iż poniesie połowę kosztów, gdy będzie w posiadaniu środków.

Pani Jewell pokryje oczywiście koszty powstałe ze strony naszej kancelarii. Jeżeli jednak postanowi Pan walczyć, polecałabym znalezienie sobie przedstawiciela prawnego.

Z poważaniem
Philippa Lomax LLB
Partner kancelarii Lomax i Partnerzy

Zgniatam list i rzucam go jak piłkę do czarnego kosza wiszącego na drzwiach szafki. O co tu walczyć? Co tu dzielić? Teraz, gdy magazyn padł i nie mam źródła dochodu, zgodnie z prawem powinna chyba płacić za moje utrzymanie i na dziecko, ale nie zamierzam o to prosić. Nie chcę jej teraz denerwować, ale to jeszcze nie koniec.

Od chemii i naświetlań tata jest zbyt słaby, aby kąpać Jonaha – i grzebać w mojej poczcie – więc wydział spraw socjalnych co wieczór przysyła kogoś do pomocy przy Jonahu. W sumie pielęgniarki i pielęgniarze są całkiem dobrzy i nie można narzekać, ale równocześnie są niczym aniołowie zagłady. Tacie nie wracają siły, choć zawsze sądziłem, że jest wieczny.

Tata śpi w fotelu, z dłonią na wypełnionej do połowy krzyżówce w „Guardianie”. Koc się zsunął, podciągam mu go więc i wlokę się na górę.

Młoda kobieta – nigdy nie przychodzi dwa razy ta sama osoba – kąpie Jonaha, od razu jednak widzę, że wody jest za mało i jest zbyt zimna. Gdy wchodzę, dziewczyna uśmiecha się do mnie. Jonah mnie ignoruje.

- Dziękuję, dalej ja się nim zajmę.
- Na pewno? Mam być jeszcze godzinę.
- Nie ma sprawy, proszę zrobić sobie wolne.
- Jeśli pan tak uważa...
- Proszę iść – kończę z uśmiechem.

Czekam na trzask frontowych drzwi, po czym odkręcam krany i podstawiam pod strumień wody pieniaący się płyn.

- Choć, koleżko, zrobmy to porządnie.

Jonah wkłada duży palec lewej stopy pod strumień wody i gdy zaczyna go łaskotać, chichocze. Bełtam dłonią wodę, aby zrobić pianę, i rozpoczynam rytuał od nowa.

Kładę się na plecach na podłodze i podpieram głowę dłońmi, podczas gdy Jonah gaworzy i pluska.

– Dziwne, co? – mówię. – W jednej chwili leżysz w swoim łóżku, obok są tata i mama, a w następnej mamy nie ma i jesteś w obcym domu, tylko z tatą i dziadkiem... Dla mnie to dziwne. My dwaj aż tak bardzo się nie różnimy. Obaj nie lubimy zmian, prawda? Wiem, że to, co się dzieje, denerwuje cię, i przepraszam cię za to. Też jestem zdenerwowany. Naprawdę. Tylko inaczej to okazujemy. Ty się złościś i frustrujesz, a ja zachowuję się kurewsko fatalnie wobec wszystkich i nawalam się. Cokolwiek będziesz robił w życiu – nawet, gdy będziesz w odpowiednim wieku – trzymaj się z dala od gorzały. Niczego nie zmienia, sprawia tylko, że człowiek czuje się jeszcze gorzej. Zostań przy wodzie. I, na Boga, unikaj papierosów. Wiem, że będziesz robił to, na co masz ochotę – tak jak ja robiłem – ale spójrz na mnie: nie jestem dobrym wzorem, prawda? Nie musisz odpowiadać. Tak wiele osób cię kocha, Jonahu. Mama cię kocha, choć dziwnie to okazuje, dziadek kocha cię bardziej niż mnie...

- Nieprawda!

Siadam.

- Nie słyszałem, jak wchodziłeś.
- Na jakiej podstawie uważasz, że kocham Jonaha bardziej niż ciebie?
- Wydaje się to oczywiste, obserwując sposób, w jaki...

– Nigdy więcej nic takiego nie zakładaj. Słyszysz mnie, Ben?

– Tak, tato.

– Obaj jesteście ciało z mego ciała.

– Wiem.

Tata klepie mnie w bark.

– Będę u siebie.

Patrzę, jak wychodzi, powodując nierówne w rytmie skrzywienie podłogi, wynikające z drobnych zaburzeń równowagi. Jego ruchy, kiedyś przypominające maszerującą orkiestrę, zmieniły się w nieprzewidywalną, nerwową dysharmonię jazzu. Rzęzące płuca nie pozwalają mu normalnie oddychać, a każdy świst, jaki dolatuje z jego ust, sprawia, że zamieram w pół oddechu.

Jonah leży w łóżku. Tata leży w łóżku. Ja leżę na kanapie ze szklaneczką whisky na piersi. Nie mam siły czytać ani oglądać telewizji, gra tylko radio, ale jedynie dla towarzystwa, stworzenia ciepłego ła. Uległem Radio 4 i leci „Książka do poduszki”, nie mam jednak pojęcia, o co chodzi, nie jest to jednak istotne, bo lektorka ma irlandzki akcent, południowy i miękki. Uwielbiam ten dźwięk – wszystkie opowieści powinny być czytane w tej śpiewnej intonacji. Popijam szkocką. Rozgrzewa mnie w środku, podczas gdy irlandzka towarzyszka koi moje przeciążone synapsy. Nie chcę iść do łóżka na wypadek, gdyby miał mi się zmienić nastrój. Gdybym mógł pozostać w takim stanie jak teraz – neutralnego zawieszenia – zrobiłbym to. Na zawsze. W tym momencie rozlegają się ciche kroki. Jonah. Przed rakiem bym go zignorował, ale teraz tata bardzo potrzebuje snu, wstaję więc, choć niechętnie, i idę sprawdzić.

Idę bosy i powoli. Jeśli uda mi się zachować spokój i ciszę, mam szansę sprowadzić go z powrotem do pokoju bez budzenia taty. Najpierw zaglądam do pokoju Jonaha – kołdra leży na podłodze, a po ścianach i suficie pływają wielokolorowe ryby.

Drzwi do pokoju taty są otwarte, więc wślizguję się do środka.

– Nie śpię, nie martw się. – Rak i leczenie obniżyły mu głos o oktawę i mówi chrapliwie.

– Zabiorę go z powrotem, tato – szepczę. – Chodź, Jonah.

– Nic się nie dzieje, pozwól mu zostać. Lubię jego ciepło, lubię słuchać, jak oddycha. A on lubi moje opowieści. Prawda, JJ?

Tata konspiracyjnie macha do Jonaha. Nie ma sensu się spierać – znam to uczucie i nie jestem zazdrosny. Nie ma w tym nic osobistego – nic w zachowaniu Jonaha nie jest osobiste. Jonah ma uprzedzenia i preferencje, ale nie opierają się one na wrogości. Myślę o lektorce „Książki do poduszki” – na mnie jej głos działa kojąco, dla kogoś może brzmieć niemiło. Jesteśmy różni. Może rytm mowy taty, ton jego głosu, składnia jego zdań oraz dziwny, ledwie słyszalny szelest węgierskiego koi go tak, jak mnie Irlandka w radiu? A może woli jego zapach? Tak czy owak, mnie to nie przeszkadza. Niech tata opowiada Jonahowi historię swojego życia, jeżeli ma mu być z tym lepiej. Zapytam go o nią – raczej prędzej niż później.

Książeczka czekowa

Moja adwokat, Georgia Stone, złożyła w trybunale wniosek o wyznaczenie terminu i – dzięki zwolnieniu się jednego terminu – zaklepała 28 lipca: za dwa miesiące od dziś. Mimochodem wspominam o tym tacie i potwierdzam obietnicę, że wstrzymam postępowanie.

– Jasne – odpowiada.

– Nazywasz mnie kłamcą?

– Jesteś nim, nawet jeśli o tym nie wiesz.

Znowu złapał mnie w pułapkę.

– Tato, to tylko...

– Prawda? Nieważne, Ben. Obiecałeś coś, czego nie mogłeś dotrzymać. Obaj o tym wiedzieliśmy. Co ma robić trup?

– Chciałem, żebyś zaczął się leczyć.

– Ale też konkretnej przyszłości dla swojego syna. Ben, obaj jesteśmy ojcami, a ojcowie zawsze, od zarania dziejów, są rozdarci między marzeniami swoich ojców dla nich a własnymi marzeniami dla swoich dzieci. Wiara, że da się wyważyć jedno i drugie na wyciągniętej ręce, jak bogini sprawiedliwości, to głupota. Może o tym zapomniałem, ale ty nie. Tak też powinno być, więc nie rozmawiajmy o tym więcej.

Mam ochotę go objąć, zamiast tego tylko ściskam jego przedramię.

Dwudziestego ósmego lipca Jonaha nie będzie już w Roysten Glen, a trzy dni później trybunał zacznie miesięczne wakacje. Zaczynam obdzwaniać „mających zasadniczą wagę” ekspertów z listy, którą dostałem od Valetty. Miała oczywiście rację – wszyscy są zajęci na kilka miesięcy z góry i zaczynam popadać w rozpacz. Próbuje błagać za pomocą maili, znowu dzwonię, ponownie mailuję, w końcu dzwonię do Valetty.

– Wszyscy są zaklepani, to beznadziejne.

– Proszę to zostawić mnie.

Następnego dnia telefon się urywa, nagle wszyscy rezygnują z poumawianych spotkań i cudem udaje się zsynchronizować konieczne obserwacje i wizyty.

Dzwonię do Valetty, aby podziękować.

– Proszę podziękować, gdy wygramy.

Następna faktura potwierdza, że każda rozmowa do każdego rzeczoznawcy z prośbą, a następnie z podziękowaniem kosztowała mnie pięćdziesiąt funtów.

Na rzecz kosztów postępowania przed trybunałem otworzyłem osobne konto i zebrane przeze mnie i Johnny’ego pieniądze są zabezpieczone, stałe zlecenie na pięćset funtów dla adwokatki zostało złożone. Obiecuję sobie, że powypełniam wszystkie odcinki w książeczce czekowej, dzięki czemu cały czas będę miał rękę na pulsie w kwestii finansów. Przysięgam sobie, że nie odpuszczę pozostałym dłużnikom Wypożyczalni Przyjęciowej Jewella.

Nawet kupuję pamiętnik.

Czerwiec

2011

26: Rokstein Gelen

Niedziela	Poniedziałek	Wtorek	Środa	Czwartek	Piątek	Sobota
29	30	31	1	2	3	4
5	6 Naświetlanie 10.00	7 Anne Birch RG Dom 16.00 12-15 £	8	9 Claudia Lack RG Dom 16.30 845 £	10	11
12	13 Naświetlanie 10.00	14 Recepty!	15	16	17	18
19	20 Naświetlanie 10.00	21 Jennifer Smart RG Dom 14.30 920 £	22	23 Valetta Price Postępy 12.00	24 Chemia 10.00	25
26	27 Naświetlanie 10.00	28 Chemia 10.00	29 Ben lek. rodz. 14.10	30	1	2
3	4	5	6	7	8	9

Lipiec

2011

Niedziela	Poniedziałek	Wtorek	Środa	Czwartek	Piątek	Sobota
26	27	28	29	30	1	2 Chemia 10.00
3	4 Naświetlanie 10.00	5	6 Chemia 10.00	7	8	9
10 Chemia 10.00	11 Naświetlanie 10.00	12 Recepty!	13	14 Chemia 10.00	15	16
17	18 Chemia 10.00	19	20	21	22 Chemia 10.00	23
24	25	26 Chemia 10.00	27	28 TRYBUNAŁ	29	30
31	1	2	3	4	5	6

Tata słabnie. Chemia – jego jedyna szansa na wydłużenie mu życia – prawie go pokonuje. Dom jest zasłany jego włosami. Jonah je skręca, tata ignoruje.

Gdy rzeczoznawcy przychodzą, wychodzi z pokoju, odmawia czytania ekspertyz. Może się rozpada, ale gdy podsuwam mu raport Anne Birch z zakresu psychologii

szkolnej, z wściekłością odpycha moją rękę.

– Nikt nie jest w stanie dostrzec w moim wnuku czegokolwiek, czego sam nie widzę – mówi i wraca do krzyżówki.

Z każdym tygodniem liczba ekspertyz rośnie – wraz z ilością mojej zaległej pracy, kosztami i poziomem stresu. Zmuszam się, żeby czytać je w sposób analityczny i robić szczerze notatki, jeżeli się z czymś nie zgadzam lub uważam, że daną myśl można sformułować dobitniej.

Wszędzie są powtórzenia za powtórzeniami, a po nich kolejne powtórzenia. Archiwizacja materiałów to koszmar. Każda sztuka korespondencji jest posortowana według daty i nadawcy. Każda zapłacona faktura ma datę płatności i parafkę, ile nam zostało po jej zapłaceniu, każdy pozostały w książeczce czekowej odcinek pokrywają informacje.

Gdy Jonah idzie spać, siadamy w salonie i opracowuję papiery. Prawie codziennie po południu zjawia się Mau-rice. Robi nam kawę i herbatę oraz rozpakowuje paczki z delikatesów z jedzeniem, które kroi na kawałki i rozgniata, aby tata mógł przełknąć. Ścieżką dźwiękową dla tej operacji jest zawsze Radio 4. Telewizor włączany jest tylko, gdy Jonah wraca ze szkoły.

Muszę czytać wszystkie ekspertyzy dotyczące mojego syna, a wali się w nich prosto z mostu i dobiera przymiotniki pod kątem wywoływania emocji. Trzy rzeczoznawczynie są generałami Jonaha, Valetta jego marszałkiem polowym. To najwyższe szarże naszej trybunałowej armii, a ich usługi nie są tanie.

Przylapuję się na tym, że przez sen wypisuję czeki: 850 £, 975 £, 650 £, 1050 £, 975 £, 1150 £, a natychmiast po przebudzeniu wbijam wzrok w ekran laptopa i obserwuję, jak maleje bilans.

To praca na cały etat. Gdybym nie zamknął interesu i nie sprawił, że Valentine wrócił na Barbados, nie byłbym w stanie robić czegokolwiek zawodowo, prowadząc sprawy związane z trybunałem. To najtrudniejsza praca w moim życiu, ale w żadnej jeszcze się tak bardzo nie starałem – ma znaczenie i czemuś służy. Przyszłości Jonaha Jewella i Bena Jewella – obecnie zatrudnionego na pełnym etacie jako zawodowy miłośnik syna i opiekun ojca.

Niestety lokalne władze postanawiają uderzyć.

Byk

Dodają do listy trzecią szkołę – The Sunrise Academy, też z internatem. Ma akredytację z zakresu autyzmu i – co dla władz ma ogromne znaczenie – jest dużo tańsza od Highgrove Manor. Zdaniem Valetty to poważne wyzwanie.

Mało cholery nie dostanę.

– Proszę sprawdzić, czy dobrze rozumiem: jeżeli uda im się przekonać trybunał do Maureen Mitchell, Jonah tam pójdzie, a jeśli nie, to skończy w tym... tym... bo ja wiem czym? Podróbce dobrego miejsca? Emma była tam rok temu i stwierdziła, że przechodziły ją dreszcze. Sprawdziałem ich stronę internetową – szkoła jest otoczona dwupasmowymi drogami. Nie wyobrażam tam sobie Jonaha.

– Musi pan tam pojechać, Ben – odpowiada Valetta. – To samo robi nasza psycholog szkolna, Anne. Oczywiście ich pomysł utrudnia całą sprawę, ale nie czyni jej z góry przegraną.

Valetta jest spokojna, ja nie. A jeśli mi się tam spodoba? Jeśli uznam, że trudno będzie znaleźć argumenty przeciwko temu miejscu?

– Mając dwa tygodnie?

– To strategia.

– Służąca tylko zaoszczędzeniu pieniędzy.

– Oczywiście, władze lokalne przyznają jednak w ten sposób, że z Maureen Mitchell przegrają. Musimy się więc skupić na The Sunrise Academy. Może jak pan ją zobaczy, zmieni zdanie?

– Bzdura.

– Będą próbować zawrzeć układ. To może być z korzyścią dla wszystkich.

„Czyli kogo?” – zadaję sobie pytanie, wyobrażając sobie dwadzieścia hektarów zieleni Highgrove zamieniających się w pseudowartościowe byle co Sunrise.

Jak dumni byliśmy z Emmą pierwszego dnia pobytu Jonaha w przedszkolu! Pamiętam, jak robiłem mu zdjęcia – miał na sobie granatowe spodnie dresowe, pieluchę, jaskrawopomarańczowe polo i pomarańczowe wysokie trampki, a głowę zdobiła mu strzecha ciemnoblonde włosów. Pierwszego dnia przyprowadziliśmy go oboje i obserwowaliśmy, jak wchodzi nonszalancko do środka, podczas gdy inne dzieci płakały i czepiały się rodziców. Johnny i Amanda mieszkali wtedy blisko i byliśmy podbudowani tym, że Tom mógł być z nim tego pierwszego dnia i – taką mieliśmy nadzieję – przez wszystkie szkolne lata.

Pamiętam, że patrzyłem przez okno, jak Tom bierze Jonaha za rękę – opiekuńczo, jak ktoś dużo starszy. Uśmiecham się na to wspomnienie. Mowa Toma była niezwykle płynna, a Jonah nie opanował jeszcze żadnego słowa, Tom jednak uważał, że będzie w stanie przetłumaczyć jego gardłowy słownik – który tylko on rozumiał – jeżeli dostatecznie mocno się skupi z uchem tuż przy ustach Jonaha, po czym złoży nam dokładne sprawozdanie z opowieści naszego syna-poety, syna-astronauty, syna-tajnego agenta.

Okazało się, że był to jedyny rok, który spędzili razem. Jonah powtarzał przedszkole₁, po czym przeszedł do Roysten Glen, a Tom zdał do zerówki i dalej. Jonah

stracił tłumacza i opiekuna, a czas się dla nas zatrzymał.

Teraz siedzę obok ojca Toma w jego bmw i przepychamy się North Circular Road w poszukiwaniu szkoły, która, jak się wydaje, jest w stanie pomóc Jonahowi lepiej niż najlepsi, do tego za znacznie mniejszą sumę. Mam wrażenie, że Jonah został przedmiotem przetargu, jak linia kolejowa.

Światła wreszcie zmieniają się na zielone i pełniemy przez most Kew.

– Południowy Londyn, prosimy przygotować paszporty – oznajmia Johnny.

– Dzięki za pomoc, Johnny. Sam bym sobie z tym nie poradził.

– Jak już tu jesteśmy... masz tu jakichś klientów, którzy wiszą ci pieniądze?

– Dajmy sobie może na dziś spokój z odzyskiwaniem długów. Jezu... nienawidzę tej części południowego Londynu. Same brukowane drogi, kolej i beton.

– Nigdy nie byłeś w Greenwich albo Dulwich Village?

– Nie spieraj się ze mną, muszę sobie ulżyć.

– Dobry pomysł.

Jedziemy w milczeniu, słuchając wskazówek nawigacji. Siedemdziesiąt siedem kilometrów, czterdzieści osiem minut.

– Dokąd najpierw? Szkoła czy internat? – pyta Johnny.

Szkoła i internat są oddzielone od siebie o prawie dziesięć kilometrów. Biorąc pod uwagę problemy komunikacyjne Jonaha, to mocny punkt w mojej argumentacji. W tym zakresie Highgrove Manor jest super: wiejski kampus, który zminimalizuje konieczność przemieszczania się.

– Szkoła. I taka prośba: nawet jeśli coś ci się spodoba, nie mów tego – odpowiadam.

– Jak sobie życzysz.

Johnny skręca w lewo i zatrzymuje się na parkingu przed metalową bramą The Sunrise Academy. Ciekawe – od pierwszego rzutu okiem obiekt mi się nie podoba. Parterowa zbieranina sześcianów i zadaszonych korytarzy. Bez dłuższego sprawdzania zostajemy wpuszczeni za bramę i do budynku, po czym stoimy. Nikomu się nie spieszy, by wyjść nam naprzeciw. W końcu pojawia się szczupła blondynka w dresie i sportowych butach.

– Mogę w czymś pomóc?

– Ben Jewell, umawiałem się na obejrzenie szkoły.

– Ach tak... Trybunał. Julia Makarova, główna psycholog. Proszę za mną, oprowadzę panów.

Ruszamy. Dla mnie to nie pierwszyzna i wiem, że nasza psycholog szkolna sprawdzi wszystko ze szczegółami i znajdzie każdą słabą stronę, jestem więc trochę znudzony i lekko zadziorny, no i wiem, na co zwracać uwagę.

Rozlega się głośny dźwięk dzwonu.

– Co to?

– Rodzaj dzwonka na koniec lekcji.

Korytarz, którym kilka chwil wcześniej szliśmy spacerkiem, jest teraz pełen uczniów – autystycznych uczniów – rozpaczliwie unikających kontaktu fizycznego z kimkolwiek i próbujących dotrzeć do kolejnej klasy. Część ma opiekunów, część nie. Wrażenie jest jak w centrum Rzymu w południe. Johnny rozgląda się jak przestraszona

surykatka. Żeby zadać kolejne pytanie, muszę przekrzyczeć hałas.

- Dlaczego dzieci nie zostają przez cały dzień w tej samej klasie?
- Przechodzą program nauczania gimnazjum, tak go kształtujemy.
- I mają do każdego przedmiotu innego nauczyciela?
- Oczywiście.

Z każdą minutą – im więcej negatywów się zbiera – czuję rosnącą pewność siebie. Od czasu do czasu patrzę na Johnny'ego, który – w końcu dobrze zna Jonaha – zdaje się podzielać mój sceptycyzm. Niczym detektyw z taniego kryminału zadaję naprowadzające pytania, uzyskując odpowiedzi, które zamierzam wykorzystać w naszej sprawie.

- Jak nauczyciele radzą sobie z przemieszczaniem się uczniów?
 - Zostają w klasie i czekają, aż dzieci się zjawią.
- Odpuszczam sobie bardziej szczegółowe pytania.
- Chce pan zobaczyć klasę?
 - Tak, poproszę.

Wchodzimy do klasy, przed którą nie kłębi się tłum dzieciaków. W środku są stoły.

- Stoły?
- Jak pan widzi.
- Indywidualne stanowiska pracy?
- Jak pan widzi, nie ma.

– Możemy gdzieś porozmawiać? – Dość się już napatrzyłem. Nawet przy zachowaniu maksymalnego obiektywizmu widać, że to miejsce się nie nadaje. Wymaga poziomu uwagi i zrozumienia, jakim Jonah nie dysponuje.

- Zapraszam do mojego gabinetu, mam jeszcze dziesięć minut.
- Wystarczy mi jedna.

Gdy pani Makarova zamyka za nami drzwi, robi się cicho.

- Ile to kosztuje?

Siada za biurkiem, zaczyna ruszać myszką i stukać na klawiaturze, po czym nie podnosząc wzroku, oświadcza:

- Osiemdziesiąt sześć tysięcy czterysta funtów za rok szkolny.
- Ja pierdolę!
- Johnny!
- Przepraszam.

– Dziękuję, wiemy już wszystko. Może nas pani odprowadzić do wyjścia?

Nawet w samochodzie Johnny nie jest w stanie wyjść z osłupienia.

– Osiemdziesiąt sześć kawałków? Masz nadzieję nakłonić radę, żeby płaciła rocznie osiemdziesiąt sześć kawałków za szkołę Jonaha?

– Nie, chcę ich nakłonić do tego, aby płaciła mu za szkołę prawie dwieście kawałków rocznie.

- Ale to ponad dwukrotnie więcej.
- W tym problem.
- Do głowy by mi nie przyszło...

– Nikt nie zdaje sobie z tego sprawy. – Ile jest warty Jonah? Trzydzieści tysięcy? Osiemdziesiąt sześć tysięcy? Dwieście tysięcy? To tylko liczby, ale dla tych, którzy

decydują o jego losie, Jonah jest tylko liczbą.

Mam nadzieję, że internat okaże się tak samo fatalny, ale potężny i rozłożysty wiktoriański budynek przy zadrzewionej przedmiejskiej ulicy sprawia wrażenie cichego i wygodnego. Jechaliśmy tu jednak ze szkoły – w środku dnia, głównymi drogami – ile więc zajmie to godzinach szczytu? Czterdzieści minut? Pięćdziesiąt? Godzinę? Robię notatkę z tyłu w pamiętniku.

Pani w wieku może pięćdziesięciu pięciu lat wita nas z uśmiechem i od razu zaczyna opowiadać o plusach domu. Schody są jednak wąskie i strome, pełne podestów na półpiętrach i zakrętów – to dla Jonaha koszmar – i kiedy słyszę, że przyjmują uczniów tylko w dni powszednie, kończę wizytę.

Powrót to piekielne półtorej godziny.

Po ucałowaniu Jonaha na dobranoc wracam do salonu. Tata śpi w fotelu. Maurice siedzi na kanapie i obserwuje śpiącego tatę. Radio jest ściszone, słychać jednak, że grają The Archers. Biorę z lodówki piwo. Czuję się brudny po całym dniu, mam sucho w gardle, a w głowie mętlik.

Po tym, co dziś widziałem i słyszałem, mając wybór, wolałbym oczywiście, aby Jonah został uczniem Maureen Mitchell niż Sunrise, nie wiem jednak, czy taki wybór dostanę. Cała podstawowa praca została wykonana. Jeszcze kilka ekspertyz musi spłynąć i przed trybunałem trzeba je będzie przeczytać, ponownie przeczytać i przeredagować, a zostały już tylko dwa tygodnie. W jakiś sposób udało nam się dotrzeć do obecnego punktu. Niedługo trzeba będzie wspiąć się na pokład transportera i ruszyć w kierunku brzegu, by dokonać desantu.

1 W Polsce nie powiedzielibyśmy „powtarzać przedszkole”, ale ponieważ w systemie brytyjskim przedszkole ma silniejszy niż w Polsce aspekt „szkolny”, określenie „powtarzać”, tak jak „powtarzać klasę z braku wyników w nauce”, wydaje się zasadne.

Uran

THE SUNRISE ACADEMY

Szkoła z akredytacją w zakresie autyzmu

Pan B. Jewell
14 Oakfield Ave.
Londyn N24

25 lipca 2011 r.

Szanowny Panie Jewell,

na podstawie dostępnych obecnie materiałów dowodowych Jonah otrzyma propozycję pobytu z internatem od początku września 2011 roku, w ramach standardowego pakietu, poddanego recenzji w trakcie oceny z pierwszego półrocza.

Z poważaniem

Chyba śnisz, dziwko!

Julia Makarova
Główna psycholog
120 Hopewell Lane
Hopewell
Londyn, SE32 9DX

Wieczór przed bitwą. Siedzę przy stole i wpatruję się w prawie półmetrową stertę kartek formatu A4, teczek na akta, notesów, prospektów i wydruków e-maili – słów o wartości dwudziestu czterech tysięcy funtów, które jutro o tej samej porze mogą nie mieć jakiegokolwiek znaczenia. Nieautoryzowana biografia Jonaha, składająca się z Bóg wie ilu liter – ale na pewno więcej niż ma Biblia. A wszystko to dla nie tak małego chłopca, który ma w dupie, kto cokolwiek sobie myśli.

Za całe pieniądze – wartość domu szeregowego w Sunderlandzie – kupiłem tylko jeden epizod prawny władz lokalnych. Niezależnie od wyroku nie mogę żądać jakiegokolwiek zwrotu i bez względu na to, jak naciągane są argumenty rady – a w porównaniu z naszymi są słabiutkie – nie dostanę grosza z powrotem. Teraz jednak, dokładnie jak Jonah, pieprzę to.

Fantazjowałem już o okupacji biur rady, gdyby miało nastąpić najgorsze. Prawda jest taka, że nie stać mnie na apelację, więc to złoty strzał Jonaha, ostatni pocisk w bębenku, oczko albo fura.

W sumie to wielki przekręt, łatwy szmal. Masa ludzi nabija sobie kabzę kosztem mojego syna – wiem to od miesiący – ale godzę się bez protestu. W tej chwili mógłbym chyba występować jako niezależny ekspert od rozpieprzania małżeństw i interesów, nie widać jednak chętnych do zatrudnienia mnie jako doradcy w tym zakresie za tysiąc funtów dziennie.

Gdy po raz ostatni zabieram się za przeglądanie ekspertyz, dociera do mnie najbardziej bolesny fakt: władze lokalne nie dostrzegają, że najlepszym rozwiązaniem byłoby prawidłowe leczenie tak wymagającego dziecka, wszystkich wymagających dzieci, albo – co gorsza – dostrzegają to, ale siedzącemu w zapyziałym biurze dupkowi od liczenia udaje się je przekonać, iż bardziej opłaca się tego nie robić. W całym postępowaniu najbardziej wkurza mnie to, że muszę być egoistą. Nie myśleć o kolegach Jonaha z klasy w Roysten Glen, gdzie niektórzy – o ile nie wszyscy – tak samo jak on potrzebują pomocy. Trudno przyznać, że mam ich głęboko w dupie. Niektórzy istnieli w tej samej przestrzeni i w tym samym czasie co mój syn, przez sześć lat. Pomijając przypadki absurdalnych napaści fizycznych, ignorowali go tak samo jak on ich. Nie znam żadnego z nich, nie umiałbym wymienić ich imion ani imion ich rodziców i wszyscy trafią do Maureen Mitchell na kolejne siedem lat, aż problem znajdzie się w gestii służb dla dorosłych.

Cokolwiek ludzie sądzą, rozprawa Jonaha przed trybunałem i jego ewentualne zwycięstwo są tylko dla osób zdolnych do wojny totalnej, osób w pełni znających i akceptujących stan swoich dzieci, do tego cechujących się odpowiednią dozą cynizmu, by dostrzec prawdziwą strategię strony urzędowej: dziel i rządź. Jakiego wroga łatwiej pokonać i jaką społeczność zapędzić do zagrody i spacyfikować niż tych, którym brakuje podstawowych umiejętności interakcji? Autystyczne dzieci nie mają polowych radiostacji – nie mają nawet anten.

Siedzę przy stole, ze szklanką whisky przy dłoni, i przeglądam akta. Te strony jasno opisują zachowanie mojego syna, z dopuszczalną przesadą ze względu na działania dezinformacyjne przeciwnika. Jutro usłyszę, jaki będzie się toczył w tej sprawie spór.

Będę siedział, ściskając boki krzesła, i słuchał uzasadnień niekompetencji, opisów mojego żywego, oddychającego, ukochanego syna z perspektywy „skal”, „wieku kognitywnego” oraz „stopnia inkontynencji”. Będę musiał wysłuchać prawdy i głęboko ukryć chęć skoczenia i trzaśnięcia adwokata strony przeciwnej w pysk.

Czuję, jak narasta we mnie napięcie, wyobrażam sobie ostatni posiłek z Jonahem, samotne życie, przez co ogarniają mnie wielkie zmęczenie i strach. Większość tego roku spędziłem na rozwalaniu ścian trzymających mojego syna w domu, blisko mnie, choć w głębi serca wolałbym budować wieżyczki strażnicze i rozciągać drut kolczasty. O co w tym wszystkim chodzi? Na horyzoncie mojego życia nie widać nic poza samotnością. Czuję wielką gorycz. Gdybym wierzył w Boga, codziennie bym go przeklinał.

Właściwie rzadko myślę o matce, czasem jednak – tak jak teraz – zapala mi się w głowie, niczym neon, któryś z jej idiotycznych banałów. ROZWÓJ PRZEZ BÓL. Dzięki, Myro, i odpierdol się.

Poszła sobie, zostawiając mnie, nas, więc chciałem być takim rodzicem, jakiego nigdy nie miałem. Jedynym sposobem, aby teraz nim być, jest pozwolić mojemu synowi odejść. Ze wszystkich popieprzonych ironii akurat ta... Wydaje się to takie wiktoriańskie, nieoświecone i karzące, tak bardzo osobiste. Są momenty, w których czuję się tak niepotrzebny, że szybki morfinowy odlot, a zaraz potem szybka śmierć wydają się logiczne i odpowiednie. Rozwój przez ból? Jasne.

Plask! Tata uderza notesem o stół, tuż obok mnie, i ostrożnie opada na fotel.

Dlaczego płaczesz?

Rak na tyle zniszczył mu struny głosowe, że przeszedł na porozumiewanie się za pomocą notesu. Rozmowa jest męcząca i irytująca – jeszcze bardziej niż zazwyczaj.

– Czytałeś to? Trudno postrzegać Jonaha wyłącznie w czarno-białych kolorach, tak jak tutaj.

Po co więc to czytać? Nie widzę sensu. Kogo oplakujesz? Czym są, twoim zdaniem, te słowa? Niczym. Posłuchaj mnie uważnie: tylko ten jeden raz. Siedź cicho i bez tej nieszczęsnej miny, i posłuchaj.

Unosi dłoń, dając znak, bym się nie ruszał, i pisze przez minutę.

Słowa to tylko kształty, zawijas za zawijasem. Wydaje ci się, że ludzie są na tyle mądrzy, aby używać ich tak lub inaczej; zszywać je ze sobą i strzelać nimi jak pociskami i obserwować, jak ranią albo pieszczą, krzywdzą albo wywołują niesmak?

Znowu dłoń do góry. Co za tortura.

Kolejne skrobanie po papierze i znowu rzuca mi notes.

Uwierz mi: słyszałem dość słów, by wystarczyło na całe życie – po węgiersku, po niemiecku, po francusku, holendersku, angielsku i w jidysz. Mam dość. Czy zrozumiałem wszystkie z nich? Nie. Powiem ci dlaczego: ponieważ jestem głuchy na wszystko, czego nie chcę słyszeć, a większość z tego, co słyszałem przez siedemdziesiąt osiem lat, pochodziło z ust takich idiotów jak ja sam, używających słów, by powiedzieć innym idiotom, czego chcą, używając słów, które znaczyły coś przeciwnego do tego, co naprawdę znaczą. Nadążasz?

Kręcę głową i tata zabiera notes. Pisze wolniej. Zmęczył się.

Ciągle nic? Bo też jesteś idiotą. Ile słów mają Eskimosi albo Inuici, czy jak tam ich

zwą, na określenie, że w tym tygodniu będzie padał śnieg? Chyba trzydzieści dwa. Idioci! Przeprowadźcie się w cieplejsze miejsce i sprawa będzie załatwiona. Japończycy i Chińczycy marnują czas na rysowanie rysuneków – ach nie! – nie rysuneków, piktogramów, bo jedno słowo to za mało. Maurice zna pięć języków, a jest największym głupcem, jakiego znam. Spędził całe życie na szyciu szmacianych sukienek dla tłustych bab, które uważają się za „puszyste” albo „obfite”.

Odsuwa wściekle swoją dłoń i pisze dalej.

A ten Kamień z Rosetty – powinni go byli rozwalić, co zaoszczędziłoby nam masę problemów ze zrozumieniem, co starożytni idioci nie mieli na myśli. Starożytni Grecy, Egipcjanie i Sumeryjczycy śmieją się z nas. I nie zaczynaj mi o Biblii.

Ty i twoje słowa, Ben. Co się dziś z tobą dzieje? Jesteś zdruzgotany? Pograżony w smutku? Masz złamane serce? Jesteś rozbity? W melancholijnym nastroju? Zrozpaczony? Jakie to ma znaczenie? Po co nam wszystkie te słowa – zwłaszcza tobie – jeśli można cię całkowicie określić jednym pojęciem: samo-użalanie się. O – dałem ci nawet darmo łącznik.

Nie chodzi o słowa. Słowa są niczym. Liczą się działania. Nie patrzysz jednak oczami, lecz jak każdy głupiec – uszami. Słyszałeś od Emmy o miłości, o oddaniu, słyszałeś własne słowa, że kochasz Emmę, ale co widziałeś? Co zrobiłeś?

– Nie wiesz nic o moim małżeństwie.

Znowu pisze.

Tak sądzisz? Na jakiej podstawie? Bo się nie wtrącałem?

– Bo cię to nie interesowało.

Znowu pisze.

Bo nie miałoby to znaczenia.

– Nigdy jej nie lubiłeś.

Nieprawda.

– Więc co? Było ci jej żal, że za mnie wyszła?

Pisze.

Nie, lubię Emmę, za to ty – obserwowałem cię przez trzydzieści siedem lat i nigdy niczego nie dokończyłeś ani nie przyjąłeś za nic odpowiedzialności. Nawet jako dziecko nie umiałeś sobie porządnie podetrzeć tyłka. Jak narobiłeś w pieluchę, twierdziłeś, że to nie ty. Nigdy żadnych puzzli, gier, modeli, prac domowych. Nie byłeś z tych, co kończą.

– Przykro mi, że jestem tak rozczarowujący.

Znowu użalanie się nad sobą. Nie jesteś rozczarowaniem, lecz nieustannym przypomnieniem.

– Czego?

Kompletnego bezsensu oczekiwania czegokolwiek.

– Czyli nie miałaś wobec mnie oczekiwań?

Żadnych. Jak mogłem więc być rozczarowany? Nie znaczy to jednak, że cię nie kocham.

– W takim razie czegoś nie rozumiem. Dlaczego jesteś tak bardzo przeciwny odejściu Jonaha?

Tata robi przerwę i przygląda mi się z uniesionym w powietrzu piórem. Ma mocno

przekrwione oczy.

Popatrz jeszcze raz na stertę papierów przed sobą. Powiedz mi, co dla ciebie reprezentują?

– Jonaha, przecież o tym wiesz.

Nic poza tym?

– Pieprz się, tato, z tymi twoimi zagadkami. Co więc jeszcze reprezentują? Pół lasu deszczowego?

CIEBIE, Benjaminie, i twoją miłość do syna. Wszystkie te papiery. Twoją determinację, upór. Nigdy nie chodziło o przekonanie mnie, chodziło o to, abyś przekonał sam siebie, że możesz o czymś decydować i dokończyć bez względu na to, co się będzie działo.

Pomyliłem się, że nigdy niczego nie dokończysz – dokończyłeś to i jestem z ciebie dumny. Teraz musisz kazać tym wielkim adwokatom wygrać, żebym mógł odejść, mając przed oczami mojego JJ-a, biegającego ze śmiechem po tej wspaniałej szkole.

Nie umiem nazywać wszystkich emocji, ale płaczę z ulgi i żalu. Ulgi, że wreszcie mogłem dostrzec w nim ojca, a żalu, że nastąpiło to tak późno i za taką cenę. W dalszym ciągu wściekle pisze i żeby cokolwiek przeczytać, muszę wytrzeć oczy rękawem. Przy moim łokciu leżą notes i luźna kartka.

W notesie jest tylko jedno słowo:

Weź.

Kremowa kartka jest przeznaczona dla pana Bena Jewella – to czek na czterdzieści tysięcy funtów. Ulga? Tak, ale równocześnie wstyd, że nie byłem w stanie sam wypisać takiego czeku. Ważniejsza od pieniędzy jest jednak jego zgoda. Sankcjonuje wszystko, co zrobiłem. Teraz, gdy on jest po mojej stronie, nie mogę być w błędzie.

– Dziękuję. – Wstaję i siadam przy nim na kanapie. Wpatrujemy się w wyłączony telewizor, pochylam się ku niemu i ściskam jego dłoń. W nowej epoce głośności ryzykuję jeszcze jedno pytanie.

– Tato, dlaczego opowiadasz Jonahowi historię swojego życia, choć zawsze odmawiałeś ujawnienia mi choć rąbka tajemnicy?

Tata wstaje, człapie do komody i wraca z dwoma szklaneczkami brandy – jego z dużą ilością wody. Siada i bierze notes.

Nie musiałeś o tym wiedzieć. Chroniłem cię najlepiej, jak umiałem, przed moimi katuszami.

– Ale nie dałeś mi wyboru.

Zastanawia się i pisze.

Bądź cierpliwy.

Informacja jest oczywista: na dziś koniec.

– Chodź, tato. Jest pierwsza, powinniśmy iść spać. Jak się czujesz?

Pisze.

Zmęczony i wszystko mnie boli.

Nagle z głębi jego trzewi dobywa się niemal niesłyszalny jęk. Gdy się odzywa, widać na jego twarzy wysiłek.

– *Nu?* Obudziliśmy cię, Jonahu? Chodź i usiądź z nami.

Jonah czeka z nadzieją w drzwiach. Siadamy więc – trzy pokolenia Jewellów – przy masywnym, ciemnym, paskudnym, dębowym stole i odprawiamy seans milczenia. Tata i ja sięgamy równocześnie po dłonie Jonaha, nie domykamy jednak koła, chwytając się za nasze – jakby mogło to wyzwolić zbyt potężną siłę, na przykład miłość. Nie mogę się oprzeć, by jeszcze raz go nie przycisnąć.

– Jest ostatnim Jewellem, tato, i koniec linii. Więcej nie będzie. Smutne.

Wraca do notesu i pisze wolną ręką. Stracił głos.

Phy! Zmieniłem z Friedmann w 1945, ale wiesz to z podsłuchiwania nas, więc jakie ma to znaczenie?

– Chyba powinienem być ci wdzięczny nawet za ten kasek. – Mam mnóstwo pytań, ale jestem zmęczony, zdenerwowany i spanikowany. Chyba zachowam je sobie po rozprawie. Potrzebuję godziny samotności, żeby się przygotować i przemyśleć, co powiedzieć jutro, i uspokoić się przed snem.

Jonah uwalnia dłonie, bierze kryształowy przycisk do papieru i zaczyna wyczarowywać z niego kolory, podczas gdy ja zbieram się na odwagę, aby przyjrzeć się groteskowej szyi ojca, ignorując jak tchórz żółty, ropny kolor.

– Przebiorę go – ziewam – ale najpierw zaprowadzę cię do łóżka.

Tata sprawia wrażenie, jakby wraz z głosem opuściła go energia.

Potrzebuję czegoś na sen. W szufladzie szafki przy łóżku.

– Lorazepam? – pytam, przerzucając opakowania.

Tak, dwie tabletki.

– Na receptce jest: „jedna”.

Daj mi dwie! To ty umierasz na raka?

Daję mu dwie – każdą tabletkę kroję na kawałki, żeby mogły się przepchnąć przez skurczony do średnicy włósniczki przełyk – i szklanek wody. Połknięcie zajmuje mu mimo to kwadrans. Bez długopisu i notesu, beze mnie, jest bezradny. Bez mojej pomocy nie mógłby jeść, nie dotarłby do łazienki i nie mógłby w miarę wygodnie spać. Biorę do łóżka jego notes i ponownie czytam to, co napisał, po czym otwieram nową stronę i zaczynam – ponownie – zapisywać wniosek, jaki złożę na jutrzejszym posiedzeniu trybunału. Miałem na to wiele tygodni. Wiele razy zaczynałem go pisać, przerywałem i znowu zaczynałem. Mówić będzie Emma i muszę znaleźć takie słowa, aby sąd je zrozumiał, ująć wszystko tak, jak by powiedział Jonah. Co by powiedział?

Łoskot rozlega się o godzinie 3.17 nad ranem.

– Nie teraz, tato, nie teraz. Rano mam rozprawę...

Leży na podłodze, z nienaturalnie powykrzywianymi nogami. Ślina kapie mu z ust i coś bełkocze.

– Chcesz iść do toalety? O to chodzi? Próbowaleś iść do toalety?

Rak sprawił, że gardło taty jest zaciśnięte jak ucho igielne i bez regularnych dawek oramorphu, który rozluźnia mu gardło, nie byłby w stanie niczego przełknąć. Niemożność jedzenia i chemia wyniszczyły go. Z tyłu głowy smętnie zwisają mu resztki siwych włosów. Waży tyle co nic, więc bez większego trudu układam jego ciało do pozycji płodowej, potem siedzącej. Spodnie pizamy zsuwają się z niego, jego nagość mnie zatrważa. Gdy ustawiam go w pionie i unoszę niczym dziecko, sika na mnie. Mocz piecze

i śmierdzi gumą.

Niosę go do toalety i sadzam na sedesie. Jego głowa przetacza się na lewo, klękam więc z prawej strony, by go ustabilizować.

– To efekt lorazepamu? Dałem ci za dużo?

Ma problemy ze snem, bo trudno mu się oddycha. Przez kilka ostatnich nocy miałem wrażenie, że próbuję zasnąć w warsztacie stolarskim.

Nie ma siły, by napinać mięśnie, ale chemia, którą przyjmuje, i komórki rakowe, które w znacznym stopniu zastąpiły krew w jego żyłach, robią swoje. Leci mu z tyłka jak z kranu.

W drzwiach pojawia się Jonah – wyczuwam go po zapachu.

– Wracaj do łóżka – mówię, ale Jonah się nie rusza. W zasadzie powinienem się cieszyć, że dyskomfort wynikający z pełnej pieluchy obudził go i na jakimś poziomie uświadomił mu, że potrzebuje nowej. – Jonah, wracaj do łóżka, zaraz u ciebie będę, obiecuję. Jonah... proszę...

Moje błagania kończą się łzami. Tata krzywo się uśmiecha, nie ma w tym jednak złośliwości, jedynie zaczerwienione, wykrzywione usta imbecyla.

– Nie będę ci wycierał tyłka, tato. Nie każ mi jeszcze wycierać swojego, proszę, nie każ mi tego robić.

Sięgam jednak po rolkę papieru i odwracając głowę, wcis-kam mu ją między nogi, po czym pcham i ciągnę kilkanaście razy, a na koniec wrzucam do wanny. Chwytam ramiona taty, owijam je sobie wokół szyi i podtrzymując go w pasie, stawiam go do pionu.

Prześcieradło na jego łóżku jest mokre, nie ma jednak nowych, na płamę kładę więc duży ręcznik, układam tatę na plecach i przykrywam kołdrą. Odwracam się do syna.

– Twoja kolej, Jonah.

Siedzę na podłodze w korytarzu, podczas gdy noc postępuje drobnymi kroczkami. Korzystam z towarzystwa Radio 4 i szacuję mijający czas rozlegającym się co godzina dzwonieniem Big Bena.

Tata jest zawieszony między snem a śmiercią, ale jeszcze niepochwyciony przez żadną ze stron. Gdy mija piąta, próbuję zadzwonić do Emmy, ale jak zwykle odpowiada sekretarka, czuwam więc przy łóżku taty z dłonią na jego zapadniętej piersi i próbuję skoordynować swój oddech z jego oddechem, w daremnej próbie stworzenia między nami związku, jakiegokolwiek. Jonah na szczęście jest u siebie – słyszę, jak chichocze w łóżku. Wreszcie nadchodzi świt.

Mój ojciec umrze.

Nie będzie lotu w ostatniej chwili do nowojorskiej kliniki.

Żadnej cudownej, niewyjaśnionej remisji.

Jedynie paskudny, pozbawiony godności koniec.

Mimo cierpienia zachowa filozoficzną postawę.

A ja nienawidzę siebie, ponieważ cierpię.

Tym bardziej że mam do niego żal.

Ponieważ sprawił, że go potrzebuję, i spierdolił w chwili, gdy powinien mnie pilnować.

O szóstej rano dzwonię do służb socjalnych.

– Mój ojciec umiera, to może być sprawa godzin. Potrzebuję kogoś, kto zaczeka tu z Jonahem na autobus szkolny, żebym mógł pojechać z ojcem do hospicjum.

– Ktoś się zjawi najszybciej, jak to będzie możliwe, panie Jewell.

Dziewczyna zjawia się wpół do siódmej, w chwili, gdy pielęgniarze wnoszą nieprzytomnego ojca do ambulansu. Wsiadam do środka. Gdy ruszamy do hospicjum w Hampstead, przez przyciemnioną tylną szybę widzę, jak Jonah wraca do domu.

Kolejka górską

Trafił na salę, a ja już nie mam czasu, by czekać dłużej. Z kroplówką z morfiny w cienkim jak gałązka lewym przedramieniu leży nieruchomo, pielęgniarka delikatnie go obmywa. Mówię mu, że zobaczymy się później, choć nie mam pewności, że tak będzie. Gdy wychodzę, zjawia się Maurice i nieporadnie się obejmujemy.

– Powodzenia – mówi ze łzami w oczach.

Gdy idę do metra, dzwoni mi komórka. Numer wydaje się znajomy, ale nie mam pewności, kto to.

– Halo? Ben?

– Maria? Gdzie jesteś?

– Na Heathrow. Chciałam wam tylko życzyć szczęścia. Przepraszam, że nie mogę przyjść i świętować razem z Jonahem.

– Chciałbym być tak pewny jak ty. W każdym razie przestań o tym myśleć i skup się na własnych przygodach.

– Obawiam się, że nie ma takiej możliwości. Pamiętasz naszą umowę?

– O pocztówce? Oczywiście.

– Więc zmieniam warunki.

– Nie wiem, czy to możliwe z prawnego punktu widzenia.

– Zastrzegłam to sobie, sprawdź, co zostało napisane drobnym drukiem.

– No dobrze, jak brzmią nowe warunki?

– Musisz pisać mi na bieżąco maile.

– Zgadzam się.

– To dobrze. A tak poza tym, jak tata?

– Trzyma się. Uważaj na siebie, Mario.

– Chodzi ci o węże czy o Latynosów? – pyta Maria z chichotem.

– O jedno i drugie.

– Muszę iść, właśnie wywołują mój lot. – Kolejny chichot. – I nie zapomnij pisać!

– Nie zapomnę.

Ile papierosów zdążę wypalić przed wejściem do tego nijakiego budynku? Pety zaściewają mokry chodnik pod moimi stopami w takiej ilości, że lada chwila będę mógł położyć się w tej samej sali co ojciec.

Od miesiący nie wkładałem garnituru. Jestem rozczochrany, nieogolony, moje ubranie jest poplamione i wygniecione.

Poczekalnia przypomina katalog tanich mebli biurowych. Wygląda na to, że jestem pierwszy z naszego „oddziału specjalnego”, wszystkie niebieskie fotele są puste. Nie tak to sobie wyobrażałem – nie widać dębowej boazerii ani ludzi w perukach. Jest funkcjonalnie i cicho, skromnie. Mój nastrój i niepokój nie chcą się jednak dostosować do spokojnego wnętrza. Powinienem był łyknąć lorazepam taty. Wracam na zewnątrz.

Emma podchodzi mnie jak kieszonkowiec.

– Dziś nie chodzi o nas, ale o Jonaha, zgoda? – Z determinacją wydyma usta. Gdy idzie do budynku, zapalam kolejnego papierosa. Wiedziałem oczywiście, że tu będzie, ale przez jej obecność czuję się zepchnięty na margines. Mam do niej żal, że przybyła niczym

Sir Galahad, by wszystko uratować. Z wewnętrznej kieszeni wyjmuję zdjęcie i patrzę w oczy Jonaha, jego odległe spojrzenie. To dla niego – wszystko inne nastąpi potem.

Następna zjawia się Valetta, ciągnąc za sobą walizkę na kółkach. W ciągu dziesięciu minut nasza szóstka siedzi zbита w ciasną kupkę w sali konferencyjnej wielkości budki telefonicznej. Zaczynam się pocić i uświadamiam sobie, że gdybym w godzinach szczytu stanął przed stacją Holborn z kapeluszem – zwłaszcza po nocnych wypadkach – wpadłoby mi parę monet.

– Pierwszą dobrą wiadomością jest sędzina – oznajmia Valetta. – Generalnie jest osobą empatyczną. Miałyśmy już ze sobą do czynienia i wiem, że nie ma dobrego zdania o niedostatecznym przygotowaniu się.

– Jeszcze jakieś dobre wieści? – pytam.

– Sprawozdawca władz lokalnych, De Vries. Pochodzi z Afryki Południowej i łatwo go rozzłościć. – Valetta pochyla się do mnie i wbija we mnie wzrok. Gdybyśmy byli przed meczem rugby, wyglądałaby jak reprezentantka Nowej Zelandii, wykonująca przedmeczowy taniec haka. Po chwili wraca do zwykłej pozycji i kontynuuje: – Ben, Emma, posłuchajcie uważnie: usłyszycie dziś od strony przeciwnej rzeczy, które was zdenerwują, które uznacie za nieprawdę i które będą ewidentnym kłamstwem. Cokolwiek się stanie, powtarzam: cokolwiek, nie reagujcie. Nie krzywcie się, nie gestykulujcie, nie wstawajcie, nie przerywajcie i nie wtrącajcie się. To moja robota. Jasne?

Kiwam głową.

– Mamy dobrą pozycję wyjściową. Nie lubię przegrywać.

– Będziemy mieli okazję coś powiedzieć? – pytam.

– Tak, na koniec sędzina poprosi was o opowiedzenie o Jonahu.

Patrzę na Emmę – ma spuszczoną głowę. Ciekawe, co powie. Odruchowo sięgam po kartki w wewnętrznej kieszeni zawierające słowa, które wypacałem z siebie przez wiele nocy. Nie podoba mi się to, co napisałem – na jakiej podstawie wolno mi twierdzić, że aż tyle wiem? Jakie mam prawo mówić coś podobnego? Gdyby Jonah mógł sam...

Rozlega się pukanie do drzwi.

– Uwaga, dwie minuty! – mówi Valetta. – Wszyscy mają przygotowane papiery? No to ruszamy. – Nagle Valetta zatrzymuje się. – Ben, jak ojciec?

Nie wiem, co powiedzieć. Bez słowa wkraczam w nieznaną przyszłość.



TRYBUNAŁ PIERWSZEJ INSTANCJI
DO SPRAW SPECJALNYCH POTRZEB SZKOLNYCH
I NIEPEŁNOSPRAWNOŚCI

Sprawa między

(1) **BENJAMIN JEWELL**

(2) **EMMA JEWELL**

Apelujący

a

Radą Wynchgate

Pozwany

Obecni

Pani Valetta Price, adwokat, reprezentująca panią Jewell i pana Jewella, obecnych w trakcie rozprawy. Ich świadkami są pani Anne Birch, niezależny psycholog szkolny, pani Claudia Lack, niezależna logoterapeutka, pani Jennifer Smart, niezależna terapeutka zajęciowa, i pan Hugh Challoner, dyrektor szkoły Highgrove Manor, w roli obserwatora.

Pan Francis De Vries, adwokat, reprezentujący władze lokalne. Ich świadkami są doktor Anita Kaur, psycholog szkolny rady, pan Donald Davies, zastępca dyrektora służb socjalnych, i pani Claire McDonald, specjalistka logopedii drugiego stopnia Narodowej Służby Zdrowia.

Siedzę za głównymi graczami z głową opartą o ścianę. Próbuję nie zasnąć, ale zmęczenie mocno daje mi się we znaki – po części z powodu nocnej traumy, a po części z powodu traumy, która dopiero nastąpi.

Sędzina: Dzień dobry państwu. Jak z pewnością wszyscy zdają sobie sprawę, nie zebraliśmy się tutaj tylko po to, aby zapoznać się z dowodami zebranymi przez strony, ale także po to, aby zdecydować o przyszłości młodego człowieka, który nazywa się Jonah Jewell.

Chcę także zauważyć, że pan Georg Jewell, dziadek Jonaha, znajduje się obecnie w hospicjum w Hampstead, w końcowym stadium raka. Wyraży współczucia, panie Jewell.

Tyle miesięcy pracy, a ja przegrywam walkę ze snem. Broda raz za razem opada mi na pierś. Zmęczenie po wypadkach nocnych to jedno, ale coś jeszcze odciąga moją uwagę od postępowania.

Myśl o ukrytych małpkach wódki i potrzebie nazbierania ich jeszcze więcej cofa mnie niemal dwanaście lat w czasie, do chwili sprzed urodzenia Jonaha, do wspomnienia bolesnego upokorzenia.

Czyjaś dłoń chwyciła mnie mocno pod pachę i odciągnęła od obrotowego fotela, zanim serce, oczy albo mózg były w stanie uświadomić sobie, że się obudziłem. Rozległ się dźwięk nierówno grających skrzypiec. Podłoga była jak z waty. Koniecznie musiałem zrobić kupę. Niejasno uświadomiłem sobie obecność ludzi stojących wokół z otwartymi ustami – jedni byli zszokowani, twarze innych zmieniły się w maski Schadenfreude.

DE VRIES, adwokat strony przeciwnej: *Opinia władz lokalnych jest taka, że w interesie Jonaha leży przeniesienie go wraz z innymi rówieśnikami do szkoły imienia Maureen Mitchell oraz kontynuacja – bardzo znaczącego – pakietu opieki.*

Władze lokalne nie zgadzają się z apelacją rodziców w zakresie części czwartej, ponieważ ich zdaniem wybór szkoły przez rodziców stanowi nierozsądny wydatek funduszy publicznych.

Władze lokalne uważają, że szkoła imienia Maureen Mitchell jest w stanie spełnić potrzeby Jonaha, i są zdania, że nie powinny finansować znacząco droższej, innej szkoły.

Nierozsądny wydatek funduszy publicznych? A więc chodzi tylko i wyłącznie o pieniądze – dobro Jonaha nie ma tu nic do rzeczy. Przynajmniej ktoś ma wreszcie odwagę przyznać, o co naprawdę chodzi.

Pod drugą pachę wsunęła się druga ręka. Uciekłbym, ale czułem się, jakbym nie miał kości w nogach i trzeba było mnie wlec, z szuraniem palców stóp o dywan, przez szpaler ludzi w garniturach, jakby była to parodia wesela, z tym że bez confetti i klaskania, jedynie z westchnieniami i jękami.

Znalazłem się w windzie, drzwi się zamknęły. Eskorta milczała. W uszach słyszałem walenie serca, w głowie wirowało mi jak w pralce. Myśli, powywracane, poodwracane, poskręcane ze sobą, szalone, nieistotne szczegóły – zostawiłem otwarty laptop, marynarka wisi na oparciu krzesła. Winda zjechała do piwnicy, mój żołądek został na trzecim piętrze. Czułem, jak w miękkie ciało przedramion wbijają mi się palce. Znowu zaczęły mnie boleć uszy – od tygodni miałem zapalenie ucha, które nie chciało się skończyć – sącząca się

wydzielina mieszała się ze spływającym z głowy potem. Czulem smród własnego ciała. Kwaśny. Zgniły. Inny niż pot po wysiłku fizycznym – odór strachu.

Jazda windą trwa wieczność. Z głościków rozległ się skrzeczący głos Chrisa de Burgha. W mojej głowie grał marsz pogrzebowy.

Winda, drżąc, zatrzymała się i drzwi otworzyły się ze zgrzytem. Znaleźliśmy się w piwnicy, pod ziemią. Dla mnie to piekło.

– Co mi chcecie zrobić? Co wam zrobiłem? – Mój głos brzmiał monotonicznie, martwo, upiornie, tak jak brzmiały głosy zestrzelonych przez Irakijczyków pilotów RAF, których zmuszono do przyznania się w telewizji do winy, co robili jak drewniane marionetki.

W milczeniu wyprowadzili mnie na zewnątrz, na jaskrawe słońce. Zmrużyłem oczy, ale i tak mnie oślepiło, a kiedy makabryczny taniec wreszcie się skończył i błyski zgasty, zauważyłem firmowego forda mondeo i gilotyna opadła. Alec stał przy drzwiach kierowcy, z rolką czarnych worków na śmieci w dłoni.

Ręce puściły mnie, zostałem pchnięty do przodu i opadłem przed nim na kolana.

Alec popatrzył na mnie i podał mi worki na śmieci.

– Posprzątaj, jebany obszcymurze.

Pozostali odeszli, Alec stał nade mną, jego wymuskane blond włosy błyszczą w słońcu.

– Licz! – żąda.

Zacząłem liczyć w myślach.

– Na głos!

Grzebałem w stertach butelek walających się przed przednimi fotelami, z kieszeni na drzwiach wyjąłem małe puste buteleczki i puste paczki po fajkach.

– Trzydzieści dwa, trzydzieści trzy... sześćdziesiąt siedem.

DR KAUR, psycholog szkolny rady: Zespół stwierdził, że umiejętności Jonaha w zakresie samoobsługi poprawiły się. Obecnie jest w stanie sam się ubierać i rozbierać, przygotowując się do szkolnych zajęć, takich jak pływanie.

Jonah jest w stanie dawać do zrozumienia, że potrzebuje iść do toalety, poprzez stawanie przy wejściu do toalety, i widać wyraźny postęp w zakresie zdolności do wymiany zdjęcia toalety, aby wyrazić swoją potrzebę.

Ciekawe, kogo ona obserwowała? Oczywiście, że jest w stanie ściągnąć spodnie, ale bokserki już sobie nie założy. A jeśli chodzi o te idiotyzmy z toaletą...

Wnętrze samochodu zostało sprzątnięte.

– Teraz bagażnik. – Alec podał mi drugi worek.

Gdy pochylilem się nad bagażnikiem, Alec zajrzał mi przez ramię. Widać było pełno dużych i małych butelek.

– Licz. Chcę znać dokładną ilość.

Z oczu leciały mi ciężkie łzy, które mieszały się z wydzieliną z ucha i kwaśnymi jak ocet resztkami z butelek, które poplamiały mi koszulę i spodnie w trakcie tego poniżającego rytuału.

– Sto dwadzieścia, sto dwadzieścia jeden, sto dwadzieścia dwa, sto dwadzieścia trzy, sto dwadzieścia cztery, sto dwadzieścia pięć, sto dwadzieścia sześć...

Podpierając się o zderzak, wysunąłem się z bagażnika. Obok samochodu w równym szeregu stało sześć czarnych worków na śmieci. Każdy z nich Alec zawiązał na supeł.

– To wszystko – wychrypiałem, dysząc z wysiłku.

– Teraz zanieś je do kontenera. Prawdopodobnie jedna wyprawa nie wystarczy.

Zaniesienie sześciu worków do stojącego sto metrów dalej biurowego kontenera na odpadki wymagało trzech spacerów. Za każdym razem musiałem przechodzić przed szeregiem okien. W każdym tłoczyli się koledzy z pracy, żądni sensacji niczym zwalnający na szosie kierowcy, którzy chcą popatrzeć na trupa.

BIRCH, psycholog szkolna: Jonah, w odpowiedzi na pytanie takie jak: „Co pijemy?”, nie był w stanie wskazać odpowiedniego obiektu.

Tak samo jak na każde inne, rozpoczynające się od: „który”, „dlaczego”, „gdzie”, „kiedy” albo „jak”. Stwierdzenie tego faktu jest zarówno oczywiste, jak i druzgocące. Sędzina na pewno zrozumie, że władze lokalne opowiadają bzdury.

Powąchałem dłonie – śmierdziały zwietrzałym winem i piwem. Na twarzy miałem porozmazywane brudne łzy, spodnie i koszula były pełne plam i byłem w stanie myśleć jedynie o współczującej minie Emmy i zaległej racie hipoteki.

– O’Brien chce cię niedługo widzieć na dziewiątym piętrze. Nie wolno ci wychodzić z budynku ani zbliżać się do samochodu – powiedział Alec.

Przez dwadzieścia minut trzymali mnie na schodach pożarowych, Alec pilnował bez słowa. Sądził, że ucieknę? Gorączkowo paliłem. Alec był jedynie pomagierem, sługusem. Do skóry dobierze mi się O’Brien, użyje do tego każdego centymetra mierzącego metr dziewięćdziesiąt pięć cielska. Strach przed nim był jednak niczym w porównaniu ze strachem przed Emmą. Będę musiał wymyślić niezłą ściemę, by usprawiedliwić stratę pracy za trzydzieści tysięcy funtów rocznie plus dodatki.

Dwadzieścia minut zdawało się trwać godzinę. Klatka schodowa przypominała szary betonowy komin. Wyjrzałem przez balustradę i do zawrotów głowy natychmiast dołączyły mdłości. Zamierzałem skoczyć? Liczyłem metalowe poręcze i zastanawiałem się, ile razy walnąłbym w nie łbem, zanim bym wylądował z głośnym trzaskiem...

PRICE: Ciekawe, dlaczego w sprawozdaniu pana Hattona z 2003 roku podkreśla się bardzo dużą różnicę w zakresie zdolności Jonaha do samoobsługi w domu i w szkole, ze stwierdzeniem: „Wygląda na to, że istnieje różnica między domem a szkołą, w zależności od tego, na ile udaje mu się być leniwym. Prawdopodobnie z tego samego powodu Jonah jeszcze nie obsługuje się sam w toalecie”. Osiem lat później wydaje się oczywiste, że nie jest to efekt lenistwa.

Lenistwo? Jakże idiotycznie to w tej chwili brzmi. Ten drań potępił go – i nas – w 2003 roku za pomocą oczywistego nonsensu. A był rzekomo najlepszym psychologiem dziecięcym w dzielnicowej służbie zdrowia. Niestety nie słuchał, co się do niego mówi, choć chciałbym teraz, aby miał rację: Jonah był tylko leniwy, jak ja...

Czuję się jak poddany chińskiej torturze wodnej – słowa kapią jak woda: kap, kap, kap, na moją głowę. Zaczynam odliczać w głowie przystanki Piccadilly Line: Cockfosters, Oakwood, Southgate, Arnos Grove... Przywołuję wspomnienia z plaży na Mauritiusie – Emma leży obok, jędrna i błyszcząca od potu. Znieczulenie miejscowe jest jednak w tej sytuacji na nic, potrzebna jest narkoza ogólna. Chcę się obudzić, gdy będzie

po wszystkim, i zacząć się drzeć, by podano mi wodę i silne środki przeciwbólowe.

– *WCHODZIĆ!* – wydarł się O'Brien.

Nienawidzę, gdy się na mnie krzyczy. Niech robią, co chcą, byle się nie darli. Bijcie mnie, dźgajcie nożem – tylko się na mnie nie wydzierajcie!

O'Brien był jednak w swoim żywiole. Miał całe piętro dla siebie. Ustawione w podkowie biurka, gdzie wyżywał się na podwładnych i doprowadzał ich do łez. Wielka pusta przestrzeń, po której chodził, gdy był wściekły i rozmawiał przez telefon.

A wtedy był. Przygotowałem się do powiedzenia wszystkiego, każdego szczegółu. Chciałem zdobyć jego sympatię. Potrzebowałem przeżyć następnych kilka minut. Pragnąłem się napić.

Wtedy wybuchnął.

– *DZWONIONO DO MNIE W TEJ SPRAWIE, BEN. MAM STO MILIONÓW SPRAW NA GŁOWIE, A ALEC DZWONI DO MNIE, ŻEBYM ZAJĄŁ SIĘ PIERDOLONYM PIJAKIEM!*

– *Przykro mi – odpowiadam ze wzrokiem wbitym w podłogę.*

Nie byłem w stanie się opanować i nogi ugięły się pode mną. Nie zamierzałem przed nim klęczeć.

– *WSTAWAJ. JESTEŚ ŻAŁOSNY.*

Nie byłem jednak w stanie się poruszyć. Znieruchomiałem i byłem żaloszny, to prawda. Na dodatek zacząłem błagać.

– *O'Brien, proszę... nie wyrzucaj mnie. Przechodzę właśnie zły okres, sprawy w domu nie rozwijają się jak należy, leki mi się skończyły, pójdę znowu do lekarza, obiecuję... To się więcej nie zdarzy, tylko mnie nie wyrzucaj. Potrzebuję tej pracy.*

Przez chwilę nic nie mówił. Cisza była może nawet gorsza niż jego wrzaski. Ludzie twierdzą, że podobno pod skrajną presją ludzie się starzeją, siwieją, dostają zmarszczek, ale ze mną było odwrotnie – cofałem się w rozwoju, kurczyłem, kulilem się jak niemowlak. Wpół do dziewiątej rano miałem dwadzieścia sześć lat, w tej chwili góra jedenaście.

– *Ben, lubię cię. Wszyscy cię lubią. Dam ci jeszcze jedną szansę. – Mówił ciszej, niemal pojednawczym tonem. – Chcę, żebyś stanął przede mną i przyznał, że jesteś alkoholikiem. Chcę, żebyś powiedział: „Mam na imię Ben i jestem alkoholikiem”. Powiedz to teraz, Ben: „Mam na imię Ben i jestem alkoholikiem”.*

– *Mam na imię Ben i jestem alkoholikiem – skłamałem. Może to koniec? Może tak trzeba? Powiedzieć mu to, co chce, obiecać, że to się już nigdy nie powtórzy, i będę mógł uciec.*

– *Posłuchaj, oto moje warunki: chcę, żebyś się zgłosił do Anonimowych Alkoholików, i chcę dostawać dowody, że tam chodzisz.*

– *Jak można coś takiego udowodnić, jeśli wszystko odbywa się anonimowo? – Nie mogłem się zgłosić do Anonimowych Alkoholików, nawet gdybym chciał, ponieważ musiałbym to wytłumaczyć Emmie.*

– *Mają jakichś sponsorów. Niech ktoś coś podpisze, zrobi zdjęcie. Nie obchodzi mnie, co to będzie.*

Jak za machnięciem czarodziejskiej różdżki obok O'Briena zmaterializował się Alec, z butelką wina w ręku. Cloudy Bay – moje Cloudy Bay! Alec szepnął coś O'Brienowi

do ucha i obaj się roześmiali...

BIRCH: Doktor De Rossi, konsultant z zakresu psychiatrii dzieci i młodzieży, stwierdził w liście z dnia 22 października 2009 roku: coraz trudniej jest kierować jego zachowaniem, co dotyczy między innymi samookaleczeń znacznego stopnia, gryzienia się w dłoń, powodowania ich krwawienia, siniaczenia nóg, rozbierania się do naga i częstych zmian nastrojów, od śmiechu bez powodu po uderzanie głową w przedmioty i gryzienie się. Próbował też udusić rodziców.

Boże, to był początek końca. Te straszne miesiące, gdy codziennie czekaliśmy na opowieści ze szkoły dotyczące przemiany Jonaha w dzikie zwierzę. Obserwowanie, jak nabija sobie siniaki i sam się bije, łamało serce. Jedynym wyjściem było znieczulające picie. Sytuacja jednak tylko się pogarszała – narastała wściekłość, że nie jesteśmy w stanie pomóc, na horyzoncie pojawiła się konieczność podjęcia straszliwej decyzji. Nadszedł czas poszukać szkoły z internatem.

Oczyma duszy widziałem, jak O'Brien i Alec wypijają moje Cloud Bay za trzydzieści funtów, śmiejąc się z mojego kłopot-liwego położenia, a strach i poniżenie – jeszcze przed chwilą tak całkowite i realne – w ułamku sekundy zmieniają się w oburzenie i złość.

Wszystkie objawienia minionej godziny – przyznawanie się, błagania, wyrazy żalu i przeprosiny, wszelkie przejawy wdzięczności – pękły jak bańka mydlana i stało się jasne, co właściwie jest grane, jaki był cel całej tej maskarady, niesprawiedliwości i parodii. O'Brien chciał jedynie wejść na wyższy etap ujarzmiania mnie, zrobić ze mnie niewolnika, zaoferować coś, co następnie w dowolnej chwili mógłby rozliczać w celu pompowania swego i tak już rozdętego ego. Gorzej, ten monstrualny typ, tyran, hipokryta, chciał mnie uratować. Mnie! Chciał mnie uratować i mój przypadek wykorzystać w charakterze przestrogi. Hej, ludzie, słuchajcie, w jaki sposób pan O'Brien, mistrz biznesu i wzór miłosierdzia, przejął się tą nieszczęsną, złamaną, przesączoną alkoholem duszą i ją uratował. Uratował jej życie, pracę i rodzinę. Pieprzyć to i jego samego! To on był jednym z głównych powodów, dla których muszę pić. Pieniłem się ze złości. Jeżeli ktokolwiek ma mnie uratować, to ja!

Po rzuceniu im w twarz, że się zwalniam, powtarzałem tę mantrę przez całą drogę powrotną do domu. Sam się uratuję. Żaden arogancki drań nie będzie sobie przypisywał tej zasługi. Pokażę im wszystkim, kto tak naprawdę rządzi, i zrobię to po swojemu. Przestanę pić w taki sposób, w jaki mi się podoba – i na pewno nie od razu.

Ponownie byłem królem wszechświata, jeszcze zanim doszedłem z przystanku autobusowego do sklepu monopolowego, i w ramach wielkiego „jebcie się” dla nich obu kupiłem ćwiartkę taniej wódki. Gdy wchodziłem do sklepu, już czekała na mnie w reklamówce.

Wypiłem pół w trakcie pozostałych stu metrów, resztę schowałem do torby na laptop, odpowiednio zabezpieczonej przed skutkami uderzeń. Wsadziłem klucz w zamek, przywołałem uśmiech na twarz i wszedłem pewny siebie w nowe życie – bezrobotny, bez nadziei, ale podbudowująco wkurzony...

Twierdzimy, że władze lokalne w sposób oczywisty ignorowały pogarszającą się sytuację rodziny Jewellów do chwili, aż stało się jasne, że zamierza ona apelować do

niniejszego trybunału.

Męczarnie trwały dalej, przestaliśmy się porozumiewać, a wszystko między mną a Emmą wypełniło się stresem i niepokojem.

Podszedłem do drzwi sypialni i obserwowałem, jak robi sobie makijaż.

– Wychodzisz?

– *Na pewno ucieszysz się, że tak – odparła, nie odwracając się. – Idę się zobaczyć z Amandą, więc będziesz musiał sam zrobić sobie coś do jedzenia. Nie narób bałaganu i nie pij za dużo. Chcę, byś wcześniej wstał. Czy o tym też zapomniałeś?*

– *Nie zapomniałem – skłamałem. Jakże mógłbym zapomnieć o technice rozmnażania się?*

Wyjrzałem przez szparę w zasłonach, aby upewnić się, że poszła. Obserwowałem światła niemało kosztującego samochodu na ulicy i czekałem, aż migający kierunkowskaz przestanie być widoczny, po czym wypilem to, co zostało w butelce, i walnąłem się na kanapę, nareszcie sam. Niestety, przypomniałem sobie dzisiejszy horror i zacząłem wyobrażać sobie ten, który miał nastąpić. Nie przyszło mi do głowy, by się przyznać, skłamać o redukcji czy podać inny rozsądny powód, dlaczego nie będę chodził do pracy. Wszystko wskazywało na to, że przepiękna zdolność mówienia prawdy, jakby bariery chroniące przed oszustwem, deprawacją oraz normalne ludzkie zachowanie były rozpuszczalne w alkoholu, znikają w nim niczym musująca tabletką, nie pozostawiając żadnej obrony przed wyniszczającą, powolną śmiercią ze wstydu.

To, co zostało w butelce, wystarczyło jedynie do zwilżenia warg. Zanim zdążyłem się zorientować, byłem na zewnątrz i niemal biegłem. Pracując mocno ramionami, tłukąc stopami o chodnik, parłem coraz szybciej, aż neon REGAL WINE wychynął z mroku niczym Las Vegas z otaczającej pustyni.

Wpadłem do środka i dołączyłem do kolejki. Trwała słowna bitwa: chardonnay czy sauvignon blanc. Pospiesz się, do cholery! Przypomniała mi się moja skonfiskowana butelka Clou-dy Bay i niepokój powrócił, a małe igielki zaczęły kłuć mnie w głowę. Gadka o winie wreszcie się skończyła i -Hindus, którego nazwiska nie znałem, ale który znał mnie lepiej niż ktokolwiek na świecie, wbił wzrok w moje stopy. Spojrzałem w dół. Same skarpetki. Popatrzyłem na niego i wzruszyłem ramionami. Bez uśmiechu pokręcił głową i podał mi butelkę wódki. Trzymałem pieniądze w dłoni, dał mi jednak znak, bym położył je na kontuarze, co też zrobiłem. Wyjął zza kasy kopertę i zgarnął nią pieniądze.

DE VRIES: *Stosunek jakości do ceny, pani Price...*

PRICE: *Ale nie porównujemy proszków do prania. Panie De Vries, dlaczego władze lokalne nie wstydzą się proponować kolejnej alternatywy? Milcząco przyznały, że nie interesuje ich dobro Jonaha, dodając w tak późnej fazie postępowania The Sunrise Academy – choć miały dwa lata na przedstawienie jej rodzinie. Mój klient uważa to za skrajnie cyniczne.*

Nie mogę zapomnieć, jak świat wyglądał przed Jonahem. Nie byłem gotowy do roli ojca – byłem zbyt chory, zbyt popieprzony. Co noc szedłem spać o drugiej, trzeciej, próbując rozpuścić strach w alkoholu. Jak w takim stanie mogłem być ojcem? Alkohol nakręcał strach i vice versa.

Usiadłem na jeszcze niespłaconej kanapie, by obejrzeć film na DVD – z butelką

wódki na piersi, powtarzając raz za razem poszczególne sceny, ponieważ co rusz odpływałem i traciłem zasadnicze fragmenty. Wkurzała mnie perspektywa wyjścia jutro rano z domu, a nie miałem żadnego pomysłu, gdzie spędzić osiem godzin ani jak na tyle szybko zdobyć nową pracę, aby ta nieszczęsna historia pozostała tajemnicą. Najpierw trzeba było jednak coś zrobić z telefonicznym budzeniem i obawiałem się, że nie ma przed nim ucieczki.

Była druga w nocy i kończyłem w kuchni puszkę 7 Up. Po tym, jak wpelzłem do łóżka o północy, czułem, że pod powiekami mam plażowe kamyki. Było niemal warto się odwodnić, żeby teraz doświadczyć tej ulgi, gdy moje oczy odzyskały swój kształt, wilgoć i napięcie, niczym wrzucone do lodowatej wody zeschnięte pomidory.

Mieliśmy łóżko o królewskich rozmiarach. Emma spała po lewej stronie, na lewym boku, plecami do mnie, ja – po prawej – wyglądałem jak jej lustrzane odbicie. Zanim przyszedłem do łóżka, zawsze czekałem, aż zaśnie.

Była czwarta rano, leżałem z dłońmi splecionymi na karku i słuchałem chrapania Emmy. Było dziwnie. Czasami alkohol znieczulał na tyle, że przenosiłem się w obszary bliskie śpiączce, ale tej nocy nawet nie ziewnąłem. Zasłony w sypialni odziedziczyliśmy po poprzednim właścicielu i nie do końca pasowały, więc pasek ulicznego światła dzielił nasze łóżko niemal dokładnie na pół. Wyglądał jak laser z filmów o Bondzie i czasami fantazjowałem, że delikatnie umieszczam ramię Emmy na drodze promienia i czuć swąd palonego ciała, gdy laser wykonuje w nim idealne nacięcie. Następnie wyobrażałem sobie siebie. Może powinienem użyć lasera i zrobić sobie wazektomię? Odciąć Emmie drogę, że tak powiem.

Nie mogłem się doczekać, by wstać z łóżka i wyjść z domu, ale gdy zegarek sunął złowieszczo ku szóstej i uszy zaczęło mi pieścić Capital Radio, dosłyszałem w oddechu Emmy staccato. Obudziła się, przesunęła plecy w moją stronę, a gdy koldra zaszeleściła, zdjęła majtki i pozwoliła im opaść na podłogę. Skuliłem się i cofnąłem ku skrajowi łóżka. Miałem ochotę krzyczeć. W głowie już krzyczałem. Krzykiem rozpaczliwie z „Łowcy jeleni”, gdy Robert De Niro bezskutecznie próbuje zatkać dziurę po kuli w skroni Christophera Walkena, po strzale, który miał być ostatni w rosyjskiej ruletce. Miałem nadzieję, że w moim rewolwerze komora jest pusta.

Zdjąłem bokserki i zacząłem szukać w wyobraźni jakiegoś obrazu, zdarzenia – choćby ulotnego – czegokolwiek, co umożliwiłoby mi wykonanie zamówionej usługi. Włożyłem sobie rękę w krocze i chwyciłem się. Ciągnąłem i naciskałem rozpaczliwie, ale nie było żadnej reakcji. Uciekłem myślą z tego pokoju i cofnąłem się najpierw o pięć, potem o dziesięć lat i coś drgnęło, pierwsze drobne impulsy zaczęły przepływać mi z mózgu do krocza i w końcu zaczął mi stawać.

Byłem z Michelle. Mieliśmy po siedemnaście lat i leżeliśmy na moim łóżku w domu moich rodziców. Byliśmy przyjaciółmi, ale zawsze coś nas do siebie ciągnęło i jakimś sposobem, bez ostrzeżenia, leżała na mnie. Miałem dłonie pod jej sukienką, ocieraliśmy się o siebie, a moje dłonie znalazły jej piersi. Od dawna mi się podobały, co noc onanizowałem się, wyobrażając je sobie, i nagle miałem je w dłoniach, a były znacznie miększe, niż sobie wyobrażałem, sutki były malutkie jak pięciopensówki i spiczaste.

Napierałem na plecy Emmy, odciągając nogi i klatkę piersiową do tyłu, przez co

kontakt miały ze sobą jedynie mój śniący na jawie penis i jej suchość. Splunąłem w dłoń i rozsmarowałem ślinę na końcu kutasa, zacząłem pchać i pchać, aż w końcu byłem w środku i znowu była to -Michelle, na czworakach, czułem w dłoniach krzywiznę jej pośladków i pchałem z całej siły, serce waliło mi, aż doszedłem i zacząłem płakać. Iluzja się rozplynęła, Michelle zniknęła, a ja się odsunąłem, by złapać za krawędź łóżka i uciec. Na widok Emmy, podpierającej się łokciami, z uniesionymi nogami, rzeczowo, bez zwracania uwagi na świat dookoła, robiło mi się niedobrze. W dążeniu do zapłodnienia jajeczka sprawiała wrażenie bezwzględnej, podczas gdy ja się modliłem, aby okazało się, że alkohol zniszczył moją spermę całkowicie i bezpowrotnie.

Byłem w łazience, stałem nagi przed sięgającym podłogi lustrem. Boże, co za widok. Oczy miałem przekrwione – nie wiem, czy od picia, czy od płaczu.

BIRCH: Zarówno w Roysten Glen, jak i w szkole Maureen Mitchell wykorzystuje się małe pomieszczenia odosabniające, w których Jonah mógłby przebywać, gdy wzrośnie poziom jego niepokoju. W Sunrise Academy przestrzenie takie nie są łatwo dostępne i wygląda na to, że doktor Makarova uważa tego typu strategię za karę.

Kara? Może to moja kara za to, że nie chciałem zostać ojcem? Autyzm Jonaha, moje nieudane małżeństwo.

Mój mocz miał barwę coca-coli i piekło. Bolało mnie miejsce, gdzie – jak sądziłem – mam nerki. Z muszli klozetowej unosił się sugerujący chorobę słodki odór. Słyszałem o ketonach. Zastanawiałem się, czy mam cukrzycę.

Woda w prysznicu była, dzięki Bogu, ciepła, więc gdy spływała mi po głowie i plecach, oparłem czoło o kafelki. Rozległo się walenie w drzwi.

– Ben, otwórz drzwi! Muszę skorzystać z toalety.

– Jeszcze pięć minut! – wrzasnąłem, przekrzykując hałas lecącej wody.

– Daj spokój, zaraz mnie rozsadzi.

Zirytowany, wyskoczyłem spod prysznicza i cofnąłem zasuwkę. Gdy Emma siadała na klozecie, wróciłem pod prysznic.

– Sądziłem, że miałaś robić rowerek – stwierdziłem lekko ironicznie.

Zdaniem Lisy, wiecznie ciężarnej koleżanki Emmy, leżenie na plecach i robienie przez dwadzieścia minut rowerka zwiększało szanse na zapłodnienie o pięćdziesiąt procent. Ciekawe, czy te wspaniałe naukowe dane uwzględniały wpływ alkoholu i antydepresantów. Podejrzywałem, że tak, choć wolałem się nie dzielić swoimi przemyśleniami w tym zakresie.

W kuchni podczas pracy nad grafikami: kiedy wyjść, kiedy wrócić, kiedy zadzwonić w trakcie przerwy obiadowej, od kawy po rosyjsku_ zaczęły mi łzawić oczy. Spojrzałem na zegarek: była siódma. Chyba mogłem już wyjść. Dokończyłem kawę.

– Wychodzę. Muszę złapać autobus.

– Nie mogą dać ci samochodu służbowego? Ile to jeszcze potrwa?

– Nie wiem. Kilka tygodni? – stwierdziłem, zyskując nieco czasu.

Emma uniosła głowę znad kubka z herbatą i zauważyłem, że jej dolna warga drży.

W jaki sposób ludziom udaje się razem żyć? W jaki sposób obchodzą pola minowe? Uświadamiam sobie, że nie mam wspomnień spokojnego życia, nawet z dzieciństwa.

Dom rodziców – niezmiennie obskurna nora. Siedziałem w salonie, na podłodze i oglądałem świadectwo. Mój szkolny mundurek był wilgotny po spacerze w zapadającym zmroku, burczało mi w brzuchu od tonącego w maśle i czarnym pieprzu spaghetti. Miałem ile? Dziewięć lat? Wrócił do domu, słyszę trzask frontowych drzwi, mamrotane przekleństwa i wywarczane: „Myra...”.

Była w łazience z koktajlem ze szkockiej i amerykańskiej whisky, który jej zrobiłem. Słyszałem radio i jej fałszowanie. Wtedy zaczął się wrzask: kot i lew. Byłem uodporniony na ten muzak. Był zwykły, oczekiwany, banalny. Po chwili jednak ton się zmienił, kot zaczął się drzeć i wołał mnie do łazienki, gdzie ujrzałem ojca z zaciśniętymi pięściami i matkę krzyczącą wniebogłosy, chlustami wychlapującą wodę z wanny na linoleum.

– Marsz do łóżka! – wrzasnął i zostałem uwięziony między własnym strachem a strachem matki.

– Do łóżka, Benjaminie.

Jej whisky stała na nocnej szafce, oleista i słodka, więc wypilem do dna tak samo, jak ona robiła to tysiące razy. Zapieкло mnie w gardle, ale strach rozpuścił się w fali gorąca i łóżko nagle stało się oazą spokoju. Łoskoty i trzaski trwały dalej, ale przeniosłem się gdzie indziej.

Z kolejnym trzaśnięciem drzwiami wyszedł i spokój zaczął się rozprzestrzeniać niczym rosnąca chmura kadzidla. Wtedy do mojego pokoju przyszła matka, owinięta ręcznikiem i pojękująca. Usiadła na skraju łóżka i objęła dłońią mój nadgarstek.

– Rozumiesz mnie, Ben, prawda? My dwoje jesteśmy jak dwa groszki w strąku, ty i ja.

– Tak, mamo – odparłem z mieszanką dumy i odrazy.

– To dobrze. W takim razie zejdź na dół i zrób mamie jej specjalnego drinka.

Zrobiłem, co kazała, zanim jednak naląłem zwykle dwa palce, pociągnąłem z butelki.

Nigdy nie wiedziałem, o co się kłóć, ale czy mogło chodzić o coś innego niż o mnie? Leżąc pijany w ciemności, przysięgłem, że się poprawię, zrobię wszystko, aby była szczęśliwa.

BIRCH: Na podstawie badania za pomocą Skal Możliwości Szkolnych BAS II stwierdzono u Jonaha pewne umiejętności.

Werbalizacja: wiek rozwojowy dziewięć miesięcy.

Układanie klocków: wiek rozwojowy dwa i pół roku.

Puzzle dziesięcioelementowe: wiek rozwojowy dwa i pół do trzech lat.

W zadaniu polegającym na kopiowaniu głównie przypadkowo bazgrał: wiek rozwojowy półtora roku do dwóch lat.

Jakby nie mierzyć, mój syn jest na poziomie rozwoju dziecka uczącego się chodzić, a oni się spierają, czy jeszcze więcej tego samego, co dotychczas mu oferowano, coś da? Potrzebuje czegoś innego! Więcej wsparcia, więcej uznania, więcej zachęty, mniej stresu. Tylko popatrzcie, jak stres na niego wpływa...

Gdy miałem jedenaście lat, biegłem ze szkoły ze świadectwem – pierwszym z gimnazjum. Była na nim kolumna szóstek – bez jednej skazy. „Benjamin może być dumny i jest powodem do dumy dla szkoły” – napisał dyrektor na dole. Wpadłem do domu.

– *Mamo, mamo!*

Zamiast niej ujrzałem ojca z gazetą na kolanach.

– *Gdzie mama?*

– *Odeszła, Benjaminie. Teraz jesteśmy tylko we dwóch.*

– *Dokąd?*

– *Ją zapytaj. Ma do ciebie dzwonić o siódmej.*

Siedziałem przy telefonie przez trzy godziny. Potem pobiegłem do ogrodu i podпалиłem zapalką świadectwo.

Emma zadzwoniła o jedenastej. Przybiegłem z baru na stacji Euston.

– *Ben, jestem w ciąży! Będziemy mieć dziecko!*

Nie czułem radości, jedynie ulgę i strach. Ulgę, że seks w końcu może się ponownie stać pasjonujący, jak kiedyś był, i strach, że muszę iść do domu i przyznać się do utraty pracy oraz całodzienniej jazdy metrem. Było mi niedobrze, że udaję zaskoczenie i zachwyty. Jaki miałem wybór? Zadzwoniłem więc do niego.

– *Tato, muszę z tobą pogadać. Mogę przyjechać do magazynu?*

Zgodził się i pojechałem od razu.

Od unoszącej się pary i łoskotu przemysłowej zmywarki natychmiast rozboleły mnie zęby. Ojciec stał naprzeciwko -Valentine'a i wycierali kieliszki. Poruszali się tak synchronicznie, jakby byli dwoma wersjami tego samego mechanizmu. Ani jeden, ani drugi nie podniósł głowy.

– *Co jest aż tak ważne?*

– *Muszę z tobą porozmawiać.*

– *To już mówiłeś. Więc?*

– *Moglibyśmy iść do pubu?*

Valentine cmoknął, tata spojrzał na zegarek.

– *Pół godziny.*

Jedna szklanka wypita, druga przede mną.

– *Chcę z tobą pracować.*

Pozwolił mi gnić w milczeniu, jedynie strzelał kostkami dłoni.

– *Tak ni stąd, ni zowąd? Dlaczego teraz, po tylu latach? Co narobiłeś?*

– *Ciągle powtarzasz, że zaczyna cię to przerastać.*

– *Zaszczycasz mnie swoją troską.*

– *Emma jest w ciąży. Będiesz dziadkiem.*

– *Mówiłeś matce?*

– *Nie, mówię tobie. Potrzebuję stabilności i muszę zacząć zarabiać.*

– *Emma zarabia. Zostań w domu i zajmij się moim wnukiem. O to chodzi? Nagle jesteś zbyt dumny? Co jest nie tak z twoją pracą?*

– *To nie duma, lecz odpowiedzialność. Za mało zarabiam.*

– *A czyja to wina? Gdybyś szukał, też miałbyś stabilny zawód, jak Emma.*

– *Niech ci będzie, nie mówmy o tym. – Musiałem to przelknąć, była to cena jego mecenatu, trudne lekcje, jakie przewidział.*

– *Dlaczego miałbym cię ratować?*

Mógłbym wymienić milion powodów.

– Ponieważ cię potrzebuję?

– Ponieważ potrzebujesz moich pieniędzy. Jak zawsze. Muszę teraz wracać, wpadnij o siódmej, to pogadamy.

– Czyli „tak”?

– Przyjdź, nie zapomnij. I pogratuluj ode mnie Emmie.

Było dopiero wpół do dziewiątej rano, ale telefon dzwonił jak oszalały. Zbyswałem ludzi jak mogłem, gdy zadzwoniła moja komórka: Valentine.

– Furgonetka się popsowała.

– Jak to?

– Padła, nie chce zapalić.

– Gdzie jesteś?

– Southbank.

Brak snu i niepokój zaatakowały moje kanaliki łzowe. Telefon wypadł mi z ręki i poleciał na stół.

– Weź się w garść, Benjaminie.

– Ale tato...

– Co to da?

– Wszystkie świąteczne zamówienia...

– Przestań się mazać. Zawsze muszę ci wycierać nos.

LACK, logoterapeutka: Jonah zaczął używać słów w wieku roku i jedenastu miesięcy, były jednak sporadyczne, po czym, mniej więcej w wieku dwóch i pół lat, stracił zdolność mowy. Nigdy nie dotarł do stadium formułowania zdań.

Dlaczego? Dręczy mnie to – dlaczego, zaraz po tym, jak zaczął, przestał mówić? Byliśmy w stanie zrobić coś więcej?

Tom i Jonah siedzieli obok siebie w wannie, piana była tak gęsta i wysoka, że widać było jedynie ich nosy.

– Piotruś Pan, Piotruś Pan! – wrzeszczał Tom, unosząc rączki do Johnny’ego.

Wyciągnęliśmy chłopców z wanny, ich pulchne, dwuletnie ciała błyszcząły od wody. Ręcznik, którym był owinięty Jonah, emanował ciepłem, jego głowa pachnie szamponem dla dzieci. Emma i Amanda pojawiły się u szczytu schodów z kawą w dłoniach.

– Piotruś Pan, Piotruś Pan! – wrzeszczał ponownie Tom. Johnny rozwinął ręcznik, złapał go w pasie i zaczął kręcić nim w powietrzu, robiąc „samolot”, piszcząc przy tym:

– Piooruś... Piooruś... Piooruś...

Tom śmiał się, siedzący przy moich nogach Jonah też się śmiał i wyciągał ręce do Johnny’ego.

Amanda wzięła Toma w ramiona.

– Johnny, patrz, Jonah też chce rundkę. Zrób z nim to samo.

Johnny właśnie miał go podnieść, gdy wtrąciła się Emma.

– Nie. Zanim to zrobisz, każ mu powiedzieć „Piooruś”. Niech powie „Piooruś”.

– Daj spokój, Emmo, to okrutne. Popatrz na niego – zaoponowałem. Jonah był jeszcze bardziej zrozpaczony niż zwykle. Emma uklękła przed nim na podłodze.

– Musimy trochę go przycisnąć, Ben. To jedyny sposób. – Zaczęła wołać do niego:

– Dawaj, Jonah, jeśli chcesz polatać, powiedz „Piooruś”. Piooruś... Piooruś... Piooruś.

Brzydziło mnie to. Jonah podskakiwał na tyłku, a Emma nie odpuszczała. Właśnie zamierzałem interweniować, gdy powietrze wypełnił przenikliwy krzyk.

– Piooruś... Piooruś... Piooruś... – krzyczał Jonah, a słowa nie były rozmyte – były doskonale, idealne, jakby ktoś puścił z taśmy Emmę. Zdumieni, zaczęliśmy patrzeć po sobie. Johnny podniósł go i zaczął nim kręcić dookoła, krzyząc: „Piooruś!”. Jonah przedtem mówił już kilka słów – „bobel”, „nos”, „dzidzi” – ale było to kilka miesięcy temu i zaczęliśmy wątpić, czy naprawdę je wypowiedział. To było jednak coś całkiem innego, moment duchowy, przebudzenie. Wieczór był radosny, pełen śmiechu, nadziei i ulgi. Dokonał się przełom i poszliśmy spać szczęśliwi.

BIRCH: Jonah ma zdiagnozowane zaburzenia ze spektrum autyzmu, ale moim zdaniem nie oddaje to powagi jego stanu i należy zauważyć, że znajduje się na najdalszym krańcu spektrum i jako taki należy do niewielkiego procenta dzieci z najpoważniejszymi i złożonymi zaburzeniami ze spektrum autyzmu.

Potem było już tylko gorzej. Zero słów, brak kontaktu wzrokowego, brak kontroli nad funkcjami ciała, brak więzi emocjonalnej...

Obserwowałem go, jak bawi się w plastikowym domku, otwiera i zamyka okna, wychodzi przez drzwi, obchodzi domek, znowu do niego wchodzi i ponownie zajmuje się oknami. Emma gryzła paznokcie, krzyżowała i prostowała nogi. Otworzyły się drzwi i zostaliśmy zaproszeni do środka. Zawołałem do niego, ale zignorował to. Wsunąłem głowę do środka przez okienko i podrapałem go po brzuchu. W końcu wziął mnie za rękę i dał się zaprowadzić do gabinetu. Zaczął machać rękami, jakby otaczały go chmury muszek.

Konsultant za biurkiem był malutki, zbliżał się do emerytury i miał śpiewny hinduski akcent.

– Więc ty pewnie jesteś Jonah.

Jonah zignorował go.

– Ile masz lat, Jonah?

– Ma trzy i pół roku – odpowiedziała Emma.

– Zupełnie nie mówi?

– Trochę. Może czterdzieści słów.

Raczej sześć – pomyślałem.

– Ale właśnie przestał ich używać.

– Od kiedy?

Popatrzyliśmy na siebie.

– Od jakiegoś roku – odparła Emma.

Konsultant coś zanotował. Jonah próbował zejść mi z kolan.

– Mam sprawozdanie z jego przedszkola. Obserwowałem go też dwa razy.

Nie wiedzieliśmy o tym.

– Proszę państwa, wszystko wskazuje na to, że Jonah jest autystyczny.

– Ale wypowiadał słowa. Mówił...

– To powszechne zjawisko u dzieci autystycznych, pani Jewell.

Widziałem, jak czerwienieją jej oczy, ale sam byłem spokojny. Jakbym wiedział.

– Ale dlaczego?

Konsultant przejrzał kolejne dokumenty i spojrzał na mnie.

– Ma pan problem z alkoholem?

– Miałem.

– Ale w czasie zapłodnienia dużo pan pił.

– Tak, chyba tak.

– Ma pan świadomość, że mogło to spowodować u Jonaha autyzm?

Mogło. Szperałem w Internecie, aż logo Google wypaliło mi się na siatkówce, ale nie znalazłem dowodów na to, że to moja wina. Mimo to, słysząc, jak ktoś wypowiada głośno to, co było treścią moich najgorszych lęków, wyszedłem z gabinetu zalany łzami ze wstydu.

Kilka minut później wyszła także Emma z Jonahem. Patrzyłem, jak bierze go za rękę i maszeruje do windy. Nie była w stanie zmusić się do spojrzenia na mnie.

PRICE: W niedzielę, 5 stycznia zeszłego roku, pani Jewell wyszła z Jonahem i doświadczyła najgorszego, najbardziej agresywnego publicznego wybuchu, jaki Jonah miał od Bożego Narodzenia poprzedniego roku. Trwał on około dwudziestu minut, w trakcie których Jonah zaatakował ją i dwie obce osoby (które chciały pomóc) oraz dokonał samouszkodzeń. Zdaniem pani Jewell kluczowe były tu nagłość wybuchu – „choć od kilku dni nie był w najlepszym humorze” – oraz siła agresji. Incydent wstrząsnął nią i kazał zwątpić, czy z powodu wzrostu i siły Jonaha będzie w przyszłości w stanie samodzielnie opanowywać w przestrzeni publicznej podobne ataki.

Co z nim będzie, gdy zrobi się starszy? Gdy nawet dla mnie zrobi się za duży? Zabije kogoś? Okaleczy? Co będzie, gdy umrę? Dokąd pójdzie?

– Nie wracaj przed piątą – powiedziała Emma.

Jechałem czterdzieści minut i została mi jeszcze godzina. Byliśmy w parku, w McDonalddie, znowu w parku, znowu w McDonalddie. Na fotelu pasażera leżała torba z Costcuttera: dziesięć jabłek, sześć opakowań chrupków, bochenek białego chleba, osiem opakowań smarties, duża torba pastylek czekoladowych, butelka wody, dwie paczki niebieskich cameli i butelka wódki na szczęście.

Od nieustannego wciskania sprzęgła zaczęła mi drętwieć lewa noga, zjechałem więc do krawężnika – w takim miejscu, by nie dało się dostrzec samochodu z naszego mieszkania. Odkręciłem butelkę i zacząłem pić. Na tylnej kanapie sześciolatek Jonah rwał na kawałki zmiotkę z piór, którą mu w tym celu kupiłem. Zrezygnowałem z podawania mu smarties pojedynczo, więc wysypał zawartość opakowania na kanapę. Gdy walił w sprężynującą powierzchnię niczym zawodowy bębniarz, jaskrawe płaskie pastylki rytmicznie podskakiwały i opadały.

Ile mogłem zyskać minut? Dwie, dziesięć? Pół godziny, godzinę? Kulilem się na każdy ruch, każdy okrzyk. Rzuciłem jedzenie za siebie niczym pracownik zoo, który karmi lwa. Opuściłem szybę i twarz opryskał mi deszcz. Zapaliłem papierosa i ukradkowo się zaciągnąłem, podczas gdy zegarek odliczał sekundy, a w radiu gadano o Manchesterze United.

Boże. Ale. Było. Ciężko.

Jak można to komukolwiek wyjaśnić? Poczucie kompletnej przegranej, szalejąca

w sercu bitwa miłości z samotnością. Mogłem go traktować w taki sposób, bo nikomu się nie poskarży. Mogłem siedzieć w samochodzie, zamieszkując inny wszechświat, nie nawiązując z nim kontaktu i marząc o samotności i końcu strachu, ponieważ był uwięziony całkiem gdzie indziej i nie wiedział, że istnieje lepszy świat. Zjawimy się w domu o ustalonej godzinie, powiem jakieś bzdury o tym, jak fajnie spędziliśmy czas, wymienię miejsca, które odwiedziliśmy i co tam robiliśmy, jak było super, i nie będzie mógł zaprzeczyć.

Kim się w ten sposób stawalem? Złym ojcem czy strażnikiem więziennym? Konfabulantem czy zwykłym kłamcą?

Zaczął się śmiać i podskakiwać na kanapie. Mogło mi to dać jeszcze dziesięć minut, ale jego nastrój mógł się równie dobrze zmienić w trzy. Ciągłe towarzyszyły mi niepewność i nieprzewidywalność. Tak samo czułem się, przechodząc w parku albo na ulicy obok pitbulla – czekając na atak.

Jonah nie był jednak zwierzęciem. Przemawiały przeze mnie wódka, żal i pogarda do samego siebie, spakowane w jedną pożałowania godną paczkę.

Zostało pół godziny. Gdy zostanie dziesięć minut, ruszę.

Zadzwoił telefon.

– Mógłbyś być o szóstej? – spytała Emma.

– Żaden problem – odparłem, choć był, słowa wypowiedziałem jednak szybciej, niż zdążyłem pomyśleć. Zawsze tak było – nie byłem w stanie odmówić, a potem kłamałem na Emmę i na siebie, że jestem tak słaby.

Półtorej godziny. Za długo, by jeździć, za długo, by siedzieć. Przejrzałem kontakty w telefonie – czy istniał ktoś, kto zechciałby, abym „wpadł”? Ojciec? Johnny? Postanowiłem spróbować z Johnnym. Palec przez chwilę wisiał nieruchomo nad przyciskiem szybkiego wybierania, serce mi załomotało i nacisnąłem. Właśnie miałem się rozłączyć, gdy odebrał.

– Przykro mi, stary, ale trzeba było zadzwonić wcześniej. Idziemy do kina. Może byś poszedł z nami?

Teraz skłamałem i Johnny'ego. Nie docierało to do niego? Jonah nie wysiedzi w kinie. Byłem samotny jak zawsze, mając do towarzystwa jedynie niemówiącego chłopca i butelkę wódki.

– Nie jesteście mile widziani, słodziaku.

Nie mogłem iść do ojca, boby się domyślił, dlaczego przyszedłem. Zawstydzilby mnie jeszcze bardziej, niż sam się zawstydziałem. Wyczułby wodę.

W tym momencie poczułem paznokcie na karku i wrzasnąłem. Oczy Jonaha płonęły i zamachnął się ponownie. Złapałem go za nadgarstek i ścinałem mocniej, niż powinienem.

– Mógłbyś się po prostu odpierdolić i zostawić mnie w spokoju?

Gdy z oczu poleciały mu łzy, moje też słono zapiekły. Jaka czeka nas przyszłość?

PRICE: Jeżeli Wysoki Trybunał pozwoli, pani Emma Jewell chciałaby się do niego zwrócić.

Och.

Emma wstaje i otwiera leżącą przed nią, oprawioną w skórę teczkę. Nigdy

przedtem nie widziałem jej w akcji. Przez wszystkie lata ani razu nie byłem u niej w pracy, nie poznałem jej kolegów i koleżanek, nie przyszedłem na żaden proces, w którym uczestniczyła. Ta Emma to dla mnie obca osoba. Jest wysoka, elegancka i opanowana. Gdy rozgląda się po słuchaczach, nie poznaję linii jej ust ani wyrazu oczu. Jej wzrok zatrzymuje się krótko na mnie i od razu wiem, jak to jest być przez nią oskarżanym. Gdyby chciała, mogłaby się po mnie przejechać (zawsze mogła to zrobić), tym razem jednak mam wrażenie, że mnie zdemaskuje. Muszę ukryć twarz. Zasłaniam ją dłońmi i gdy ona odchrząkuje i zamyka teczkę, czekam na cios noża. Słowa, które wypowie, prawdopodobnie rozerwą na strzępy mój starannie wypracowany stoicyzm. Znowu: słowa. Jeżeli cokolwiek zrozumiałem w życiu, to jedno: tym, czego się boję najbardziej, są słowa. Jestem w stanie odnaleźć w nich każde znaczenie, jakie chcę, przeinaczyć je tak, by służyły moim celom, wybiczować się nimi, wykorzystać je jako usprawiedliwienie picia, wściekłości na świat, ucieczki od świata. Byłbym szczęśliwy, gdyby inni chcieli używać takich słów, jakie chcę słyszeć. Szansa, aby Emma albo ojciec mówili to, co chciałbym słyszeć, jest jednak taka sama jak to, bym nakłonił Jonaha do recytowania wierszy. Nawet gdyby jakimś cudem tata wyraził skruchę z powodu mojego zasranego dzieciństwa, a Emma zaczęła błagać, abym pozwolił jej do mnie wrócić, znalazłbym inne motywy stojące za ich słowami. Ale tylko patrząc mi w oczy albo przez kontakt fizyczny, Jonah informuje mnie bez słów o swoich prawdziwych emocjach i wierzę mu. Słowa tracą znaczenie, gdy nie wyraża się za ich pomocą własnej prawdy, i stają się bronią, gdy próbuje się nimi przekazać komuś jego prawdę. Dzięki milczeniu Jonah pozwala mi słuchać siebie – nie buduje muru ze słów, który trzeba pokonać, nie broni się słowami przed przekazywaniem prawdy o sobie. Muszę skorzystać z jego przykładu. Cisza pozwoli mi uniknąć wewnętrznego wołania o żal i karę. Gdy Emma oczyszcza gardło, ja próbuję oczyścić głowę.

– Niektórzy z państwa mogą mnie surowo osądzać za oddanie opieki nad synem jego ojcu i dziadkowi albo za odejście od męża.

Nie będę się usprawiedliwiać, ponieważ nie jestem w stanie sprawić, byście państwo wczuli się w moją sytuację, tak samo jak nie mogę sprawić, byście się wczuli w sytuację Jonaha – mogę jedynie opowiedzieć o sobie, na ile ma to związek z Jonahem, oraz o Jonahu, na ile ma to związek ze mną.

Wiem, że widzieliście państwo jego zdjęcie. Jest piękny. Gdy się urodził, wszyscy to zauważyli – tak, wiem, że każda matka uważa swoje dziecko za najpiękniejsze, jakie się kiedykolwiek urodziło, ale z Jonahem faktycznie tak było. Nie jest podobny do żadnego z nas, ani do mnie, ani do Bena, z wyjątkiem bursztynowych oczu dziadka wygląda jak ktoś całkiem nowy i jest całkowicie niepowtarzalny.

W czasie gdy się urodził, jedna z moich najbliższych przyjaciółek miała trzyipółletniego syna, który nie chciał mówić. Był trudny i dziwny, jego zachowanie irytowało i ze wstydem przyznaję, że było mi żal przyjaciółki. W jakiś sposób – tak przynajmniej wtedy sądziłam – wyciągnęła to z niego, wymusiła na nim, zażądała, aby mówił, i zaczął mówić. Z początku niewiele, ale wkrótce potem długimi, płynnymi zdaniami. Byłam zachwycona tym, czego dokonała, przy każdej możliwej okazji wychwalałam ją pod niebiosa. Chłopak, obecnie szesnastolatek, ma Aspergera, chodzi do

publicznej szkoły dla odpowiednio dobranych dzieci i jest wirtuozem pianina.

Nigdy nie sądziłam, że podążę tą samą ścieżką co ona, ale tak się stało. Pierwsze kamienie milowe Jonaha pojawiały się z dużym opóźnieniem, ale nie panikowałam – składaliśmy to oboje, Ben i ja, na karb tego, że jest duży i ciężki, śmialiśmy się i układaliśmy na ten temat wierszyki: „Ale gruby ten nasz malec, prawie jak drogowy walec, Jonah Jewell, Jonah Jewell”.

Nie o to jednak chodziło.

Nie mówił i nie chodził, nie bawił się z innymi dziećmi i wmówiłam sobie, że jest nieśmiały.

Niedługo przed ukończeniem drugiego roku życia wydusił z siebie pierwsze słowo. Przedtem oboje twierdziliśmy, że słyszeliśmy, jak wypowiada słowa, ale tylko się okłamywaliśmy. Tym razem było to słowo. Pierwszym słowem mojego syna, słowem, które rozjaśniło nasz świat, było: „bobel”. W łazience, gdzie byliśmy we troje, Ben zrobił kilka baniek mydlanych, by Jonah je zgniatał, i gdy oboje zaczęliśmy mówić „bąbel”, powtórzył. „Bobel, bobel, bobel”. Świat wrócił do normy. Po „bobel” przyszedł „nos”, potem jeszcze kilka innych słów, więc ruszyliśmy z kopyta.

Wypowiadanie słów skończyło się tak nagle, jak się zaczęło. Zdarzało się, że wypowiadał jakieś słowo raz i potem już nigdy, niezależnie od tego, jak bardzo go nakłaniałam, naciskałam, przypocholebiałam się mu czy nie dawałam mu ulubionego jedzenia. Potem zniknął „bobel” i Jonah zamilkł.

Takie rzeczy się nie dzieją. Gdy poznaje się jakieś słowo, zna się je, potem zna się dwa i trzy. Gdy zna się jedno słowo, pojawiają się następne, zaczyna się tworzyć zdania, mówić – to naturalne. Popadłam w rozpacz, ale Ben nie. Nie wiem, dlaczego był w stanie to zaakceptować, a ja nie. Miałam jednak do niego żal o to i zaczęłam szukać przyczyn. Od czyjej strony nadszedł ten koszmar? Nosicielami niszycielskiego genu byli Jewellowie czy Carlinsowie?

Gdy Jonah zaczął chodzić do przedszkola Northlea, stało się boleśnie oczywiste, jak bardzo różni się od pozostałych dzieci, ale w dalszym ciągu miałam nadzieję. Czasami nie ma nic okrutniejszego od nadziei.

Określono go tam jako „leniwego” i „mieszczącego się w szerokim paśmie przeciętnej inteligencji”. Płonne nadzieje. W trakcie spotkania, na którym miało zostać stwierdzone, co jest nie tak z moim pięknym synem, psycholog edukacyjny jednoznacznie stwierdził, że to nie autyzm, lecz globalne opóźnienie rozwoju². Jakże okrutny jest ten rodzaj nadziei. Opóźnienie – uczepiłam się tego słowa jak ostatniej deski ratunku. Opóźnienie – już w naturze tego określenia leży założenie, że stracony czas zostanie nadrobiony, że prędzej czy później Jonah osiągnie cel tak samo jak inne dzieci, ma tylko więcej przystanków po drodze. Prawdziwy Jonah w którymś momencie się pojawi, muszę być jedynie cierpliwa. Ben nie zgadzał się. Chciał jednoznacznego określenia w orzeczeniu, że Jonah ma zaburzenia ze spektrum autyzmu, i przez całe spotkanie domagał się potwierdzenia diagnozy, którą już poznaliśmy, ale w mojej głowie coś krzyczało: „Nie, nie! Chcę, aby był opóźniony. Zamknij się, człowieku małej wiary!”.

Ben w końcu wygrał. Nienawidziłam go za to, jakby diagnoza autyzmu skazywała Jonaha na wieczny pobyt w poczekalni. Ben podarł mu bilet na pociąg.

Mój syn został oficjalnie uznany za osobę autystyczną i przeniesiono go do Roysten Glen. Szkoły specjalnej. Sama nazwa wywoływała we mnie mdłości. Widywałam nieraz autobusiki z dziećmi patrzącymi tępo przez okna i zawsze, zażenowana, odwracałam wzrok. Niepełnosprawność mnie żenuje. Po pierwszym przyjeździe autobusu po Jonaha płakałam.

W dalszym ciągu wmawiałam sobie, że mój syn jest opóźniony, pochodzi do Roysten Glen rok, doprowadzą go do porządku i wróci do Northlei. Autobus przyjeżdżał jednak dzień po dniu i Jonah nie wrócił do poprzedniej placówki.

Potem, niczym gang sprzedajnych, pazernych ewangelistów, zaczęli pojawiać się szarlatani z programami, obietnicami i sążnistymi fakturami. Handel fałszywymi nadziejami jest takim samym biznesem jak każdy inny. To było sześć lat temu. Obserwowałam, jak mój syn zmienia się z pięknego cichego dziecka pachnącego kupą i szamponem dla dzieci, w pięknego cichego chłopca pachnącego kupą i szamponem dla dzieci, który lada chwila będzie nastolatkiem.

Pod koniec zeszłego roku trybiki wreszcie zaskoczyły. Jonah ma autyzm, nigdy nie będzie mówił. Bycie obiektem ataków, drapanym i dżganym, ciągły zapach odświeżacza powietrza w domu działa jak serum prawdy. Po dziesięciu latach zaprzeczania, żalu i milczącej złości postanowiłam o niego zawalczyć, na co zaczęto mi powtarzać raz za razem, aż nie byłam w stanie tego wytrzymać, że tak naprawdę on się nie liczy. Wszystko, co nam mówiono, sprowadzało się do tego, że nasze dzieci dziesiątkuje epidemia, ale wolimy udawać, iż nie ma lekarstwa, niż wydawać pieniądze na jego podawanie.

Czy ktoś z państwa wie, jak czuje się matka, która ma świadomość, że jej dziecko nigdy nie powie do niej „mamo”?

Nigdy nie byłam w stanie dzielić się swoimi emocjami z Benem. Może w tym właśnie tkwi największa ironia stanu Jonaha. Nie tylko odebrał mu on możliwość mówienia i komunikacji w sposób, jakiego się oczekuje od człowieka, ale także odebrał otaczającym go osobom umiejętność przyznawania się przed sobą nawzajem do bólu.

Kocham mojego syna. Niektórzy może w to wątpią, ale tak jest. Chcę zawsze być obecna w jego życiu.

Chcę jednak także, aby ktoś inny przejął wstyd, jaki czuję od dziesięciu lat i – przede wszystkim i po prostu – chcę patrzeć, jak moje dziecko sika w toalecie. Dziękuję państwu za uwagę.

Zatkało mnie. To wstyd, ale nigdy nie zadałem jej odpowiednich pytań i nigdy nie dotarło do mnie, że może cierpieć podobnie jak ja. Słuchałem, jak krzyczy, i patrzyłem, jak płacze, ale mierziło mnie to. Słuchałem, ale nie słyszałem. Jej słowa były jedynie szumem w tle, popiskiwaniami mew nad wysypiskiem śmieci, ciągłym alarmem samochodu. Cokolwiek bym powiedział, nie dodam nic więcej do wyrazistego portretu jej życia – naszego życia – z Jonahem, bo mogłoby to zostać odebrane jako próba wybielania się.

– Panie Jewell, czy chciałby pan coś dodać?

Wstaję niepewnie. Czuję się jak głupek i oszust. Muszę jednak przedstawić go tak dobrze, jak na to zasługuje. Mojemu wspaniałemu, wycieńczającemu, przerażającemu, łatwemu do zranienia, przepięknemu synowi. Odchrząkuję.

– Ponieważ Jonah nie mówi, nie może nikomu powiedzieć, co sądzi o życiu. Dlatego muszę użyczyć mu głosu. – Wyciągam z kieszeni kartki. – Wygląda na to, że nazywam się Jonah Jewell. Wiem to, ponieważ ciągle powtarzają te dźwięki, patrząc na mnie, albo gdy odchodzę gdzieś, by pobadać okolicę. Fascynuje mnie światło, zwłaszcza gdy rozbija się na różne kolory albo odbija się od trzymanego blisko oka liścia.

Tak naprawdę nie wiem, czym jest czas, ale gdy nie ma światła i nie mogę badać, lubię bawić się wodą i bąbelkami i unosić się w jej ciepłe, aż on, znaczy się tata, powie mi, że czas wychodzić. Nie zawsze wychodzę, gdy mi każe, ale siedzi i czeka na mnie, i gdy stoję na ręczniku, owija mnie nim, wyciera i mocno przytula. Robi to chyba dlatego, że wie, że to lubię, i sądzę, że on też to lubi, bo gdyby tego nie lubił, bałbym się, że na zewnątrz znowu jest widno i wszystko jest nie tak, jak powinno być.

Gdy jestem suchy, pozwala mi pobiec do mojego pokoju i wskoczyć na łóżko i włącza moją muzykę. Wiem, że jest moja, bo zawsze jest ta sama, co oznacza, że wszystko jest jak należy. Potem zapala moje kręcące się światło w akwarium, kładę się na łóżku i przyglądam się obracającym się kolorom, co mnie uspokaja, a on bierze ręcznik i wyciera mi plecy. Czasami – gdy jestem w nastroju – trze mi plecy, nogi i pupę dłonią, co czasami łaskocze, na co się śmieję. On też się śmieje i naprawdę to lubię. Gdy mam dość, bierze pieluchę, a ja kładę się na plecach i podnoszę pupę, aby mógł wsunąć pieluchę. Potem bierze trochę zimnego, białego kremu i rozsmarowuje mi go dookoła siusiaka, u góry nóg i po pupie, co czasami też doprowadza mnie do śmiechu. Wiem, że robi to, ponieważ w nocy sikam i robię kupę, i gdyby mnie nie nakremował, skóra by się poobcierała, ale nikomu o tym nie mówię. Potem zakłada mi piżamę, podciągam kołdrę pod brodę, zaczynam patrzeć na akwarium, a on całuje mnie cztery razy, gasi światło i wreszcie mogę odejść tam, gdzie mam ochotę. To dla mnie najlepszy czas.

Gdy ponownie widzę światło, budzę się i spotykamy się w pokoju z wodą i bąbelkami. Pielucha jest ciężka, nie chcę jej więcej, i on to robi jako pierwszą rzecz, gdy znowu nalewa się woda i bąbelki. Czasami tyle sikam i robię kupę w nocy, że wycieka do łóżka, co go denerwuje, czasami wsuwam rękę w pieluchę, bo jest w niej ciepła maść, którą można robić rysunki na ścianach, ale wtedy czasami na mnie krzyczy. Czyści mi pupę mnóstwem mokrych chusteczek i wkłada mnie do wanny. Potem mnie wyciera i szybko ubiera, żebym mógł zejść na dół na tosta z marmite, a jeżeli nie ma marmite, to rzucam talerzem przez kuchnię, bo na śniadanie dostają tosta z marmite. Skaczę i ciągnę go za rękę, bo na śniadanie dostają tosta z marmite, potem wbijam mu paznokcie w twarz i łapię za włosy, bo na śniadanie dostają tosta z marmite, i nie chcę puścić, na co otwiera drzwi od tyłu i wypycha mnie do ogrodu, gdzie biegam i krzyczę, bo na śniadanie dostają tosta z marmite. Potem drzwi się otwierają, wbiegam do środka, a na stole stoi tost z marmite, więc siadam i jem go, ponieważ to dostają na śniadanie, a on siedzi na podłodze, obejmując głowę rękami.

Po skończeniu tosta z marmite wyciągam z lodówki winogrona i zjadam je, i toczę je palcami stóp po podłodze, i rozgniatam, ponieważ lubię zimno i lepkość i sądzę, że to część mojego śniadania, ponieważ on siedzi na podłodze i obejmuje głowę rękami. Po śniadaniu sadza mnie na toalecie, a ja bawię się liściem, który znalazłem na podłodze, po czym on zdejmuję mnie z toalety, zakłada mi nową pieluchę i jak tylko ta zaciska się

wokół mnie, czuję, jak robi się mokra i ciepła. Potem rozlega się dzwonek, który oznacza, że będę w innym miejscu, na co on bierze moją torbę, otwiera drzwi i ona stoi uśmiechnięta, bierze moją torbę i idziemy do autobusu, w którym siadam na moim miejscu, bo zawsze tam siadam. Na fotelach są inni, ale wszyscy siedzą po jednym na siedzeniu podwójnym. Ktoś krzyczy i bola mnie od tego uszy, więc zatykam je palcami.

Wiem, jak autobus jedzie, i śledzę każdy jego zakręt, ale nagle skręca w złą stronę, przez co kręci mi się w głowie i niepokoję się, bo autobus tak nie jeździ, więc łapię dziewczynkę przede mną za włosy, na co ona zaczyna krzyczeć, łapie mnie za rękę, po czym siada obok mnie i próbuje odepchnąć moje palce, ale nie lubię, jak się mnie dotyka, i autobus ciągle źle jedzie, ale potem znowu jedzie dobrze, widzę drzewa, których dotyka, i znowu jestem w drodze do innego miejsca, więc siedzę cicho, po czym wysiadam z autobusu i idę do mojego pokoju, który jest moim pokojem, bo chodzę tam, gdy jest widno, a na drzwiach jest moje zdjęcie.

Bardzo się denerwuję, gdy ktoś każe mi robić coś, czego nie chcę robić, i wtedy uderzam w coś głową i gryzę dłoń, aż dobrze wszystko czuję, a gdy to się stanie, ktoś zanosz mi do pokoju, gdzie jestem sam, i zostawia mi z czymś, co można obracać w dłoniach, aż się uspokoję. Czasami wypuszczają mi na zewnątrz, gdzie czuję się najlepiej, ponieważ mogę tu być sobą i znajdować liście i pióra, i czuć na twarzy wiatr, i doprowadza mi to do śmiechu.

Jeśli czegoś chcę, nie mogę sobie tego wziąć, lecz muszę pokazać komuś obrazek z tym, co chcę. Ale jeśli czegoś chcę, to chcę, dlaczego więc nie mogę tego po prostu mieć? Czasami znajduję dobry rysunek, ale czasami daję rysunek i nie dostaję tego, co chcę, i muszę dać inny rysunek i nie rozumiem, dlaczego nie mogę dostać tego, co chcę, choć dałem rysunek, więc gryzę się znowu i jeśli ktoś podejdzie za blisko, łapię go, żeby dali mi to, co chcę. Czasami po prostu łapię to, co chcę, i uciekam, po czym ktoś mi to zabiera, a wtedy ja ciągnę ich za włosy i wbijam w nich paznokcie. Jestem teraz zły i nie wiem, jak przestać być złym, bo nie wiem, co to jest złość ani skąd się bierze, i wtedy czasami leci mi z oczu woda, i przestaję być zły, i czuję się lepiej.

Jeśli jestem głodny, bardzo głodny, siadam przy stole i stawiane są przede mną różne rzeczy, a jeśli ich nie chcę, bo mają zły kolor albo kształt, rzucam je na podłogę i jem to, na co mam ochotę, ale jestem dalej głodny. Biorę to, co lubię, z innego talerza, bo właśnie to lubię, a jestem głodny, i jeśli ktoś mi to zabiera, to rzucam talerzem i wszystkim w powietrze i próbuję łapać inne jedzenie, które lubię, ponieważ ciągle jestem głodny, a gdy jestem głodny, chcę jeść, więc dlaczego nie mogę jeść, gdy jestem głodny? Jedzenie mi uszczęśliwia. Czasami, zanim mogę jeść, ktoś wkłada mi do ręki widelec albo łyżkę, ale wtedy jestem bardzo, bardzo głodny i chcę jeść, a mogę to robić szybciej palcami, więc rzucam widelec albo łyżkę na podłogę i używam palców, ponieważ jestem głodny i tym razem użyję palców, co jest dobre, bo szybsze od jedzenia widelcem albo łyżką, a poza tym lubię dotyk jedzenia.

Jeśli jestem trochę głodny, ktoś zabiera mi z powrotem do mojego pokoju i każe mi robić kolejne rzeczy, na które nie mam ochoty, więc znowu walę głową i gryzę dłoń. Potem wkładam kurtkę, co znaczy, że znowu się z nim zobaczę, znów wsiam do autobusu i siadam na moim miejscu, bo tam siadam zawsze, autobus się zatrzymuje i ktoś

wysiada, i też chcę wysiąść, bo wysiadam, kiedy autobus się zatrzymuje, bo to jest tam, gdzie on jest, ale wysiada ktoś inny, więc gryzę się w dłoń i walę głową, aż ją czuję, wtedy moje nogi robią się gorące i mokre, co jest miłe, wtedy autobus się zatrzymuje i wysiadam, ponieważ wysiadam, kiedy autobus się zatrzymuje, i on stoi obok autobusu, mijam go i wbiegam do domu, otwieram drzwi, gdzie jest jedzenie, biorę jabłko i kromkę chleba i idę do ogrodu. Potem on wychodzi do ogrodu i rozbiera mnie, wyciera mi nogi i pupę mokrymi chusteczkami i zakłada mi pieluchę i ciepłe miękkie spodnie, całuje mnie w głowę i twarz i pozwala mi biegać dookoła, co lubię najbardziej, bo jest cicho i mogę zrywać trawę, liście i kwiaty, by obracać nimi w dłoni i jestem sam, i robię to, aż on zawoła „Jonah” i wtedy wiem, że będzie jedzenie, ponieważ tak zawsze się dzieje, więc wbiegam do środka i siadam przy stole, a on daje mi talerz jedzenia, które lubię, bo zjadam wszystko. Czasami chcę jeszcze pobyc w ogrodzie, więc łapię jedzenie rękami i wybiegam na zewnątrz, co jest dobre, bo on mnie nie powstrzymuje, ale jak chcę iść na kanapę i dalej chcę jeść, i łapię jedzenie w ręce, i biegnę na kanapę, on krzyczy na mnie, ale jestem głodny i chcę usiąść na kanapie, więc to robię.

Kiedy już wcale nie jestem głodny, wracam do ogrodu, aż światło zniknie, a on włącza dla mnie obrazki, bo robi to, kiedy światło zniknie, a ja siadam na kanapie, jem jabłko i oglądam obrazki. Kiedy robi się bardzo ciemno, znowu mówi „Jonah” i idę na górę, ponieważ kiedy jest bardzo ciemno, a on woła „Jonah”, nadchodzi czas na gorącą wodę i bąbelki, i uściski, i muzykę, i światło do akwarium, i łóżko, i to znowu najlepszy czas.

Natychmiast uświadamiam sobie ciszę.

Sędzina przerywa czar.

– Dziękuję panu. Jestem świadoma późnej pory i konieczności udania się pana Jewella do ojca. W związku z tym przyjmę mowy końcowe obu adwokatów na piśmie, powiedzmy jutro do piętnastej. To do przyjęcia? Świetnie, w takim razie zamykam posiedzenie. Panie Jewell, pani Jewell, trybunał ogłosi wyrok w ciągu trzech tygodni.

1 W profesjonalnej wersji barmańskiej napój ten składa się z kawy, wódki, likieru kawowego, śmietanki i amaretto.

2 Terminem tym określa się opóźnienie rozwoju występujące w przynajmniej dwóch sferach rozwoju z pięciu istniejących (rozwój umysłowy, rozwój społeczno-emocjonalny, rozwój ruchowy, rozwój mowy, rozwój umiejętności wykonywania czynności życia codziennego).

Obcy

Nie mam czasu na rozmowę z Emmą. Jedyne się obejmujemy, ulga uzewnętrznia się drzeniem rąk i nóg. Walka została zakończona – przynajmniej ta prawna. Po wyjściu na świeże powietrze moje myśli uwalniają się z klatki „Jonah” i kierują ku gasnącemu ojcu.

– Pożegnałam się z Georgiem, ale ucałuj go ode mnie – mówi Emma.

Kiwam głową. „Żegnaj” – to nieistotne słowo. Próbuję się przekonać, że ten dzień z pewnością skończy się tak samo jak każdy inny. Tylko tak jestem w stanie dodać sobie teraz otuchy.

Hospicjum jest przytłaczającym miejscem. Pełno tu umierających i zrozpaczonych, a wymuszone rozmowy z krewnymi w nieunikniony sposób zmieniają się w analizę prędkości rozrostu raka, dyskusję o chemioterapii, radioterapii, podawaniu eksperymentalnych leków oraz za i przeciw grzebania w trumnie i kremacji.

Irytująco czcigodna atmosfera tego miejsca jeszcze bardziej musi przypominać znajdującym się tu osobom, że umierają – a przynajmniej by to robiła, gdyby większość z nich nie leżała nieprzytomna od morfiny.

Tata ma izolatkę – zaszczyt przysługujący tym, którzy są najbliżej śmierci, nie element prywatności. A więc koniec się zbliża. Bez włosów i brwi wygląda, jakby już był jedną nogą na tamtym świecie, jak obcy, którego zaraz zawiozą do Roswell na sekcję. Ma zamknięte oczy. Przysuwam krzesło i siadam przy łóżku, mniej więcej na wysokości jego tułowia, obserwując unoszenie się i opadanie cienkiego prześcieradła, którym przykryto to, co jeszcze z niego zostało. Lewa strona szyi jest dziwnie purpurowa i tak opuchnięta, że głowa wygląda niczym pestka brzoskwini osadzona na bakłażanie.

– Dobrze poszło?

Słowa są ledwie słyszalne, bo przez krtań przepływa bardzo mało powietrza – zadbał o to nowotwór – ale najwyraźniej morfina pozwala, by przeszło dostatecznie dużo.

– Adwokat jest bardzo optymistyczna, mamy dostać wyrok za trzy tygodnie.

– Trzy tygodnie? Wracaj...

– Tato... – zaczynam, on jednak znowu odpłynął. Wpatruję się w wiszący na stojaku worek z płynem, którego zawartość ma mu zapewnić sen, spokój i nieodczuwanie bólu.

Zanim odpłynie daleko i głęboko, udaje mu się sklecić jeszcze trzy słowa.

– Przeprowadź mi Jonaha.

Gdy przywożę Jonaha, okazuje się, że jest już Maurice i prawi kazanie lekarzowi. Udaję, że go nie znam, i idę z Jonahem do poczekalni dla rodzin, gdzie w telewizji włączony jest (na szczęście) kanał CBeebies. Podaję mu jabłko, rozwala się na wodoodpornej turkusowej kanapie i wbija wzrok w Mr Tumble'a.

– Ben! – woła Maurice, który stoi w drzwiach. – To nie miejsce dla chłopaka.

– Jeśli masz na myśli Jonaha, to tata chce się z nim zobaczyć, a ponieważ to on umiera, sądzę, że należy spełnić jego życzenie. Nie uważasz?

Maurice unosi dłoń w geście obrony i zaciska powieki, by powstrzymać łzy, co mu się nie udaje.

Patrzę na Jonaha, który siedzi jak zahipnotyzowany przed telewizorem.

– Sprawdzę, czy się obudził – mówię. – Maurice, popilnuj przez chwilę Jonaha.

– Nie sądzę...

Mówi to do moich pleców. Potrzebuję więcej czasu sam na sam z ojcem.

Nie chcę sobie wyobrazać, co ma mi do powiedzenia, nie chcę pogodzić się z tym, że są pewne sprawy, o których chciałbym usłyszeć od niego, zanim odejdzie. Gdy wchodzę, leży w lekko uniesionej pozycji, z długopisem w lewej ręce i książką na udach, na której leży kawałek szpitalnego papieru do robienia notatek. Siadam obok na małym foteliku. Powieki ma lekko przymknięte, a ze względu na ilość morfiny w jego organizmie, wysiłek i skupienie, jakie musi zaangażować w pisanie, jego oczy są ogromne. Długopis wypada mu z ręki i tata znów zasypia. Rak zniszczył mu charakter pisma. Skomplikowane, pochylone w prawo pismo, które zawsze podziwiałem, zmieniło się w niepewne, drżące pismo czterolatka, któremu kazano pisać podczas jazdy metrem. Notatka jest przeznaczona dla mnie.

Ben

Nie zapomnij

Czego mam nie zapomnieć? Mam ochotę klepać go po twarzy albo chlusnąć mu w nią wodą, aby się obudził i mi powiedział. Chcę poznać drugą część wiadomości. Opieram dłonie na skraju materaca, a podbródek na dłoniach i niczym łamacz szyfrów w Bletchley Parku zaczynam kalkulować możliwe permutacje. Próbuję wyobrazić sobie ojca wypowiadającego bezgłośnie słowa, jego dziwną składnię, specyficzne słownictwo, by wyrazić to, co dotychczas ukrywał... Długopis znowu zaczyna drapać po papierze, a każda litera powstaje tak wolno, że nie da się tego wytrzymać. Odwracam się, wstaję i idę do okna. W Hampstead pada, kolejny element budujący nastrój wysokiej klasy kreatywnej melancholii.

Długopis przestaje drapać i tata znowu odpływa. Wracam na fotel, biorę kartkę z jego kolan i czytam. Muszę przeczytać to jeszcze raz i jeszcze raz, po czym wybucham głośnym śmiechem. Śmiech jest naprawdę spontaniczny, bez cienia gorzkości, wiadomość stanowi bowiem wspaniałą, ostateczną puentę.

Ben

Nie zapomnij

odebrać zwrotu podatku koniec października

Jonah w dalszym ciągu siedzi przyklejony do telewizora, tyle tylko że twarz i koszulę ma całe w różowym jogurcie. Maurice siedzi wciśnięty niewygodnie w mały skajowy fotelik i czyta.

– Skąd miał jogurt?

– Słucham?

– Maurice, skąd Jonah wziął jogurt?

– Nie wiem. Z lodówki?

– Nie wiesz. Miałeś go pilnować.

– Pilnowałem.

– Więc jak to się stało, że jest cały w jogurcie?

– Patrzyłem za nim, gdy szedł do lodówki.

Biorę z torby Jonaha mokre chusteczki i czyszczę go, na ile się da.

– Co z Georgiem?

– Idź i sam zobacz.

– Nie. Nie chcę go zapamiętać w takim stanie.

– W jakim? Żywego?

– Panie Jewell?

Obaj się odwracamy na głos pielęgniarki.

– Pański ojciec jest przytomny i chciałby zobaczyć Jonaha.

– Będziemy za chwilę. Maurice? Idziesz z nami?

Maurice nie odpowiada.

Jonah staje jak wryty przy sterylnych drzwiach, ale jabłko i pióro łagodzą jego irytację.

– Jonah, dziadek chce się z tobą zobaczyć. Chodź, usiądziesz przy nim.

Jonah podchodzi do fotelika przy łóżku i opada na niego, po czym podskakuje kilka razy, gdy sprężyny odbijają. Ja stoję w głębi, na uboczu, opierając się o chłodne okno. Obserwuję ojca – niewiele zostało w nim życia, a to, co jeszcze się tli, zdaje się skupiać w lewej ręce i szarych palcach, którymi bohatercko sięga po wnuka.

Jonah pochyla się do przodu i kładzie głowę na materacu, tuż obok dłoni taty. Palce pełzną po głowie Jonaha niczym nogi pajaka, znikają w jego włosach, po czym zaczynają gładzić go ledwie dostrzegalnym ruchem. Wiem, jak to jest gładzić Jonaha po głowie i czuć, że się przed tym nie wzdraga. W takiej chwili nabieram pewności, że odwzajemnia moją miłość, że – jak powiedział tata – każde słowo to stworzone w określonym celu drobne kłamstwo, a fizyczny, sensoryczny świat, w którym mieszka Jonah, to najczystsza postać prawdy, jaka istnieje.

Jonah leży w całkowitym milczeniu. Jeszcze nigdy nie widziałem, by zachowywał się tak cicho.

Mija godzina, w trakcie której nikt nie drgnął. Oddech ojca spłynął się i stracił rytm, Jonah zamknął oczy i cicho pochrapuje, twarz wykrzywił mu uśmiech.

Wchodzi pielęgniarka i się uśmiecha. Sprawdza oddech taty, bada mu tętno, zagląda w oczy.

– To może nastąpić w każdej chwili – mówi delikatnie. – Jest spokojny. Chce pan, abym została?

– Poproszę, ale mogłaby pani przedtem zawiadomić Maurice’a? Jest w poczekalni.

– Oczywiście – odpowiada i wychodzi. Wraca po minucie, sama. – Dla niektórych tak jest łatwiej.

Koniec następuje szybko, z niemal nieuprzejmym pośpiechem. Pielęgniarka mówi zdawkowe „odszedł”, zapisuje czas zgonu i zostawia nas samych, byśmy się pożegnali. Palce taty ciągle obejmują głowę Jonaha. Delikatnie głaszczą go po twarzy, by się obudził. Siada. Oczy ma zaczerwienione od snu.

– Dziadek odszedł – mówię.

Jonah wspina się na łóżko, aż jego twarz znajduje się dokładnie nad twarzą taty, i wpatruje się w jego martwe oczy – na ten widok tama we mnie pęka i zaczynam głośno szlochać. Jonah schodzi z łóżka i podbiega do mnie podskokami, śmiejąc się przy tym.

Ujmuję jego dłonie i zaczynam podskakiwać razem z nim, też się śmieję, i okrążamy pokój w szalonym tańcu, podczas gdy tata leży martwy na szpitalnym łóżku i nie wyobrażam sobie innego rytuału, który by lepiej uhonorował jego odejście.

Żarówka

Ojciec zostawił dyspozycję, aby go skremować oraz – dowcipniś jak zawsze – obsypać jego prochami Margaret Thatcher.

Ceremonia spalenia nie ściągnęła wielkiego grona: Jonah, Maurice i ja, kumple od pokera, kilku wiekowych trockistów i samotna, trzymająca się nieco na uboczu, kobieta. Emma? Nie opuszczę ławki, w której siedzę, więc nie mogę sprawdzić, a jestem zbyt przerażony, by dobrze się rozejrzeć. Gdy tania trumna z płyty wiórowej wjeżdża na taśmociąg do pieca, niczym zapomniana nagroda z „Generation Game”¹, z głośników leci podrywające na nogi nagranie *Międzynarodówki*.

Na szczęście nie muszę wygłaszać mowy pogrzebowej, ponieważ miałbym do powiedzenia same banały, a Jonah... no cóż, to Jonah. Obowiązek zostaje więc powierzony Maurice’owi – choć raczej należałoby powiedzieć, że przejmuje go na wyraźne żądanie. Jak na jego standardy, jest ubrany odpowiednio do okazji – w wyświechtany trzyczęściowy garnitur, który nigdy nie był w pralni. Gdy idzie przejściem w kierunku mównicy, zamykam oczy. Ciągąca się za nim słodka woń, wydobywająca się z kadzielnicy, którą macha, zamienia spelunę do grillowania z czerwonej cegły w synagogę.

Jonah siedzi, kręcąc w palcach liście – przysłany z klubu kręglarskiego wieniec powinien wystarczyć mu na godzinę.

Pastor pomaga Maurice’owi wejść na podnózek dla niższych mówców i cicho wyjaśnia mu, gdzie należy umieścić mikrofon. Maurice kładzie niedopałek cygara obok mikrofonu, sięga do kieszeni i wyciąga plik kartek z oślimi uszami. Jego wzmocnione przez mikrofon kasznięcie brzmi jak ryk lwa na czołówce wytwórni MGM.

– Dziękuję, rabinie.

Pastor szepce mu coś do ucha.

– Nie jest pan rabinem? To czym? Praktykantem?

Pastor znów się do niego pochyla, choć tym razem nieco dalej od ucha.

Maurice wbija wzrok prosto we mnie.

– *Schnorrer*². Kadisz też będę musiał wygłaszać? Nieważne.

– No cóż, jakim człowiekiem był Georg Jewell? Nie martwcie się, to nie teleturniej, zaraz wam powiem. Georg, Georg, Georg – nienawidziłem go jak brata, ale cóż można zrobić? Nie da się wybrać rodziny, tak samo jak nie da się wybrać wielkości *szlonga*³. A Georga znienawidziłem od pierwszego wejrzenia, ponieważ choć byłem starszy, on był większy i silniejszy. Byliśmy dwoma wychudzonymi dzieciakami, którym jeszcze kilka lat brakowało do bar micwy, rozmawiającymi w różnych językach – ja po niderlandzku, on po węgiersku – dwoma chłopakami, którym udało się przeżyć czasy hitlerowców, a którzy spotkali się przypadkiem na torze kolejowym w czterdziestym czwartym roku.

Georg zaproponował, że podzieli się ze mną jedzeniem, i co zrobiłem? Tak głodny, że jadłem tylko trawę? Zgodziłem się. A Georg? Georg wzruszył ramionami, złamał chleb i ser na pół, usiedliśmy na trawie na poboczu drogi i poszliśmy spać. Pokochałem go za to, ale zaufanie – zaufanie to całkiem co innego. W zwykłych warunkach zostawiłbym go na poboczu.

Dwa tygodnie później w dalszym ciągu byliśmy razem – maszerując jak para *sztummers*⁴ i gadając na migi. Nie mogłem go zostawić. Dlaczego? Do dziś się zastanawiam. Nienawidziłem go za akt szczodrości, nie umiałem jednak odejść.

Kilka razy próbowałem, odchodziłem, gdy jeszcze spał, ale z jakiegoś powodu zwalniałem i zatrzymywałem się, aż pojawiał się w oddali, a gdy mnie doganiał, ruszaliśmy dalej, nie zamieniając słowa. Nigdy nie zapytał, dlaczego odszedłem. Nigdy go nie zapytałem, czy jest na mnie zły. Wiele razy dołączali do nas inni włóczędzy – na dzień, czasem na tydzień – i gdy z nami byli, czułem straszną zazdrość. Śniłem, że morduję ich we śnie – nikt jednak z nami nie został, a myśmy w dalszym ciągu nie rozmawiali.

Próbował ze mną po węgiersku, ja z nim po niderlandzku, próbował ze mną w jidysz, ale mówię ladino⁵, tylko Żydzi mogli wymyślić więcej niż jeden tajny język. Któregoś dnia przechodziliśmy przez małe francuskie miasteczko – nie pamiętam, jak się nazywało – w którym była biblioteka, a ja – złodziej z konieczności – wślizgnąłem się do środka i ukradłem książkę. Słownik francusko-angielski, najważniejsze jednak, że dla dzieci. Z obrazkami. Pozostała już tylko jedna decyzja: francuski czy angielski. Mogliśmy się oczywiście nauczyć obu języków, wybraliśmy jednak angielski, bo naszym celem była Ameryka. Chyba się domyśliliście, że tam nie dotarliśmy.

Nauczenie się podstaw nie zajęło nam wiele czasu. Idąc, a także leżąc popołudniami pod jakimś drzewem, ćwiczyliśmy słowa, a potem zdania.

Nie mieliśmy oczywiście pojęcia, czy wypowiadamy je prawidłowo, bo skąd mielibyśmy to wiedzieć? Zresztą używaliśmy słów tylko do ćwiczenia tego, co powiemy po przyjeździe do Ameryki, mieliśmy już bowiem wtedy język, który doskonale nam służył bez konieczności używania słów: język serca.

Maurice przerywa i kładzie głowę na mównicy. Gdy znowu ją podnosi, oczy ma pełne łez.

– Prawda jest taka, że Georg uratował mi życie więcej niż jeden raz. Drugi raz miał miejsce siódmej nocy, odkąd się spotkaliśmy, gdy schowaliśmy się w stodole. Zdawało nam się, że jest pusta, i żaden z nas nie spodziewał się spotkania z niemieckim żołnierzem, bez wątpienia dezertorem, ale tak się stało. Pojawił się znikąd, gdy leżeliśmy na słomie, i nagle do chudej szyi miałem przystawiony nóż i byłem wleczony do wrót. Byłem przerażony, za to Georg? Wstał i przyglądał się, potem, trzymając ręce za plecami, ruszył w naszą stronę. Czułem kapiący mi na głowę pot Niemca. W stodole było mroczno, ale gdy dotarliśmy do wrót, księżyc oświetlił nas od tyłu, a Georg poruszał się tak płynnie, że hitlerowiec nic nie zauważył.

Szwab po prostu się osunął, jakby wyrwano mu kości pomiędzy mięśni. Georg trafił go prosto między oczy starym, zardzewiałym ostrzem pługa.

Wiem, że po tym, co się stało, byłem dla niego ciężarem i że sam miałby większe szanse, więc po wielu latach zapytałem go: „Georg, dlaczego mnie nie zostawiłeś?”, na co odpowiedział: „Wszystko powyżej jednego to za dużo. Strata jednej osoby jest bolesna, strata dwóch boli jeszcze bardziej, a strata trzech to duży ból. Każdy potrzebuje nieco bólu, a ty jesteś takim bólem – więc nie mogę sobie pozwolić na stracenie cię”. I nigdy tego nie zrobił. Teraz ja straciłem jego i powiem ci, Georg: myliłeś się, strata jednej osoby

jest bardzo, bardzo bolesna.

Zaczyna płakać, co do niego nie pasuje, a ja siedzę przytłoczony tym, co powiedział, wpatruję się w drzwiczki pieca, podczas gdy puzzle mojego życia z tatą giną w płomieniach, niedokończone. Gdy Maurice wraca do ławki, wstaję i próbuję objąć go ramieniem.

– Maurice, kiedy uratował cię po raz pierwszy?

Zrzuca moją rękę, po czym ze starego hebrajskiego modlitewnika zaczyna intonować kadisz – hebrajską modlitwę za zmarłych, a ja próbuję dotrzymać mu kroku, używając ściągniętej z Internetu transliteracji:

Jitgadal wejtkadasz szemeh raba...

Po końcowym „Amen” grupka się rozprasza i przechodzi w głąb salki. Jonah siedzi tak, jak siedział cały czas. Oberwał wieniec do drutu, zasłał podłogę liśćmi i kwiatami.

Uściski rąk zajmują pięć minut, ale mam wrażenie, że mija wieczność. Nie jestem jednak w stanie ruszyć z powrotem do samochodu, więc – pozwalając Jonahowi badać kolejne wieńce – idę powoli wzdłuż krwistoczerwonej ściany i czytam nazwiska na pamiątkowych plakietkach. Każda religia ma tu trochę miejsca dla siebie, co widać po subtelnych wariacjach nazwisk: Stephenson, Singh, Shah, Stein. Przebiegam je wzrokiem od góry do samego dołu, szukając znajomych – żydowskiej geografii śmierci.

– Twoja kuzynka chodziła z Markiem Bolanem, prawda?

Odwracam się od plakietki z nazwiskiem legendy rocka.

– Tak, gdy jeszcze nazywał się Marc Feld. Ale mówiłem ci to już sto razy.

Emma uśmiecha się.

– Przynajmniej tysiąc.

Pozwalam, aby cisza wypełniła przestrzeń między nami, zastąpiła napięcie ukłuciami pamięci.

– Milion.

– Trylion – odpowiada Emma.

– Wygrałaś.

– Nikt nie wygrywa.

Stoimy obok siebie i przyglądamy się plakietce.

– Bardzo mi przykro z powodu Georga, Ben.

Czuję jej oddech na uchu, mało brakuje do dotyku, pierwszego od dziewięciu miesięcy.

– To musi być trudne. Mam na myśli smutek.

– Było wiele wywołujących smutek spraw, Emmo.

Słyszę westchnienie i w moją dłoń wsuwa się inna dłoń. Mała i natarczywa. Jonah. Chce stąd iść.

– Możemy porozmawiać, Ben? Teraz?

– Jeśli nam pozwoli.

Do środka przebija się słońce, mam więc pretekst, by założyć okulary przeciwsłoneczne. Poddaję się szarpaniu Jonaha i gdy zaczyna mnie prowadzić, okazuje się, że trzyma też za rękę Emmę – prześliczny chłopiec z rodzicami, cóż mogłoby być bardziej naturalne?

– Wie, dokąd iść? – pytam.

– Wiesz, gdzie iść, prawda, Jonah? Idziesz do parku – mówi Emma.

Park, którego nie znam, a przynajmniej taki, w którym nigdy z nim nie byłem.

– Idziesz do parku Goldstream? – upewnia się Emma. – Georg zwykł go tam zabierać. Czasami się tam z nim widywałam.

– Czasami?

– Dość regularnie.

– Łańcuch wyjątkowych splotów okoliczności?

– Dokładnie.

Jonah uwalnia dłonie i idzie kilka kroków przed nami. Zaprogramował nawigację i wykonujemy jego instrukcje niczym roboty.

W bramie przyspiesza i zaczyna truchtać, przyciskając ramiona do boków. Zaczynam go gonić.

– Zostaw go, Ben. Wiem, dokąd biegnie. Do ogrodu wodnego.

Wiatr niesie do nas śmiech Jonaha, wysoki i radosny, niemal niedowierzający – jakby był najszczęśliwszym człowiekiem na świecie, jakby stało się coś tak zdumiewającego, że jego ciało zostało pozbawione ciężaru, odrzucona do tyłu głowa chłonęła świat, a nogi przyzwyczajały się do przejścia od truchtania do klusu. Pozostało mu już tylko pofrunąć.

Ogród wodny to wielki krąg jaskrawo zabarwionej masy gumowo-bitumicznej, ukształtowanej w mozaikę morskich stworów: słoni morskich, rozgwiazd, delfinów, pomiędzy którymi króluje gigantyczna żółta ośmiornica. Między stworami zamontowano mnóstwo uruchamianych dotykowo fontann, które po naciśnięciu wystrzelują wysoko w górę szerokie strumienie wody. Powietrze wypełniają rozpryskująca się woda i przeszywające uszy piski dwu- i trzylatków. Dookoła kręgu rośnie trawa i stoją ławki. Siadamy na jednej z nich i wbijamy wzrok w Jonaha, który niczym Guliwer unika jednego strumienia wody, drugiego, trzeciego, ostrożnie wchodząc między lilipucich towarzyszy i wychodząc spomiędzy nich, a którzy zdają się całkowicie akceptować tego giganta i jego maniackalne chichotanie.

– Chciałam...

– Ja też... nie, ty pierwsza.

– Nie zamierzam przeproszać, ale przykro mi.

– To bez sensu.

– Pozwolisz mi coś powiedzieć? To trudne i bez...

– Przepraszam, mów.

– Dziękuję.

Wyczuwam, że Emma zbiera się w sobie.

– Ben, wiesz, że już po wszystkim? Nie tylko wiesz, ale akceptujesz to?

Kiwam głową, choć jednocześnie szukam furtki, gramatycznego niuansu, ukrytej klauzuli dopuszczającej wyjątki. Jonah ostrożnie zbliża się do strzelających wodą fontann. Ma na twarzy łagodny uśmiech.

– No dobrze.

W głosie Emmy słychać ulgę, jakby na razie jej plan działał. Schemat rozmowy, do

stworzenia którego musiała korzystać ze specjalistycznego oprogramowania, podąża prawidłową ścieżką: jeśli „tak” – powiedz to, jeśli „nie” – powiedz tamto.

Próbuję określić moje uczucia do niej. Moje emocje są niczym igła kompasu próbująca zatrzymać się w jednym miejscu. Miłość? Nienawiść? Miłościo-miłościo-nienawiść czy nienawiscio-miłościo-nienawiść? A może jestem zbyt blisko bieguna, aby uzyskać rzetelny odczyt?

Jonah zdjął buty i postawił je na środku kręgu. Siedzi na trawie po drugiej stronie, zrywa dmuchawce i machając nimi, rozrzuca ich zaopatrzone w spadochrony nasiona w powietrzu. Urosną, gdziekolwiek wylądują – co jednak, gdy nie wylądują?

– Uważam, że można uczciwie stwierdzić, iż nasze wspólne życie – także z Jonahem – było czasami udręką.

– To surowa ocena – odpowiadam.

– Ale prawdziwa?

– Chyba tak.

– Oboje ponosimy za to odpowiedzialność.

– Chcesz powiedzieć, że jesteśmy temu winni.

– Nie, odpowiadamy za to. Oboje musimy zaakceptować nasz udział w tym, co się działo, ale bez obwiniania się. Nikt nie jest winny. Robiliśmy wszystko, na co było nas stać, co uważaliśmy za słuszne – z jak najlepszych pobudek, z najlepszymi zamiarami. Muszę ci powiedzieć, jak to wyglądało z mojej strony i jak się starałam.

– Już mówiłaś. W trybunale, nie pamiętasz?

– Nie, Ben. Tam mówiłam o Jonahu.

– No to powiedz. Jak wyglądało to z twojej strony? Jak się starałaś?

Emma wstaje i robi kilka kroków w kierunku Jonaha. Ramiona ma złożone na piersi, dłonie włożone pod pachy. Kiedy wraca, siada tuż obok mnie. Po raz pierwszy otwarcie przyglądam się jej twarzy. Kości policzkowe ma mniej wyraziste niż kiedyś, oczy jaśniejsze i mniej zapadnięte.

– Zerwanie dobrze ci zrobiło – mówię, na co Emma reaguje śmiechem.

– Jak dziewięć miesięcy na Barbadosie.

– Nie musisz ironizować, chciałem tylko powiedzieć, że...

– Wiem, co mówisz. Daj sobie powiedzieć prawdę.

– Proszę bardzo.

Zapada cisza.

– Zdajesz sobie sprawę z tego, jak bardzo przepełniał cię gniew? Nie tylko kilka ostatnich lat, lecz od chwili, gdy cię poznałam? Na początku było oczywiście inaczej, wyglądało to na namiętność i tak to odczuwałam. Czyniło cię to enigmatycznym, charyzmatycznym, nawet godnym podziwu. Nie była to jednak namiętność, lecz złość. Tyle o tobie wiem. Złość cię hamuje – strach, rozgoryczenie, frustracja. Przez lata próbowałam cię z tego wyciągnąć, ale dobrze się z tym czujesz. Nie znasz niczego innego. To i alkohol, który napędza złość jak paliwo. Widziałam nieraz, jak wolałeś z czegoś zrezygnować, niż zmierzyć się z perspektywą porażki, uznać coś za nieważne, by nie zaryzykować możliwości wygranej. Gdy rzuciłeś marketing, aby pracować z ojcem w tym śmierdzącym magazynie, płakałam w środku.

- Chwileczkę, zrobiłem to dla ciebie.
- Dla mnie? W jaki sposób? To był tylko kolejny kij, którym objąłeś zarówno siebie, jak i wszystkich dookoła.
- Zrobiłem to, by było nas stać na Jonaha.
- Czy kiedykolwiek o to poprosiłam?
- Nie, ale to by znaczyło...
- Że musiałabym zrezygnować z pracy? To zamierzałeś powiedzieć? Zapytałeś kiedykolwiek, czego ja chcę?

Patrzę na Jonaha i zanim to do mnie dociera, jestem w połowie ogrodu wodnego – moje buty rozbryzgują stojącą wodę. Jonah podskakuje w kałuży, jego skóra zmienia kolor na brązowy. Wyciągam do niego rękę, ale odtrąca ją i zmyka do innego fragmentu koła, gdzie się zatrzymuje i zaczyna bawić włosami, podczas gdy grupka dwulatków nonszalancko chlapie się obok niego wodą. Emma staje tuż za mną.

- Był dla ciebie darem, prawda?
- A dla ciebie nie?
- Też, oczywiście, ale mówię o tobie. Był darem dla twojej potrzeby pogardzania sobą. Gdy jego autyzm stał się oczywisty, okazał się twoją misją. Miałaś idealną wymówkę, by przestać dbać o siebie. Skupić się na autystycznym synu, twoim biednym autystycznym synu, i niczym więcej. Zapomnieć o mnie – sama powinnam zrozumieć, jakie są priorytety, prawda? Ja też powinnam zrezygnować z siebie. Nie mam racji, Ben? Też powinnam poświęcić życie Jonahowi. Potrzebowałam jednak czegoś w zamian. Wiem, że uważasz mnie za egoistkę, ale chcę, aby moja miłość była odwzajemniana. A ty przestałeś to robić. Zawsze zasłaniałeś się oddaniem Jonahowi. W jaki jednak sposób twoje picie, wynikające z uzalania się nad samym sobą, pomogło Jonahowi?

– Jego autyzmu nie spowodowało moje picie. – Wreszcie wypowiedziałem to głośno, jakby to miało mnie ostatecznie do tego przekonać.

– Nie o tym mówię. Na ile byłeś obecny? Jak bardzo mogłeś być przydatny – przez większość czasu podchmielony? Przytulanie, całuski i śmiech nie załatwiają wszystkiego. Zmusiłeś mnie, abym ja była tą poważną.

Moje wyobrażenie dotyczące tego spotkania krążyło wokół pojednania emocjonalnego, a przynajmniej wypełnionego łzami zapewnienia o wiecznej miłości, spapranej przez kapryśny uśmiech losu. Próbuje znaleźć jakieś słowa, ale obawiam się, że rozbiją do końca moją kruchą równowagę.

- Chciałem być tylko jego ojcem.
- Chciałaś być dla niego wszystkim, co nie wymaga planowania. W ten sposób uczyniłaś ze mnie sekretarkę i rzecznika prasowego Jonaha.
- Więc pomyślałaś sobie, że nas zostawisz. Wymyśliłaś głupotę o większym prawdopodobieństwie wygrania sprawy przed trybunałem przez samotnych ojców. Nie mogę uwierzyć, że dałem się na to nabrać. Wyrzuciłaś nas z domu, upchnęłaś u taty, namówiłaś mnie, abym go poprosił – nie, ubłagał – o pieniądze na przygotowania do walki o Jonaha. Odesłałaś mnie z powrotem do niego i przed śmiercią musiałem mu podcierać tyłek. – Zamazują mi się okulary. Łzy są gorące i pieką w policzki.
- Byłam zdesperowana, Ben. – Skubie skórki przy paznokciach, paznokcie ma

poobgryzane i zaczerwienione.

– Nie mogło być aż tak źle, jeśli udało ci się dotrzeć do Hongkongu. Emmo... – Na jej twarz występują szkarłatne rumieńce. – Nie byłeś w Hongkongu... Boże, Emmo, nie byłeś! W takim razie...

– Musiałam, Ben. Musiałam wyjechać, znaleźć jakiś sposób, tylko to się liczyło, a Georg...

– Wiedział? Tata wiedział?

– Byłam chora, Ben. Od lat.

– O czym ty, kurwa, mówisz? W życiu nie wzięłaś wolnego w swojej cennej pracy. Zauważyłbym. Wyglądałaś dobrze. Gdybyś była chora, powiedziałaabyś o tym.

– Nawet przed sobą nie mogłam się do tego przyznać, więc jak mogłam powiedzieć tobie? To była ostatnia rzecz, jaką miałam tylko dla siebie. Odebrałeś mi spokój i wydawało mi się, że tylko to trzyma mnie przy życiu...

– Straciłem wątek.

– Tabletki, Ben. Pieprzone tabletki.

– Nie mogłam spać. – Miesza kawę i skubie muffina z jagodami. Jesteśmy sami w parkowej kawiarni.

– Pamiętam. Lekarz nie dał ci czegoś, co pomogło?

– Dał. Coś, co rozwiązało wszystkie moje problemy.

– Ale przecież były od lekarza. To nie wciąganie kokainy. Gdybyś brała za dużo, nie byłabyś ciągle senna?

Trzyma kubek oburącz, pozwalając, by unosząca się para przesączała się jej przez rzęsy.

– Zopiclone. Dobre samopoczucie i przyjemne przejście w sen. Lubiłam to uczucie, bardziej niż sen. – Bierze łyk z kubka. – Zwłaszcza rano. Budziłam się z poczuciem nadchodzącego nieszczęścia. Perspektywa walki z Jonahem, jego nastrojami, zapachem, presją tego, czego nie zdążyłam zrobić poprzedniego dnia, czekającym mnie dniem, tobą – i okazało się, że tabletki pomagają. Tylko jedna, zaraz po obudzeniu, i dzień szedł z górki. Wszystko grało przez długi czas, ale zaczęło się robić coraz trudniej pod koniec miesiąca, a nerwy, jakie przeżywałam, zanim dostałam nową receptę... nie wyobrażasz sobie.

– Nie wiedziałem o tym – mówię, bardziej do siebie niż do Emmy. Reaguje machnięciem ręki.

– Potem wpadłam na doskonały pomysł, by kupić trochę w Internecie, tak na wszelki wypadek, by zabezpieczyć się przed brakiem. Gdy przesyłka przyszła, zaczęłam brać po dwie. Przedtem nigdy tak nie robiłam, ale efekt był świetny, a to najważniejsze.

Coś o tym wiem.

– Czulałam, że to ryzykowne i nierozważne, ale pomyślałam: pieprzyć to! Jeśli to konieczne, żeby żyć własnym życiem, to niech będzie.

– Jak długo? – pytam i mina Emmy natychmiast się zmienia. Brawura, która doprowadziła do wyznania, zniknęła, złość, jaką okazywała w ogrodzie wodnym, przeszła i mam teraz przed sobą inną Emmę – kruchą i małą, lustro mojego wstydu.

– Plus minus pięć lat.

– Pięć lat?! – Czuję się, jakbym dostał czymś w głowę. Jak mogłem nic nie zauważyć? Pięć pieprzonych lat. – A w pracy? Nie zauważyli?

– Przed tobą też udało mi się to ukryć, nie?

Bierze kolejny łyk kawy i otwiera opakowanie maleńkich herbatników, które Jonah zwinął z lady. Właściciel kawiarni zapisuje je w notesie.

– Zaczęłam popełniać błędy. Nic poważnego, ale przerażały mnie. Ciągle chciało mi się spać. Postanowiłam, że gdy skończy się ostatnie opakowanie, więcej nie zamówię i przestanę brać tabletki. Pierwszy dzień bez nich był niewyobrażalny. Czułam się, jakbym obudziła się pośrodku huraganu, każdy dźwięk słyszałam w wysokiej rozdzielczości i na pełnej głośności, wpadałam w paranoję i miałam wrażenie, że umrę. Zadzwoiłam do pracy i powiedziałam, że mam gripę.

– Przypominam sobie. – Faktycznie, pamiętałem tamte dni. Tydzień brudnych pieluch, jedzenia na wynos i przekleństw. Nie mogłem wyjść do pubu ani przynieść do domu alkoholu i nienawidziłem każdego dnia pobytu Emmy w domu.

– Nie wytrzymałam tego. Nie mogłam znieść strachu, nie mogłam znieść rzeczywistości. Kolejna recepta od lekarza była jak wygrany los na loterii i znowu się zaczęło, tyle tylko że jeszcze gorzej.

Zakrywam dłońmi twarz, na dłoniach mam okulary słoneczne.

Głos Emmy się łamie.

– Tydzień przed waszą wypowiedzką mało brakowało, a zabiłabym Jonaha. Gdzieś wyszedłeś, kąpałam go i myłam mu włosy. Wyszłam na dwie minuty, by wyłączyć piecyk, i poczułam go, zanim go zobaczyłam, i to było wszędzie. Miał je we włosach, na całych nogach, było rozsmarowane na dywanie, na jego łóżku, na ścianach. Wszędzie na ścianach były odciski jego dłoni i śmiał się do mnie, i nagle zdałam sobie sprawę, że rzucam w niego czym popadnie – zabawkami, ubraniami, płytami CD – Jonah zaczął się gryźć w dłoń i podskakiwać ze złością, a ja nie mogłam przestać obrzucać go przekleństwami. Straciłam panowanie nad sobą, popatrzyłam na swoje ręce i okazało się, że trzymam szklany wazon i...

Nigdy nie widziałem, aby tak płakała. Całym ciałem.

– Wzięłam dwie tabletki i umyłam go, co bardzo mu się nie podobało, potem dałam mu maksymalną dawkę calpolu i melatoninę, żeby odjechał, położyłam go na kanapie i zaczęłam szorować, szorować, szorować, potem szarpałam go, żeby go podnieść i zanieść do łóżka, z nadzieją, że rano się nie obudzi, a potem wróciłeś i gdy ci powiedziałam, co się stało, odpowiedziałeś tylko: „Trzeba było mu założyć pieluchę”. Pierdoloną pieluchę, Ben. A najsmutniejsze w tym wszystkim było to, że czułam się winna. Gdy ty wypijałeś pół butelki whisky, siedziałam w otępieniu po lekach, przepelniona wstydem i poczuciem winy, i rozmyślałam, jaki jest najłagodniejszy sposób na popełnienie samobójstwa – aby uwolnić ciebie i Jonaha od mojej nienawiści, nieudolności. Zamierałam popełnić samobójstwo nie tyle dla siebie, ile dla mężczyzny mojego życia, którzy nigdy ze mną nie rozmawiali.

Musiałem wstać i się przejść.

– Daj mi sekundę – mówię.

Jonah stoi odwrócony plecami do mnie, trzyma się balustrady okalającej plac

zabaw. Podchodzę do niego po cichu i pochylam się, by pocałować go w brązowy kark. Nie wzdryga się. Słońce rozgrzało powietrze, przez co zwiększyła się wilgotność, co bardziej tłumi krzyki dzieci. Zdejmuję okulary i kieruję zamknięte oczy ku słońcu. Przed oczami mam leżącego na szpitalnym łóżku ojca i zalewam policzki i szyję syna łzami. Stoi sztywny.

Moje kanały łzowe zadziałały niczym zawory bezpieczeństwa i gdy wracam do Emmy, i siadam, jestem znacznie spokojniejszy.

– Mówi się na to fachowo „chwila jasności”. U mnie nastąpiła po rozmowie z Georgiem o waszym wprowadzeniu się do niego. Spowodowało ją coś, co mi powiedział. Nigdy tego nie zapomnę – mówi Emma.

– Co to było? Że Ben to *szmok*?

Emma uśmiecha się.

– Nie. Powiedział, że nie powinnam popełnić tego samego błędu co on. Powiedział, że powinnam kochać samą siebie i wybaczać sobie albo życie utknąć w jednym miejscu, niczym igła w płycie gramofonowej. Tego samego dnia umówiłam się z psychiatrą i powiedziałam jej o wszystkim. Trzy dni później, zamiast wsiąść do samolotu, poszłam do kliniki odwykowej.

– Kliniki odwykowej... – powtórzyłem mechanicznie. – Z ćpunami heroiny i kokainy?

– Tak. I alkoholikami.

Zmieniam temat.

– Co powiedzieli w pracy?

– Wzięłam wolne, podając jako powód przeciążenie stresem. Wiedzą o Jonahu, ale nie chciałam, aby dowiedzieli się o lekach, i nie chciałam, by to się znalazło w mojej dokumentacji w pracy. Nie skorzystałam z ubezpieczenia firmowego, zapłaciłam sama.

– Dlatego nie mogłaś zapłacić za sprawy związane z trybunałem? O tym tata też wiedział?

– Musiał. Chciałam, żeby doglądał was obu i pożyczył nam pieniądze na trybunał.

– Zgodził się pożyczyć nam pieniądze? Przed wszystkim? A mi w związku z tym robił piekło... – Kręcę głową. – Przynajmniej był konsekwentny. – Wbijam wzrok w podłogę. Szczerosc za szczerosc. – Nie rzuciłem marketingu, tylko zostałem wywalony. Przyłapali mnie na picciu i, jak zawsze, tata był moją ostatnią deską ratunku.

– Nie, Ben. Ja powinnam była nią być. Dlaczego nie powiedziałeś mi prawdy?

– Bo bałem się, że mnie zostawisz. A ty? Dlaczego ty mi nie powiedziałaś?

– Sądziłam, że to cię nie obchodzi.

Przyglądamy się sobie, po czym się obejmujemy. Jest to przygnębiające i wyzwala żal jak katalizator. Nie słowa – pisane ani mówione – przekonują mnie ostatecznie, że nasze małżeństwo się skończyło, lecz poczucie, że obejmuje mnie obca osoba.

– Powinienem wracać do domu.

– Chcesz, żebym poszła z tobą?

– Nie trzeba.

– Może w takim razie wezmę Jonaha? Ułatwi ci to życie.

– Tak, poproszę.

Ustalamy sprawy organizacyjne, zbieramy klucze i telefony, dopijamy napoje, ociągając się jeszcze chwilę z rozstaniem, oboje zadumani oraz – przynajmniej ja – z wielkim żalem.

– Ben, popatrz na Jonaha!

Uwagę Jonaha zwrócił mały blondynek, sięgający mu może do pasa. Jonah opada na czworaka, patrzy chłopcu prosto w oczy i obdarza go szerokim, pogodnym uśmiechem.

– Nigdy nie widziałam, by coś takiego robił! Widziałeś u niego kiedyś coś podobnego?

– Nie – odpowiadam. – Nigdy.

1 Brytyjski show telewizyjny, w którym rywalizują drużyny z tej samej rodziny (przyp. red.).

2 *Schnorrer* (jidysz) – pasożyt żerujący na czyjejś hojności.

3 *Szlong* (jidysz) – penis.

4 *Sztummer* (jidysz) – osoba cicha, niemająca wiele do powiedzenia.

5 Dialekt judeo-hiszpański.

Lato

Tata zostawił mi dom, czego się nie spodziewałem. Jeśli sądziłem, że nie ma pojęcia, co się dzieje w magazynie, byłem w błędzie. Zostawił go Valentine'owi, który odwołał wyjazd na Karaiby. To dobrze. Gdy zaoferowałem mu pomoc, wyśmiał mnie. Ojciec miał prywatną rentę i ubezpieczenie na życie, dzięki czemu nie mam długów, a dzięki niewielkiej rezerwie i obiecanemu przez Emmę zwrotowi połowy kosztów trybunału będę mógł zabezpieczyć dom zgodnie z potrzebami Jonaha i podrzeć czek od Johnny'ego.

Trwają letnie wakacje. Minęła połowa sierpnia i spędzam czas na oczekiwaniu. Funkcjonujemy z Jonahem w zgodnym rytmie. Rada niechętnie, ale zgodziła się na przyjęcie go przez trzy dni w tygodniu do klubu wakacyjnego, co sprawia mu dużo radości. W pozostałe dni chodzimy do parku, do McDonalda, potem znowu do parku – robimy to, na co Jonah ma ochotę, w ten sposób życie jest łatwiejsze. Jest w niesamowicie spokojnym nastroju, choć kto wie – może to spokój przed burzą? Nie wiem, czy tęskni za tatą, czy go pamięta. Może tata był kolejnym dorosłym, który spełniał jego zachcianki, które są i pozostaną – w rozumieniu materialnym i społecznym – bardzo proste. Choć dziwne może się wydać, że Jonah podjął samodzielną decyzję, by spać w łóżku taty. Może uspokaja go unoszący się tam ciągle zapach, może lubi łóżko, a może cienie w ciemności? Kolejna tajemnica. W każdym razie rzadziej się budzi w nocy.

Maurice regularnie wpada, a że nie miałem serca poprosić go o zwrot klucza, wchodzi bez pukania. Zabrał kilka pamiątek – owijając je w ceratę jak klejnoty.

Ustaliliśmy z Emmą nieformalny, elastyczny system opieki nad Jonahem i tak oto Emma wróciła do jego życia, i widuje się z nim regularnie. Tego lata po raz pierwszy widział morze i bez trudu jestem w stanie wyobrazić sobie, jak po wielu latach, opalony i beztroski, spaceruje plażą, zbierając muszle i wodorosty, by kręcić nimi w palcach dla uradowania serca.

Zaczynam akceptować swój udział w tych wszystkich problemach, znajdować chęć działania, myśleć o zmianach i nowym początku. Wciąż jednak jestem skupiony przede wszystkim na wyroku i przed jego opublikowaniem wolę niczego nie planować, żyję więc jakby na wolnym biegu.

W tej chwili siedzę na kanapie i słucham Radio 4, odłożywszy na kolana krzyżówkę w „Guardianie” po rozwiązaniu tylko jednego hasła. Jonah jest w klubie – autobus, do którego potruchtał z uśmiechem, zabrał go godzinę temu.

Zaczynają mi się zamykać oczy, gdy słyszę dzwonek.

– Maurice, otwórz sobie sam.

Dzwonek dzwoni jednak drugi i trzeci raz.

– Co za... – Zsuwam się z kanapy i idę do drzwi. Maurice z jakiegoś powodu stoi nieruchomo przed drzwiami. Otwieram. – Maurice, dlaczego...

To nie Maurice.

To listonosz z listem za potwierdzeniem odbioru.

Wyrok.

Ból brzucha

Gdy otwieram kopertę, mój żołądek zaczyna żyć własnym życiem. Próbuję czytać słowo po słowie, po chwili zaczynam szaleńczo przeglądać tekst, jakbym miał skaner w oczach. Wzrok biegnie za palcem, wydobywając z tekstu pojedyncze słowa, zestawiając plusy i minusy wychwytywanych zwrotów.



TRYBUNAŁ PIERWSZEJ INSTANCJI

DO SPRAW SPECJALNYCH POTRZEB SZKOLNYCH
I NIEPEŁNOSPRAWNOŚCI

WYROK

Apelujący: Pani Emma Jewell i pan Benjamin Jewell

Od decyzji: Rady Wynchgate w Londynie

Dotyczącej: Jonaha (ur. 11 maja 2000)

Data przesłuchania: 28 lipca 2011

Skład Trybunału: Lianne Watch (sędzina Trybunału)

Peter Greeling (ławnik specjalista)

Nigel Prior (ławnik specjalista)

Apelacja

Pani Jewell i pan Jewell zgodnie z rozdziałem 326 ustawy o nauczaniu z 1996 roku składają apelację przeciwko treści oświadczenia dotyczącego specjalnych potrzeb szkolnych, złożonego przez Radę Wynchgate w Londynie (zwaną dalej „władzami lokalnymi”) w sprawie ich syna Jonaha.

Wnioski Trybunału z uzasadnieniem

Trybunał starannie rozważył dostarczone mu z góry na piśmie dowody oraz dowody przedstawione w trakcie przesłuchania. Trybunał uwzględnił także kodeks postępowania oraz odpowiednie rozdziały ustawy o nauczaniu z 1996 roku oraz ustawy o specjalnych potrzebach szkolnych i niepełnosprawności z 2001 roku.

Wnioski Trybunału są następujące:

1. Trybunał z zadowoleniem przyjął fakt, że strony do dnia przesłuchania utrzymały dialog w sprawie zagadnień, których dotyczy apelacja, i włącza uzgodnione zmiany do wyroku.

2. W związku z zagadnieniami zawartymi w części 2 oświadczenia istnieją dowody na poparcie tezy, że choć Jonah prezentuje nieodpowiednie zachowanie, bez wątpienia odzwierciedla się w nim ilość poświęconych mu profesjonalnych działań. Bez takiego wsparcia zachowanie Jonaha stanowi zagrożenie dla niego samego oraz osób z jego otoczenia. W związku z tym Trybunał przychyliła się do zdania, że należy wprowadzić postulowane przez rodziców zmiany.

3. W części 3 Trybunał odniósł wrażenie, że strony używają różnych definicji podejścia opartego na totalnej komunikacji. Trybunał zgadza się z tym, że należy zidentyfikować konsekwentną metodę do stosowania we wszystkich kontekstach. Preferowaną przez Jonaha metodą komunikacji jest PECS i w dotyczącym go oświadczeniu powinna zostać potrzebą jej stosowania, należy jednak umieścić to w kontekście innych podejść komunikacyjnych zgodnie z zaleceniem. Jonah powinien mieć zapewniony duży wybór możliwości, choć opartych na identyfikacji metody podstawowej, którą należy mu zapewnić.

4. Między logopedami stron praktycznie nie było dyskusji i Trybunał zgadza się z poglądem, że pożądane zmiany odnoszące się do programu językowego oraz bezpośredniej terapii mowy i języka należy wprowadzić niezależnie od zmian, jakich dokonał Trybunał, aby przy zagwarantowaniu Jonahowi specyficznej metody uwzględnić jego preferencje komunikacyjne, ale także, jak uzgodniono, aby w ramach podejścia opartego na totalnej komunikacji umożliwić mu dokonywanie wyborów.

5. Trybunał zwrócił uwagę na komentarz władzy lokalnej dotyczący dowodów będących w posiadaniu pani Smart i zgadza się, żeby Jonah korzystał z regularnej terapii pośredniej, zwrócił jednak także uwagę na słowa pani McDonald, że ostatnie zajęcia prowadzone przez cały zespół terapeutyczny miały miejsce w październiku 2010 roku. Z braku dowodów przemawiających przeciwko zaleceniu pani Smart o zapewnieniu terapii zajęciowej Trybunał uważa, że do oświadczenia na temat Jonaha należy włączyć zmiany, o które zabiegają rodzice.

6. Trybunał nie widzi konieczności wprowadzania wnioskowanego kontaktu ze wskazanym specjalistą w celu przeprowadzenia funkcjonalnej analizy behawioralnej. Może ona zostać bez trudu przeprowadzona przez nauczyciela posiadającego doświadczenie z zakresu technik kierowania zachowaniem.

7. W sprawie zasadniczego pytania dotyczącego wydłużonego dnia albo dnia czuwania należy wyznaczyć granicę między zbadaniem pełnego obrazu potrzeb dziecka a ograniczeniem decyzji Trybunału do starannej oceny jego potrzeb edukacyjnych

w ramach tego obrazu i zdecydowaniem o tym, co jest odpowiednie do realizacji tych szczególnych potrzeb.

8. Fakt, że dziecko potrzebuje stałości stosowanego wobec niego podejścia, niekoniecznie oznacza, że jest to potrzeba edukacyjna, która musi być zaspokajana metodami edukacyjnymi po zakończeniu dnia szkolnego. Podobnie fakt, że na dobre samopoczucie dziecka i/albo jego rodziny mogą korzystnie wpłynąć działania ze strony opieki społecznej, nie oznacza, że działania te są edukacyjne. Bez wątplenia mamy w tym przypadku do czynienia z sytuacją, że jedynie niewielka grupa dzieci ma tak złożone i znamienne potrzeby, że wymagane są działania wykraczające poza dzień szkolny.

9. Jednakże w każdym przypadku stopień i jego osąd jest inny, a decydować muszą indywidualne potrzeby konkretnego dziecka. Naszym zadaniem nie jest identyfikacja, co może stanowić optimum albo ideał działań dotyczących pełnego zakresu potrzeb edukacyjnych i innych Jonaha. Jeśli chodzi o jego potrzeby edukacyjne, wydaje się, że ich cechami są zarówno stałość, jak i program behawioralny.

10. Występujące u Jonaha połączone, złożone zaburzenia ze spektrum autyzmu oraz poważne trudności z nauką wymagają zmiany podejścia. Dla tego dziecka potrzeby behawioralne i niezwiązane z nimi są integralną częścią jego potrzeb edukacyjnych i stanowią dla niego przeszkodę w nauce.

11. Po bliższej analizie nie da się obronić twierdzenia władz lokalnych, że obecny pakiet działa i zapewnia postępy oraz stałość.

12. Wszystkie zalecane terapie muszą być prowadzone przez cały dzień, w trakcie wielu sesji, na dodatek przez multidyscyplinarny zespół specjalistów stale skupionych na zadaniu, umiejących skutecznie planować i porozumiewać się ze sobą.

13. Z tego powodu, biorąc pod uwagę złożone relacje między jego dużymi potrzebami a poziomem jego edukacji, Jonah wymaga poziomu stałości, który w nieunikniony sposób zmierza w kierunku schematu całego dnia czuwania.

14. Bez wątplenia najważniejszym aspektem apelacji była dla obu stron identyfikacja szkoły, którą należy wymienić w -części 4.

15. Szkoła Maureen Mitchell nie nadaje się do zaspokojenia specjalnych potrzeb edukacyjnych Jonaha. Z tego powodu Trybunał zaczął rozważać przedstawioną przez władze lokalne alternatywę w postaci umieszczenia chłopca w trybie internatowym w szkole Sunrise Academy. Biorąc jednak pod uwagę wszystko, co powiedziano o Sunrise Academy, Trybunał nie wierzy w to, aby w tej fazie nauki szkolnej była ona w stanie zaspokoić potrzeby Jonaha.

16. Podsumowując, umieszczenie w Highgrove Manor jest w szczególnych okolicznościach tej sprawy jedyną realną opcją.

Wyrok

Decyzja władz lokalnych zostaje uchylona.



Podpisano: *Liz Goldthorpe*

Lianne Wyatt Sędzina Trybunału

Zmieniono zgodnie z zasadą 44 Zasad Izby Edukacji Zdrowotnej i Opieki społecznej z 2008 roku w dniu 21 września 2011.

Czytam ostatnie zdanie jeszcze raz i jeszcze raz, i jeszcze raz. Jonah wygrał. Jestem podekscytowany w jego imieniu, cieszę się z przyszłości, jaką dostał, polaci zielonych pól i drzew, szansy funkcjonowania bez stresu narzucanego mu przez nieprzewidywalny nieautystyczny świat. A jeśli o mnie chodzi? To, że wreszcie coś dokończyłem, napędza mnie dumą i ulgą i dociera do mnie, że to pierwsza – po serii porażek – rzecz, jaką wygrałem w życiu.

Po raz pierwszy od miesiący – może nawet lat – dzwonię do Emmy z dobrymi wieściami.

– Koszmar się skończył. Wygraliśmy.

Emma płacze.

A więc tak smakuje zwycięstwo. Stać mnie na nie. Dumna mina taty, że wreszcie coś udało się skończyć, coś, co zmieni życie – do tego świadomość, że nie kochając siebie, nie mam szansy kochać kogokolwiek innego. Emma wiedziała i czuła to. Postawiła siebie ponad Jonahem, bo tego potrzebowała. Oboje to spieprzyliśmy, ale teraz przynajmniej zaczynamy naprawiać.

Kolejne tygodnie najchętniej bym przespał. Emma opublikowała posty z wieściami o Jonahu na swoim koncie na Facebooku, ja jednak czuję tylko gorycz, że nikt z tych tak dobrze życzących nam ludzi się nie pojawił, by nam pomóc, gdy sprawy miały się źle. Teraz, gdy się rozstaliśmy, a Jonah ma wyjechać i nie będzie już szansy zaproszenia nas

jako rodziny, wszyscy są pełni entuzjazmu. Obraża mnie ich przekonanie, że nie ma nic złego w opuszczeniu przez jedenastolatka domu rodzinnego, i to prawdopodobnie na zawsze. Mam ochotę wysłać im odpowiedź, ale nie zrozumieliby ironii. Ignoruję więc wszystkich, po cichu życząc im wieloletnich opłat za kliniki odwykowe i niechcianych ciąży ich stanowiących idealny materiał na przestępców pociech. Słowa własnych dzieci zranią ich bardziej niż milczenie mojego syna – tyle mogę zagwarantować. Wiem, muszę uwolnić się od podobnych uczuć. Są jedynie tarczą mojego strachu i krótkotrwałym antidotum przeciw pogardzie dla samego siebie, jeśli się ich nie wyzbędę, nie będę miał szans na szczęśliwe życie. Przynajmniej – po raz pierwszy – dostrzegam tę prawdę, a to dobry punkt do wystartowania od nowa.

Mój nastrój waha się między nadzieją a otepiającym nihilizmem. Zdawało mi się, że jeśli wygram w trybunale dla Jonaha, wszystko będzie dobrze. Niestety uczucia są nieco bardziej skomplikowane.

Przyjeżdża Emma, by wziąć Jonaha na cały dzień, i jest dziwnie – nasza trójka w tym domu, bez taty. Być może to ostatni raz, gdy siedzimy we troje przy tym starym stole. Końcowa kropka, jeśli chodzi o rodzinę Jewellów. Może nie byłem w stanie dotychczas dopuścić tej myśli do siebie, ale oboje mnie zostawiają. Niedługo i na dobre.

– Dlaczego masz smutną minę? – pyta Emma.

– A nie mam takiej zawsze?

– Czas zacząć żyć dalej.

Próbuję zapomnieć o rodzinnych smutkach.

– Łatwiej powiedzieć, niż zrobić.

Cisza.

– No i co dalej, Emmo?

– Mamy Jonaha. Zawsze będziemy jego rodzicami.

– Zamierzasz mieć więcej dzieci?

– Boże, Ben, pozwól mi odpocząć po pierwszym. Nie wiem. Część mnie czuje, że powinnam jeszcze raz spróbować, że potrzebuję szansy, żeby być inną matką dla innego dziecka. Dać Jonahowi kolejną osobę, która będzie go kochać. A druga część wyje ze strachu, że to się może powtórzyć. A ty?

– Nie, dla mnie to koniec. Nie poradziłbym sobie z poczuciem zdrady.

– Zdrady Jonaha?

Kiwam głową.

– Ktoś powiedział mi kilka dni temu, że jeśli jesteś jedną nogą w przeszłości, a drugą w przyszłości, to szczasz na terażniejszość.

– Kto to był? Dalajlama?

– Ale to prawda. Mamy tylko dzień dzisiejszy.

– Jonaha interesuje tylko trwająca chwila.

– To jeszcze lepiej. Może nadszedł czas, byśmy pogodzili się z tym, że jest osobną jednostką, ma własne życie, które powinien przeżyć na swój własny sposób. Może warto by się też pogodzić z tym, że nauczyliśmy się od niego więcej niż on od nas.

Brzmi to przekonująco.

– Chyba zrozumiałem to już jakiś czas temu, ale nie chciałem się z tym pogodzić.

Nawet jeśli tego nie rozumie, nigdy nie będzie w stanie o tym pamiętać ani wyrazić słowami – choćby we własnej głowie – chcę, by czuł, że go kochamy. Chcę mieć poczucie, że zrobiłem wszystko, co w mojej mocy, aby być dobrym ojcem. Ma to sens?

– Ma. Zrobiłeś wszystko, co było w twojej mocy, a on wie, że go kochasz. Widać to w jego oczach. On cię uwielbia.

Patrzę, jak odchodzą, trzymając się za ręce.

Klucz

A jak trudne było to dla ciebie?

Jonah leży na łóżku taty i kręci w palcach liść, który znalazł w ogrodzie podczas lunchu. Liść przetrwał nawet kąpiel.

– Tak naprawdę to nikt cię nie zapytał, czego ty byś chciał, prawda? Ciągnęliśmy cię ze sobą jak pokazowego kucyka, stawialiśmy przed obcymi, którzy za ciebie decydowali. No cóż, taki układ. Pamiętasz miejsce, do którego cię zabraliśmy z dziadkiem? Highgrove Manor? Z miłymi ludźmi i drzewami, zwierzętami, pięknym pokojem dla ciebie, basenem i mnóstwem miejsca? Kochani ludzie stamtąd uważali, że jesteś tak wspaniały, iż chcą, byś z nimi mieszkał. Uważają, że są w stanie pomóc ci się uczyć, zapewnić ci mnóstwo zabawy, byś nigdy się nie nudził. Będiesz przyjeżdżał do domu na wakacje, a ja będę cię odwiedzał co weekend albo coś w tym stylu. Może tak być?

Szkoła przysłała kilka zdjęć, które rozkładałam przed Jonahem na kołdrze. Kręci dalej liściem, więc podnoszę zdjęcia po kolei.

– W tym domu będziesz mieszkał, nazywa się Bell House... to jest twoja klasa, a...

Jonah bierze jedno ze zdjęć i przysuwa je blisko twarzy, wpatrując się w jakiś szczegół.

– Co widzisz, słodziaku? Coś sobie przypominasz?

Próbuję podejrzeć zdjęcie z boku – ukazuje chyba jego sypialnię.

– Mogę zobaczyć?

Podaje mi zdjęcie bez mrugnięcia i wraca do kręcenia liściem. Ukazuje ono jego pokój z wielkim panoramicznym oknem. Wpatruję się w nie uważnie. Pomieszczenie jest raczej puste, jeszcze nieudekorowane jego drobiazgami. Chodzi o drzewo widoczne przez okno? Przyglądam się jeszcze bliżej i okazuje się, że w tle, od górnych gałęzi drzewa do framugi okna, widać tęczę, rozmytą, ale rozpoznawalną.

– Na jej końcu jest złoto. Garnek pełen złotych monet. Może któregoś dnia wyruszymy i poszukamy go? Co ty na to?

Kładę się obok niego i patrzę na pływający po suficie cień ryby. Jestem zbyt zmęczony, by się poruszyć.

– Wiesz, że jesteś najlepszym słuchaczem na świecie? Nigdy nie osądzasz ani się nie sprzeciwiasz i wiem, że cokolwiek ci powiem, pozostanie między nami. Dzięki temu, że mówię ci o swoich tajemnicach i lękach, lepiej sobie z nimi radzę. Twój dziadek też to w tobie lubił. Tęsknisz za nim? Ja tęsknię. Głupi, stary palant. Wydaje się, że to niemożliwe nie wiedzieć najbardziej oczywistej rzeczy o własnym ojcu. Nie mam na myśli nazwiska – choć to też było niezłe oszustwo. Podobno jesteśmy Friedmanami, ale o tym już wiesz. Tak, wiem, też wolę Jewell. – Patrzę, czekając na jakąkolwiek reakcję, ale oczywiście nie ma żadnej. Jest jedynie Jonahem, w jego świecie nazwiska są zbędne.

– Mam na myśli, kim mój tata był jako człowiek. Znał mnie i wiedział, kim jestem. Był tak wierny, tak dokładny, że aż czasami bolało, ale kim był on sam? Zawsze był poza zasięgiem. Nie można nie tęsknić za takim człowiekiem, takim ojcem, ponieważ zawsze się go goniło. Próbuję znaleźć klucz, który by do niego pasował. Coś, z czego byłby na

tyle dumny, że zaufałyby człowiekowi wystarczająco mocno, aby wpuścić go do środka. W twoim przypadku nie miałoby to większego sensu, bo jesteś najbardziej dyskretną osobą na świecie, jaką znam. Jak to jest? Chętnie bym się dowiedział. Sprawiasz wrażenie całkowicie niezależnego emocjonalnie. Mam nadzieję, że nie przeszkadza ci, gdy nocami serwuję ci całe to gówno, ale jesteś jedyną osobą, której mogę całkowicie ufać. – Masuję mu plecy i ściskam go za uda, co luzuje mu pieluchę. – Och! Wygląda na to, że ty też zaserwowałeś mi gówno. Chodź, musimy cię przewinać.

Zostawiam go czystego, świeżego i radośnie kręcącego liś-ciem w łóżku, w którym kilka tygodni temu leżał mój umierający ojciec. Ja nie jestem w stanie nawet usiąść w jego fotelu w salonie na dole. Czy DNA naprawdę jest przekazywane? Bez trudu mogę sobie wyobrazić bezpośrednią linię dziedziczenia od mojego ojca do Jonaha, nie jestem jednak w stanie dostrzec, gdzie i jak miałyby ona przeciąć mnie. Wyobrażam sobie siebie wiszącego na tej linii zębami – takie hardcore’owe czyszczenie zębów nicią. Musi być we mnie mnóstwo syfu z mitochondriów matki – innego wyjaśnienia nie ma.

Jak ma wyglądać moja dalsza droga? No cóż, zacznę od -Highgrove Manor i będę robił krok po kroku. Przez dziesięć lat byłem elementem tria, choć raczej należałoby powiedzieć, że dwóch przedziwnych triów, wkrótce jednak będę grał dalej solo. Może pójdę na studia – mój mózg był tak przepełniony fantazjami, że dobrze by mu zrobiła porcja suchych faktów i rzeczowych argumentów. Może powinienem poszukać pomocy w sprawie picia. Myśl, że mogą mi kazać całkowicie przestać, przeraża mnie, ale perspektywa samotnego mieszkania z możliwością bezkarnego picia przeraża mnie jeszcze bardziej.

Leżę na kanapie, zastanawiając się nad sprzedażą domu i przeprowadzką w pobliże szkoły Jonaha. W końcu nic mnie tu nie trzyma. Moja samotność teraz, kiedy wiem, co oznacza bycie totalnie samotnym, to kompletne przeciwieństwo stanu, w jakim znajdowałem się rok temu. Problem w tym, że przez większą część mojego życia byłem opiekunem i podopiecznym, a teraz – przynajmniej na co dzień – jestem tylko ja, a tak nigdy dotąd nie było. Czuję się w pewnym stopniu odpowiedzialny za Maurice’a. Śmierć taty to dla niego nie mniejsza strata niż dla mnie. Jego podejście do śmierci jest flegmatyczne. Podejrzewam, że w jego wieku ten temat staje się zwykłym elementem życia.

Na schodach rozlega się odgłos kroków. W drzwiach staje Jonah.

– Jasne, możesz zjeść jeszcze jednego tosta.

Szkoła

Biorąc pod uwagę skłonności Jonaha do duszenia, bezpieczniej dać mu całą tylną kanapę, podczas gdy Emma zajmie miejsce obok mnie. Gdy zjeżdżamy z M25 w kierunku M40, Jonah jest jednak dziwnie wyciszony – może raczej łagodny? Emma spędza podróż z zamkniętymi oczami i dłońmi równo ułożonymi na podołku. Żadne z nas nie sili się na konwersację – cisza jest mniej niezręczna niż wymuszona rozmowa.

Jest drugi tydzień września, dwa tygodnie po ogłoszeniu wyroku, i przez ten czas odbyliśmy dwie wizyty aklimatyzacyjne – jedną całodniową i drugą, podczas której Jonah został na noc, a następnego dnia został obudzony o dziewiątej na śniadanie – jak prawdziwy nastolatek.

Dziś jest ten dzień.

Dziś.

Jednak.

Jest.

Ten.

Dzień.

Jak się czuję? Jak będę się czuł?

Odpowiedź jest prosta: jeśli on będzie się dobrze czuł, ja też będę się dobrze czuł. Na bardziej skomplikowane rozważania w tej chwili mnie nie stać.

Jeszcze nieco ponad trzy kilometry.

Chyba że Jonah wie. Nie – jestem pewien, że wie. Widzę we wstecznym lusterku, jak podskakuje, a usta mu się marszczą. Wie.

Wjeżdżamy na długi podjazd i zatrzymujemy się po raz czwarty przed bramą z kutego żelaza. Wciskam guzik domofonu.

– Przywieźliśmy Jonaha Jewella.

– Doskonale, proszę wjechać przez bramę i podjechać do dużego domu, gdzie będziemy czekać i ktoś zabierze rzeczy Jonaha.

– Rozumiem. – Przejeżdżamy przez bramę i muszę się powstrzymać, aby nie pociągnąć za ręczny, zawrócić o sto osiemdziesiąt stopni i nie odjechać z piskiem kół. Dziękujemy za pomoc Jonahowi, ale już wszystko jest w porządku, naprawdę, proszę spojrzeć – mówi, czyta, tańczy, śpiewa, robi kupę w toalecie, pojedziemy już do domu, dziękujemy bardzo.

Podjeżdżam do wspaniałego gregoriańskiego budynku, delikatnie budzę Emmę, odwracam się i patrzę, jak Jonah wygląda przez okno. Wsiadam. Jest ciepło.

Emma też wysiada i staje obok mnie. Zagryza górną wargę.

Bagażnik został już otwarty i pracownicy wnoszą rzeczy Jonaha do Bell House, a po chwili wysiada główny bohater – z piórami we włosach, jednym jabłkiem w ustach, drugim w dłoni.

Emma powoli podchodzi do niego i kuca, obejmując jego lewą dłoń swoimi.

– Kocham cię, Jonah.

Jonah uwalnia dłoń, po czym ładuje się do samochodu tak, że tylko tyłek mu wystaje. Gdy pojawia się ponownie, ma w ręku kawałek srebrnej lamety. Emma rusza

w kierunku recepcji, a ja delikatnie popycham Jonaha w stronę otwartych frontowych drzwi.

W środku czeka komitet powitalny. Przybycie nowego ucznia do szkoły, w której jest ich tylko pięćdziesięciu, to ekscytujące wydarzenie i Jonah wydaje się to odczuwać. W półkołu stoi przynajmniej dwudziestu członków personelu, uśmiechniętych, którzy powtarzają głośno jego imię, na co Jonah zamiera, przygląda się witającym go osobom i szczyrzy się do nich od ucha do ucha, w geście zwycięstwa wyciągając rękę z nadgryzionym jabłkiem w górę, jakby właśnie zdobył Oscara.

– Mogę go zabrać?

– Słucham?

– Czy mogę teraz zabrać Jonaha? W czasie gdy będzie przygotowywany jego pokój, może zjeść obiad. Po południu będzie miał szkołę.

On naprawdę odchodzi...

– Oczywiście, ale może przedtem... – Przyciągam Jonaha do siebie i wdycham jego zapach, ściskam, aż zaczyna mnie odpychać. – Tak bardzo cię kocham...

Terapeuta trzyma już Jonaha za rękę i ruszają we dwóch ku drzwiom znajdującym się po lewej od frontowych drzwi. Moja ręka zawisa w powietrzu – w pożegnaniu, a może w salucie. Nieruchomieje, nie jestem w stanie nią poruszyć. Utkwiła jak w odlewie pomnika, połączona z tułowiem metalowym prętem.

– Ben – mówi Emma. – Niedługo się z nim zobaczymy.

Strata jest zbyt wielka, muszę się zmuszać, by nie rzucić się za nim biegiem, i powtarzać sobie mantrę, która pozwoliła mi przetrwać cały ten bolesny proces: To dla Jonaha... to dla Jonaha... to dla...

– JONAH!

Odwraca się tuż przed drzwiami i podbiegam, grzebiąc po kieszeniach.

– Zapomniałem o tym.

Przysuwam mu pod nos kryształowy przycisk do papieru. Na jego czole pojawia się tęcza barw, całuję go i przeciągam palce przez jego włosy.

Bierze ode mnie przycisk, uśmiecha się i odchodzi, nie odwracając się.

Powrót do domu jest straszny. Gdy podjeżdżam do krawężnika, aby wysadzić Emmę, rozstajemy się, unosząc dłonie, wszystko mnie boli. I to by było na tyle? Marzę o tym, by zniknąć pod kołdrą. Johnny zorganizował mi na jutro wieczór wyjście z domu, abym „oderwał się myślami od zmartwień”. Nie wyobrażam sobie, by pomogło cokolwiek poza lobotomią. Dziś wieczór zamierzam jednak się zanurzyć, upojony, w jeziorze samotności.

Całą noc spędzam na kanapie, wymieniając się SMS-ami z Marią i drzemiąc. Poszedłem tylko na chwilę, godzinę temu, by wziąć prysznic.

Gdy wychodzę z domu, drzwi pasażera są już otwarte.

– Gotów?

– Nie.

– Nie zamierzasz chyba być żalnym palantem?

– Znasz mnie.

– I to jak.

Johnny rusza z piskiem opon. Sposób, w jaki jeździ, diametralnie różni się od sposobu, w jaki żyje.

- Nie potrzeba ci kasy?
- Przeżyję. Dokąd jedziemy?
- Amanda robi kolację i zaprosiła koleżankę.

Niech to cholera! Klnę oczywiście nie ze względu na umiejętności kulinarne Amandy, lecz w imieniu nieszczęsnej singielki, która przeżyje niezłą traumę pierwszego wieczoru mojej powrotnej trasy koncertowej.

- Daj spokój, Ben, nie bądź takim marudą, to przemiła dziewczyna.
- Nie jestem w nastroju na takie rzeczy. Jeszcze nie teraz.
- To tylko kolacja.

Samochody jadą Heath Street zderzak w zderzak, aż Johnny skręca w prawo i podjeżdża do krawężnika przed czterokondygnacyjną wiktoriańską willą – parter i pierwsze piętro należą do nich. Amanda wita nas w drzwiach. Delikatnie mnie obejmuje i szepcze do ucha: „przykro mi”. Johnny jest już w środku.

Gdy w korytarzu zdejmuję płaszcz, widzę przez otwarte drzwi tył głowy – włosy są ciemne, kręcone i spadają kaskadami na tył skórzanej kanapy.

- Wujek Ben!

Tom sfruwa po schodach w T-shircie i szortach z dresowej tkaniny i gdy się obejmujemy, niemal mnie przewraca.

- Tęsknił za tobą – mówi Amanda.
- Co u Jonaha?
- U Jonaha... wszystko w porządku.

Gdy Tom przestaje się śmiać, pyta:

- Kiedy będę mógł się z nim zobaczyć?
- Spotkacie się w parku, gdy Jonah przyjedzie do domu w przerwie – wtrąca się Johnny. – Załatwię wszystko z wujkiem Benem. A teraz idź na górę pograć na Xboksie.

- Zostawcie mi trochę deseru?
- Zostawimy, jeśli pójdziesz teraz na górę – odpowiada Amanda.

Tom uśmiecha się do mnie i wraca na piętro.

- Chodź poznać Rachel – mówi Amanda i bierze mnie za rękę.

Sama moja obecność tutaj sprawia, że czuję się niewierny, więc chwytam jej dłoń, nie patrząc. Sadzają nas naprzeciwko siebie i gdy patrzę na twarz pod włosami, uświadamiam sobie, że gdybym był sobą w wieku piętnastu lat, uznałbym, że życie składa się z samych typowych elementów. Z pewnością nie jest wstydliva, wręcz gapi się na mnie. Johnny i Amanda kręcą się w kuchni i zdają sobie sprawę z tego, że płoną mi uszy.

- Znamy się? – pyta.

Ten klasyczny początek to draństwo. Oznacza, że muszę podnieść wzrok, przestudiować jej twarz i przeanalizować wszystkie możliwe miejsca, w których mogliśmy się spotkać albo rozmawiać. Wymaga też stwierdzenia: „możliwe”.

- Wydajesz mi się znajomy. Gdzie się wychowywałeś?
- Willesden, potem Muswell Hill. A ty?
- The Suburb1.

Gryzę się w język, by nie zapytać, na którym przedmieściu, ale ponieważ używa przedrostka określonego, musi zakładać, że wiem, iż chodzi o Hampstead Garden Suburb². Oczywiście domyślałam się tego, ale irytuje mnie, że tak zakłada i że wyciągnę wynikające z tego faktu wnioski. Moje wnioski są jednak innego typu. Nie lubię jej. To też mnie irytuje. Błędne koło.

– Szkoła? – pyta.

– Alexandra Palace. Ty?

– Henrietta Barnett.

Oczywiście.

– No to nie znamy się ze szkoły – mówię, choć najchętniej bym przerwał tę zabawę. Ona jednak najwyraźniej ma ochotę na więcej.

– Uniwersytet?

– Nie studiowałam. Ty?

– Nieważne. – Czerwieni się.

Wygląda na to, że krótki romans się skończył i padłem na trzeciej przeszkodzie. Zastrzelcie mnie.

– Nie, powiedz. Może miałem tam przyjaciół, nie tak popapranych jak ja.

– Nie chciałam sugerować...

– Oczywiście, że nie.

– Cambridge.

– No to mnie masz.

Johnny ratuje nas butelką wina z Nowego Świata.

– A gdzie ty studiowałaś, Johnny? – pyta, jakby chciała sprawdzić, czy przypadkiem nie trafiła do spelunki w nieodpowiedniej dzielnicy.

– W Manchesterze. Z Benem. Przez trzy lata mieszkaliśmy razem. Tylko sprawdzał twój iloraz snobizmu.

Rachel patrzy na mnie i wydyma wargi.

– Nie mów tylko, że kończyłeś psychologię – mówi, uśmiechając się zza kieliszka.

– Nauki polityczne – odpowiada Johnny za mnie.

– Na politechnice – dodaję.

– Czyli z proletariuszami?

– Tam czuję się najswobodniej.

– Swoboda jest przeceniana.

– Tak jak trzeźwość. Dolej, Johnny.

Czyżbym przez pomyłkę stał się czarujący? Rachel śmieje się z moich żartów i uśmiecha do mnie między łyżkami zupy pomidorowo-paprykowej. Johnny i Amanda chichoczą i mrugają do siebie porozumiewawczo. Muszę przestać pić, zanim ulegnę pokusie przyjemności. Rachel ratuje mnie od tak drastycznego i, szczerze mówiąc, niemożliwego kroku.

– Amanda mówiła mi, że masz za sobą ciężki okres. Przykro mi to słyszeć.

Nie wiem, co na to odpowiedzieć, więc nic nie mówię.

– Jonah wydaje się fascynujący i jest do tego tak ładnym chłopcem.

Na kominku stoi zdjęcie Jonaha i Toma, na którym obaj uśmiechają się od ucha do

ucha. Rzadki obrazek i zaczynam się zastanawiać, kiedy powstał. Ogarnia mnie melancholia.

– Ma jakąś szczególną zdolność?

– Słucham?

– Jonah jest autystyczny, prawda? Czy ma jakieś niezwykle uzdolnienie?

To pytanie zawsze mnie zdumiewa i otrzeźwia, a zadają je zawsze ludzie, którzy uważają, że Dustin Hoffman w *-Rainmanie* to podręcznikowy przypadek.

– Gdy wyciągam do niego ciastko, daje łapę.

– Ben! – karci mnie Amanda.

– Przepraszam. Nie ma szczególnych uzdolnień, o których warto by mówić, nie jest na tym końcu spektrum autystycznego. – Zdaję sobie sprawę, że Rachel oczekuje szczegółowego spota reklamowo-informacyjnego o blaskach i cieniach autyzmu, ale ten poziom ignorancji zawsze mnie szokuje i prowokuje do szokowania. – Oczywiście, jeśli nie liczyć srania w gacie.

Rachel śmieje się do mnie.

– Świetnie nam idzie, nie sądzisz, Amando?

Czyżbym miał na nią ochotę? A może jestem tylko wkurzony i napalony?

– Wygląda, że ma niezły charakter, ten twój syn.

– Bez dwóch zdań. Jest całkowicie niewerbalny, nie używa ani jednego słowa.

– Nigdy?

– Czasami odzywa się do bardzo ładnych dziewczyn. – Zdaje się, że jestem wkurzony, napalony i flirtuję.

– Chętnie bym go poznała.

Gdy taksówka zatrzymuje się przy krawężniku, czuję, jak samotność przenika mnie jak mdłości – mdłości na myśl, że ktokolwiek inny może mnie dotykać, mdłości na myśl, że już nigdy nikt mnie nie będzie dotykał. Dziwna letnia noc, jedna z tych, gdy nie robi się ciemno do końca.

Siedzę na murku ogródka i palę papierosa. Potem następnego, bujając zwisającymi z małego palca kluczami. Nagle czuję, że nie chcę wchodzić do środka. Wszyscy opuszczają ten dom i teraz oddano go mnie. Wlokę się do frontowych drzwi i wsuwam klucz w zamek. Atakuje mnie cuchnące wspomnienie, przygniata ciemność. Noc zaraz wypełni się whisky, telewizją i snem na kanapie – przy zapalonym świetle. Potrzebuję hałasu, głosów, towarzystwa. Potrzebuję żony. Syna.

– Zrobiłem ci kawę. Nie powinieneś tak dużo pić tego paskudztwa.

– Która godzina, tato?

Mój wzrok wyostrza się i widzę Maurice'a. Patrzymy na siebie zmieszani, po czym równocześnie odwracamy spojrzenia.

– Jedenasta. Pij kawę.

Narasta we mnie niepokój, jakbym zapomniał zrobić coś o zasadniczej wadze, no i boli mnie głowa.

– Jonah!

– Chłopak jest w szkole, nie pamiętasz? Zawiozłeś go tam wczoraj.

Biorę łyk kawy. Z ust śmierdzi mi jak spod pachy goryla.

- Maurice, doceniam gest, ale nie musisz mnie codziennie kontrolować.
- Maurice wydaje z siebie burknięcie.
- Twój ojciec coś napisał.
- Co?
- Coś. Masz.
- Daje mi do ręki plik poplamionych i poszarpanych kartek.
- Parzy się moja herbata – mówi, wychodząc do kuchni.
- Maurice, co to, do kurwy nędzy, jest?
- Czytaj! – woła z kuchni. – Potem ci wyjaśnię.

Przeznaczone do czytania WYŁĄCZNIE przez Benjamina Jewella. Marzec 1976

Od stu lat – choć tak naprawdę nikt nie wie tego na pewno – mieszkaliśmy na Węgrzech, w dalekim kraju na wschodzie Europy, w mieście zwanym Budapeszt, choć tak naprawdę to dwa miasta: Buda i Peszt, podzielone rzeką Dunaj, ale połączone wielkim mostem. Byliśmy dobrą, dużą rodziną, a twój dziadek – mój ojciec – Louis, był lekarzem. Miał wielu pacjentów i dobrze się nam żyło.

Gdy urodziłem się w 1934 roku, wszystko wskazywało na to, że dobrze jest być Żydem. Ojciec i matka, Edit, bardzo mnie kochali i kochali też mojego brata – twojego wujka – Jonatana. Uwielbiałem brata, był trzy lata starszy ode mnie, był wysoki i miał ciemne włosy i nieustannie szeroko się do mnie uśmiechał. Pod pewnym względem był nieco inny. Nie chciał albo nie umiał mówić i zdawał się swobodnie płynąć przez życie. Jeśli pilnie go nie obserwowałem, był w stanie zniknąć. A gdy tracił panowanie nad sobą? Boże drogi! Nawet ja nie byłem w stanie go uspokoić.

Trzy razy policja przywoziła go do domu, gdy w trakcie zakupów uciekł mamie. Policjanci stwierdzili, że były na niego skargi. Jonatan podobno chodził po targu owocowym i brał bez pytania wszystko, co mu się spodobało, nadgryzał, po czym bez zastanowienia rzucał za siebie jabłko, pomarańczę, śliwkę czy gruszkę.

W 1939 roku Niemcy i ten drań Hitler najechali na Polskę – kraj niedaleko położony od Węgier – a już przedtem ich wojska weszły do Czechosłowacji. W następnym roku Węgry zostały sojusznikiem Niemiec i atmosfera w stosunku do nas się zmieniła. Ludzie nagle przestali przychodzić do gabinetu ojca, a mama codziennie płakała. Byłem oczywiście za mały, aby zdawać sobie sprawę z tego, co się dzieje. Ledwie przestałem być niemowlakiem, ale ważne, abyś o tym wiedział, Benjaminie, ponieważ jesteś najmłodszym Jewellem i musisz przekazać tę historię swojemu synowi albo swojej córce.

W styczniu 1944 roku miałem dziewięć lat, a Jonatan dwanaście. W dalszym ciągu nie mówił i nie zaczął chodzić do szkoły. Ojciec zatrudnił dla niego prywatnego nauczyciela, ale nic to nie dawało. W tym czasie bez przerwy mówiłem i czytałem jak dorosły. Nie wiem, czy byłem inteligentniejszy od przeciętnego dziewięciolatka, ale w porównaniu z Jonatanem byłem genialnym dzieckiem i szybko przejąłem rolę starszego brata. Jonatan nie potrafił niczego się nauczyć ani nie umiał wysiedzieć długo spokojnie, więc nauczyciel się zwolnił – nie był w stanie nic zdziałać – stwierdzając, że Jonatan jest imbecylem.

W ciągu następnych tygodni – jeszcze nie skończyły się wakacje – stałem się opiekunem brata. Nie dało się trzymać go w domu, gdyż był silny i mógł stać się agresywny w stosunku do wszystkich ludzi poza mną, jeśli zostałyby zamknięty. Tak więc, w ramach kompromisu, spacerowałem z nim codziennie, odpowiadając na drwiny dzieci z sąsiedztwa i odrzucając w ich stronę kamienie. Kochałem brata i byłem gotów zabić każdego, kto by go skrzywdził.

18 lutego obchodziliśmy jego trzynaste urodziny. Było przyjęcie dla rodziny i znajomych, choć Jonatan ani tego nie zauważył, ani się tym nie przejął. Wieczorem, gdy byłem już w łóżku, przyszedł ojciec.

– Georg – powiedział – jutro Jonni od nas odejdzie.

Usiadłem na łóżku spanikowany. Spytałem dlaczego.

– Przecież mogę się nim zajmować.

Ojciec uśmiechnął się i położył obok mnie. Nigdy czegoś takiego nie robił.

– Pojedzie do miejsca, gdzie nie będzie się mógł zranić ani nikt go nie zrani i gdzie – mam nadzieję – nauczy się sobą zajmować. Gdzie będzie bezpieczny.

– Ale przecież ja mogę się nim zajmować! – protestowałem, ale ojciec, kręcąc głową, odparł na to, że to ustalone, i mimo młodego wieku czułem ból w jego głosie. Potem ojciec zaczął płakać, a jego rwany oddech, szloch i łzy na moim policzku czuję do dziś.

Gdy dziecko po raz pierwszy widzi, jak jego ojciec płacze, czuje się, jakby podcięto mu nogi, w jednej chwili cały świat się zmienia i gdzie się nie spojrzy, widać tylko niebezpieczeństwa i zagrożenia. Gdy usłyszałem tamtej nocy płacz ojca, uświadomiłem sobie, że od tej chwili muszę zacząć dbać sam o siebie. Bycie świadkiem, jak ojciec płacze, to coś strasznego.

Następnego dnia rano Jonatana nie było. Po mamie było widać, że płakała – miała wokół oczu czerwone obwódki, a ojciec jakby się zapadł w swoim fotelu i nie był w stanie wyrzeć spod zasłaniającej mu twarz gazety. Wziąłem kilka kromek chleba z dżemem, wyszedłem z domu i przeszedłem dokładnie tę samą trasę, którą przemierzaliśmy z Jonatanem. Powtarzałem to później codziennie. Nie mam pojęcia, czy miałem nadzieję znaleźć brata, czy chłopaków, którzy z niego drwili, by się na nich zemścić. Czułem, że jestem już mężczyzną i się nie cofnę.

Chodziłem tak przez miesiąc, aż ulice zapełniły się biegającymi we wszystkie strony ludźmi, jakby lew wyrwał się na wolność i krążył po mieście, szukając przekąski. Nie był to jednak lew, lecz szczególny rodzaj hitlerowskich drani, których buty trzeszczały na kostce brukowej, mieli oczy tak samo czarne jak mundury, a na pagonach srebrne błyskawice i czaszki. Słyszałem o nich – najgorszych z najgorszych: SS. Wuj Piotr ostrzegał mnie przed nimi, bo byli nie lepsi od złych Obcych z moich amerykańskich komiksów, a ich przybycie oznaczało śmierć, naszą śmierć, śmierć Żydów.

Pobiegłem do domu tak szybko, że omal mi płuca nie popękały, i okazało się, że ojciec siedzi zapadnięty w fotelu, zasłonięty gazetą – tak samo jak miesiąc temu.

– SS! SS się zjawilo! – zawyłem, ojciec nawet jednak nie drgnął. – Ojcie, hitlerowcy są w Budapeszcie!

– To było nieuniknione. Idź się umyć, masz brudne ręce.

Do października stali się wszechobecni, po ulicach maszerowali żołnierze i jeździły czołgi, z głośników ryczał niemiecki język – i zaczęli zabierać ludzi. Spieszyli się, bowiem w tym czasie wojna nie szła już po ich myśli. Spieszyli się, by wysłać wszystkich Żydów do obozów, do Auschwitz. Wszyscy musieliśmy nosić żółte gwiazdy, żeby mogli nas łatwo wybierać z tłumu, poza tym mieli listy nazwisk i adresów ważnych Żydów – na przykład takich jak mój ojciec.

Gdy zabierali jego i mamę, nie było mnie w domu. Moim ostatnim wspomnieniem dotyczącym ojca jest fotel i zasłonięta gazetą twarz. A mamy? W łóżku, mój kochany chłopcze, z czerwonymi obwódkami wokół oczu, otoczona zapachem palinki. Oderwałem żółtą gwiazdę i godzinami biegałem po ulicach, szukając ich, ale gdy zapadł zmrok, wiedziałem, że grozi mi niebezpieczeństwo, więc schowałem się na noc pod czyjąś werandą. Miałem jedynie ubranie na sobie i kartkę zabraną z gabinetu ojca z adresem sanatorium, w którym przebywał Jonatan. Postanowiłem go uratować.

Gdyby tata opowiedział mi o Jonatanie... Musiał mieć świadomość, że autyzm to w naszej rodzinie nie pierwszozna. Ileż mógł mi oszczędzić udręki, poczucia winy z powodu picia, zakładania, że to ja jestem winien za stan Jonaha. Z drugiej strony tata nic nie wiedział o moich lękach. Mieliśmy własne dziedziczne problemy z rozmawianiem – choć może mniejsze niż Jonatan czy Jonah.

Maurice stoi w drzwiach.

– Od kiedy to masz?

Podchodzi i siada obok mnie na kanapie.

– Jakież trzydzieści lat. To wszystko prawda, Ben. Każde słowo. A jest tego dużo więcej.

1 *Suburb* (ang.) – dosłownie: przedmieście.

2 Rezydencyjna dzielnica na północy Londynu, w której znajduje się wiele najdroższych londyńskich posiadłości.

Lukier

Jazda z Budapesztu nad Balaton trwa czterdzieści pięć minut, ale z Maurice'em u boku mam wrażenie, jakby minęło kilka dni. W Budapeszcie składam wniosek o zwrot nieruchomości należącej do dziadka i dowiaduję się o ewentualne odszkodowanie dla taty. Urzędnicy są grzeczni, ale dokumenty tak skonstruowane, aby maksymalnie przeciągać sprawę. Zapamiętuję, by skorzystać z prawniczej błyskotliwości Emmy. Nie chodzi tak naprawdę o pieniądze ani o spóźnioną sprawiedliwość – z pomocą Jonaha poczułem entuzjazm na myśl o perspektywie walki. Wszystko działo się prawie siedemdziesiąt lat temu, jednak moje oburzenie jest świeże, a dorosłe życie Jonaha jeszcze niezabezpieczone. Jest w Highgrove Manor już od roku. Czas płynie i już nie mogę się doczekać jego dłuższego pobytu w domu.

Norah, nasza przewodniczka, czeka na peronie. Ta towarzyska dziewczyna ledwie skończyła dwadzieścia lat, czyli pochodzi z pokolenia, którego takie zadania jak nasze nie zenują. Jej biały golf wiezie nas nieskalaną, asfaltową drogą z Balatonfüred w kierunku miasteczka Tihany znajdującego się na półwyspie.

– Budynek stoi do dziś – mówi przez ramię. Jej samochód jest trzydrzwiowy i siedzę z tyłu. – Sprawdziłam. Nie prowadzono w nim żadnych większych robót.

– Do czego dziś służy?

– Korzysta z niego prywatna szkoła. Czekają na nas.

– A dom nad jeziorem?

– Został przebudowany.

Tihany okazuje się szykownym miejscem. Przesadnie duże wille, obite belkami i deskami, by udawać proste chaty. Norah zaraz po wjeździe do miasteczka skręca w prawo i jezioro znika nam z oczu. Jedziemy wśród świerków, aż droga zwęża się do podjazdu, na końcu którego stoi duży budynek.

– Jesteśmy, mówiłem ci, Ben, *nu*?

Mój wzrok zatrzymuje się jednak na wielkim, malowanym szyldzie nad frontowymi drzwiami. JEWELLY ISKOLA AUSTIST GYERMEKEK.

– Norah?

– To znaczy: Szkoła dla Dzieci Autystycznych Jewelly.

Muszę usiąść, na szczęście tuż obok wejścia jest ławka. A więc stąd pochodzi nasze nazwisko, tu wykuła się moja tożsamość. Dostrzegam zamocowane rzepami na szybkach drzwi symbole PECS i Makaton. Nie potrzebuję Norah, by je zrozumieć.

Dyrektorka perfekcyjnie mówi po angielsku i częstuje nas kawą z ciasteczkami.

– Rząd dał nam nieruchomość w dziewięćdziesiątym trzecim roku, nikt nie wysuwał roszczeń.

– Ale zachowaliście pierwotną nazwę?

– Naszym zdaniem pasowała. Przygotowałam zdjęcia, o które pan prosił. Jedno na pewno pana zainteresuje.

Fotografia jest czarno-biała, wielkości pocztówki, i ukazuje dom zza muru, którego teraz nie ma, a który musiał zamykać teren przed budynkiem. Z lewej strony w głębi, w cieniu sosen, widać stodołę.

– Ta stodoła przetrwała do dziś?
– Nie. Gdy się tu zjawiliśmy, została jedynie rozpadająca się ruina. Przez pięćdziesiąt lat nie zrobiono tu nic i stanowiła zagrożenie dla dzieci.

– A mur?

– Nie jesteśmy w więzieniu. Pierwsze, co zrobiliśmy, to go zburzyliśmy.
Nie mogę się doczekać rozpoczęcia poszukiwań.

– Możemy wyjść na zewnątrz?

– Oczywiście. Będę panu towarzyszyć.

Teren porasta leśnymi roślinami i trawami. Rosną gęsto, nie widać żadnych wyraźnych nierówności, przecinek ani polan. Zakreślamy z Maurice'em ósemkę, odrzucając czubkami butów drobne rośliny, chwasty i mchy. Po półgodzinie jestem spocony, zmęczony, sfrustrowany i kucam, by zapalić. To musi tu gdzieś być.

– Może powinniśmy...

– Nie, Maurice. Muszę to znaleźć.

Rzucam niedopałek w trawę i gdy przydeptuję go czubkiem buta, czuję pod stopą coś twardego. Kładę się na trawie i zaczynam palcami zdrapywać poszycie. Trafiam na krawędź cegły.

– Maurice, jest tutaj!

Maurice podchodzi, zapala cygaro i czeka, aż usunę z cegły rośliny i ziemię. Pojawia się coraz większa powierzchnia, niczym rdzawe pasmo górskie. Czuję się jak archeolog ostrożnie wykopujący kolejne kamienie egipskiej piramidy. Są tu dziesiątki cegieł. Kiedyś musiały się przewrócić, więc obcieram je z ziemi i kładę płasko, przeciągam dłonią po powierzchni i odwracam. Trzy się wyróżniają. Tworzą niemal prostokąt, a napis, choć lekko zwietrzały, jest czytelny.

JONATAN, TIZENKET

BATYAM

NAGYON SAJNALOM

GEORG

Odwracam się do Norah.

– „Jonatan, trzynaście. Mój brat. Bardzo mi przykro. Georg”.

– Mój wujek, tu jest pochowany mój wujek. Wuj Jonatan.

Maurice zaczyna odmawiać kadisz.

– Możemy zostać na chwilę sami? – pytam dyrektorkę i Norah.

Kobiety odchodzą w kierunku budynku, Maurice kończy modlitwę, a ja wyciągam – przemycone przez kontrolę na granicy – łopatkę i pojemnik. Zaczynam kopać. Ziemia poddaje się dość łatwo, w kilka minut dziura jest wystarczająco duża, by pomieścić urnę. Gdy wkładam ją do środka, zasypuję i przyklepuję ziemię, czuję na ramieniu dłoń Maurice'a.

– Chcesz to teraz?

– Chętnie, jeśli nie wytarłeś sobie w nie nosa.

Maurice podaje mi plik poszarpanych arkuszy – sekret ojca – i zaczynam czytać. Na głos.

Tak więc postanowiłem go uratować. Pod podszewką płaszcza miałem schowany związany czerwoną wstążką zwitek banknotów pengő, który ukradłem z gabinetu ojca, i jego pistolet – lugera.

Ranek był bezchmurny i zimny, odbijające się od powierzchni Dunaju słońce ogrzewało mi zmarznięte palce rąk i stóp i suszyło moje łzy, tworząc brudne smugi na twarzy.

Musiałem się dostać na dworzec Keleti, przez most, do Pesztu. Przed wojną jeździliśmy w lecie zawsze nad Balaton. Ojciec miał gabinet w pokoju od frontu. Pływałem, Jonatan moczył nogi w chłodniejszej wodzie przy pomoście, śmiał się i chlapał, ja zaś znikalem pod wodą, by po chwili się wynurzyć, wypływając na niego strumienie wody niczym wieloryb. Jonatan nigdy nie nauczył się pływać i Anton, asystent ojca, siedział przy nim, trzymając go za ramiona, by nie wpadł do wody i się nie utopił.

Gdy kończyłem pływać, szliśmy wzdłuż brzegu, rzucając kamieniami do wody i obserwując kołyszące się na jeziorze i mijające się łodzie i żaglówki. Gdy wracaliśmy, zawsze czekała na nas gorąca czekolada i łyk byczej krwi. Potem siadaliśmy przy dużym oknie i czekaliśmy, aż letnie słońce pożegna się z nami na noc – aż ostatni ślad pomarańczowego blasku zniknie za niewysokimi wzgórzami na drugim brzegu. Zwykle nie miewałem snów, Jonatan sypiał niewiele.

Życie płynęło łagodniej niż w mieście, Jonatan był spokojniejszy, matka bardziej szczęśliwa, ojciec częściej się uśmiechał.

Drobny blondynek w zbyt dużym płaszczu może być niewidoczny dla nerwowego wzroku dorosłych i droga na dworzec przebiegła zaskakująco bez incydentów. Hitlerowcy byli rozedrgani i nieprzygotowani, oddali punkty kontrolne Węgrom, których przerażały plotki o zbliżaniu się Armii Czerwonej.

Dworzec pękał w szwach. Krążyłem między sznurami uciekinierów, czasami pełzając na czworakach, ignorując przekleństwa i machające ramiona, aż dotarłem do kasy.

– Balaton – powiedziałem.

Kasjer wybuchnął śmiechem, poklepał mnie po głowie i spojrzał na mężczyznę za mną.

– Balaton – powtórzyłem głośniej. – Poproszę bilet nad Balaton. Mam pieniądze.

Czułem napięcie stojącego za mną tłumu i moje zdecydowanie zaczęło się zamieniać w łzy.

– Ile kosztuje bilet nad Balaton?

– Idź do domu, dzieciaku.

– Muszę się dostać nad Balaton.

Kasjer wyciągnął rękę i złapał mnie za kołnierz.

– Zmykaj do domu, synku, zanim...

– Niech pan sprzeda mu bilet.

Odwrociłem się, by sprawdzić źródło głosu. Wysoki mężczyzna, jasnowłosy,

w okularach. Inni kolejkowicze zaczęli się dołączać, pokrzykując na kasjera.

– W porządku, niech będzie. Balaton. Cztery pengö.

Sięgnąłem za pazuchę, wyciągnąłem cztery banknoty ze zwitka i podałem je kasjerowi, dostając w zamian bilet.

– Proszę bardzo, tamten pociąg, pierwsze cztery wagony. Lepiej się pośpiesz, odjeżdża za cztery minuty.

Gdy zamykałem ciężkie żelazne drzwi, pociąg ruszył. Poszedłem korytarzem w poszukiwaniu wolnego przedziału. Wszystkie były pozajmowane i zdecydowałem się na taki z jednym wolnym miejscem przy oknie, którym jechała pięcioosobowa rodzina. Zacisnąłem dłoń na kolbie lugera i zacząłem walczyć z pociągowym zaproszeniem do snu.

Obudził mnie strażnik.

– Chłopcze, nie możesz zostać w pociągu. Wstawaj i zwiewaj. I bądź ostrożny, na północy, w okolicy pól naftowych, są Niemcy.

Potarłem oczy i wymacałem broń i pieniądze. Wszystko było na miejscu.

– To Balaton?

– Jesteś nad jeziorem. W Balatonfüred. Dokąd chcesz się dostać?

– Do Tihany. Mam się spotkać z bratem.

– Chodź, pomogę ci wysiąść z wagonu.

Wyglądało na to, że jestem po tej stronie Balatonu co należy. Jezioro jest duże i mógłbym potrzebować na jego obejście wielu godzin, ale strażnik uważał, że jak będę szedł szybko, to w Aszófö mogę być za godzinę, coś tam zjeść, i być w Tihany za kolejne dwie godziny.

– Dlaczego do Tihany, mały? Nie ma tam nic poza kilkoma starymi domami letnimi i sanatorium, gdzie trzymają wariatów.

– Brat czeka na mnie w naszym domu nad jeziorem. – Byłem pewien, że strażnik mi nie wierzy, ale nie powiedział nic więcej poza tym, abym był ostrożny, po czym wrócił do pociągu. Popatrzyłem, jak lokomotywa wypuszcza parę i jak pociąg odjeżdża, i pomaszerowałem do Aszófö. Umierałem z głodu, nie jadłem od wielu godzin, a gdy zacząłem truchtać, czułem wczesny jesienny chłód.

Aszófö okazało się jednak miastem duchów – miejscami dymiły się zgliszcza, wszędzie widać było powybijane okna, na ulicach walały się łuski. Przeszukałem trzy opuszczone domy, by znaleźć coś do jedzenia, i znalazłem jedynie porzucony w połowie talerz z wieprzowiną i ziemniakami – niestety wszystko było zbyt spleśniałe, by jeść. Nabrałem trochę wody w studni, napiłem się i jak najszybciej odszedłem. Było jasne, że wydarzyło się tu mnóstwo zła, więc wychodząc z miasteczka i kierując się na Tihany, trzymałem lugera na wierzchu, przyciśniętego do uda. W myślach rozmawiałem z Jonatanem, planowałem wspólne przygody, zabawy i podróże do dalekich miejsc.

Było tak cicho, że usłyszałem zbliżający się samochód pięć minut wcześniej, zanim się pojawił, i gdy mnie mijał, byłem bezpiecznie schowany za sosną. Była to niemiecka ciężarówka, z zieloną plandeką i swastykami na drzwiach. W środku widać było sylwetki żołnierzy. Jechała tam, dokąd chciałem dotrzeć, by uratować Jonatana. Gdy zniknęła za zakrętem, zacząłem biec ile sił w nogach.

Po półgodzinie zobaczyłem dachy miasteczka, a dziesięć minut później chowałem się za szopą na narzędzia, stojącą za murem Sanatorium Jewelly, z lugerem w dłoni, i w znikającym świetle dnia patrzyłem, jak kilkunastu ubranych na czarno esesmanów śmieje się i rozmawia, częstuje się papierosami, i sika na opony ciężarówki.

Było pięć salw – oczywiście żaden strzał nie padł z pistoletu ojca, który ścisnąłem w dłoni, lecz ze znacznie silniejszej broni oznaczającej śmierć. Pękło mi serce.

Kilka minut później dwóch esesmanów wyszło z budynku i wsiadło do szoferki. Pozostali rzucili papierosy na ziemię, wściekle je zdeptali i wspięli się na pakę. Ciężarówka zawróciła i ruszyła z powrotem do Aszófö.

Na horyzoncie widać było już tylko cieniutki paseczek dziennego światła i powróciła cisza. Serce waliło mi jak oszalałe. Wyszedłem z kryjówki i pobiegłem, pochylony, w kierunku sanatorium. W środku moje kroki odbijały się echem od marmurowej posadzki. W ciemności dostrzegłem centralnie umieszczone szerokie schody, od których odchodziły w prawo i w lewo korytarze. Poszedłem w lewo, trzymając pistolet przed sobą.

W lewym korytarzu było pięć pokoi – gabinetów lekarskich, i gdy mój wzrok przyzwyczał się do ciemności, stwierdziłem, że wyglądają jak gabinet ojca – były tu oszklone szafki, plansze i dziwne instrumenty. W pierwszych czterech gabinetach nikogo nie było, ale w piątym paliło się światło – pomarańczowe i przytłumione – i dolatywał z niego zapach dymu papierosowego. Wszedłem do środka bardzo ostrożnie. Zapach pochodził od niedopałka zwisającego z ust mężczyzny, którego lekarski kitel był nakrapiany czerwonymi plamami. Obok niego – ułożone jak zbiór lalek – leżały cztery kobiety w strojach pielęgniarek, tak samo nakrapianych na czerwono. Swoim dziecięcym umysłem uznałem, że wszyscy bawią się, udając martwych.

– Jonatan! – wrzasnąłem i wybiegłem z gabinetu, gorączkowo przeliczając w głowie salwy, które słyszałem kilka minut wcześniej. Pięć serii strzałów – pięć martwych osób.

– Jonatan! – Przeszukałem pokoje w prawym korytarzu. Wszystkie były puste. Potem, porzucając wszelką ostrożność, pobiegłem na piętro.

– Jonatan! – Na górze były duże podwójne drzwi z przestrzelonym zamkiem, otwarte. W sali za drzwiami po obu stronach stały łóżka, a na każdym ktoś leżał – całkowicie nieruchomo, na plecach, z rękami wzdłuż tułowia.

– Jonatan! – Znalazłem go w ostatnim łóżku z prawej strony, przykrytego bielusińskim prześcieradłem. Miał zamknięte oczy i uśmiechał się do mnie swoim szczerym uśmiechem. – Jonatanie... już wszystko dobrze. Odjechali. Przyjechałem cię uratować, zabrać cię do domu.

Dotknąłem jego policzka i w palce ukuł mnie chłód. Pocałowałem go, zacząłem nim potrząsać i krzyczeć do niego, a lzy zamarzały mi w kryształki lodu. Położyłem się obok niego na łóżku, objąłem i zacząłem mówić do jego niesłyszącego ucha o przyszłości, po czym zasnąłem.

Byłem dzieckiem, dość już w życiu widziałem, wiedziałem jednak, że zanim się zjawiłem, uratowali go ludzie w nakrapianych na czerwono strojach i z powodu swojej dobroci zginęli. Był cały i uśmiechnięty i cokolwiek mu dali, posłało go to do miejsca,

gdzie byli tata i mama – w spokoju i bez strachu. Uratowali go przed hitlerowską kulą.

Był, co oczywiste, większy ode mnie, bo był przecież trzy lata starszy, ale następnego dnia rano, wykorzystując materac jako sanie, wyciągnąłem go z sali, ściągnąłem schodami na dół i zawlokłem w cień pod ros-nącą za murami sosnę. Szpadłem z szopy na narzędzia, za którą chowałem się poprzedniego dnia, wykopałem grób, pochowałem brata i zazaczyłem miejsce nagrobkiem z ziemi i cegieł, które wybiłem z muru dużym młotem.

Jednej rzeczy z nim nie pochowałem, gdyż nie byłem w stanie się z nią rozstać – przycisku do papieru, który należał do ojca. Kryształowego przycisku, który rozbijał światło na poszczególne kolory, tworzące tęczę na niewinnej twarzy Jonatana, i teraz był jedyną rzeczą, jaka pozostała po mojej rodzinie. Ojciec mówił na niego „klejnot Jonatana”. Kryształ trafił do sanatorium wraz z Jonatanem, ojciec musiał dać mu go w chwili rozstania, a teraz ja musiałem się rozstać ze wszystkim, co znałem i kochałem. Stałem się kimś całkowicie innym – czy oznaczało to, że powinienem zmienić także nazwisko i wszystko inne? Zarówno szpital, na terenie którego pochowałem brata, jak i przycisk do papieru, który ścis-kałem w dłoni, mówiły mi, że zaczynam życie od nowa, więc od tej chwili moje nazwisko miało brzmieć Jewell.

Zostałem jeszcze jedną noc, zabrałem tyle jedzenia, ile byłem w stanie unieść, i ruszyłem z powrotem do Balatonfüred i pociągu – uważając, aby nie wychodzić spomiędzy drzew.

Peron był pusty. Wiatr przerzucał strzępy gazet, a ja rozglądałem się wokół, dumając nad tym, że od przyjazdu do tego miejsca widziałem jedynie trupy i hitlerowców. Drzwi do biura zawiadowcy zwisały wyrwane z zawiasów, biurko pokrywały zalane kawą papierzyska, a skrzynka telegrafu została wyrwana ze ściany. Mapa kolejowa wisiała jednak na ścianie, na korkowej tablicy, więc zdjąłem ją delikatnie i złożyłem tak, by zmieściła mi się w kieszeni.

Miałem wrażenie, że cały świat umarł. Nie tylko rodzice – o czym dowiedziałem się później – i Jonatan, ale cały świat. Może byłem ostatnim żywym człowiekiem na świecie? Z początku wprawiło mnie to w radosny nastrój. Wiem, że to było dziecinne, ale myślałem jedynie o pustych sklepach, pełnych różnych rzeczy i jedzenia, a wszystko za darmo, wszystko dla mnie. Zamieszkać w największym domu w Budapeszcie i ukoronuję się na króla, codziennie będę jeździł innym samochodem i już nigdy nie pójde do szkoły. Mały chłopiec może jednak znieść tylko określoną dawkę ciszy i bawić się w określoną ilość samotnych zabaw, zanim pojawi się nuda, potem poczucie samotności, a w końcu strach. Kto się mną zajmie, gdy zachoruję? A jak zachoruję tak bardzo, że zacznę umierać – kto zajmie się mną tak dobrze, jak pielęgniarka, która uwolniła Jonatana?

Co więc miałem robić? Wrócić do Budapesztu torami, po których poprzedniego dnia przyjechałem, czy iść w przeciwnym kierunku, chyba na zachód, choć nie byłem tego pewien? Musiałem podjąć decyzję – czekać na pociąg, który może nigdy nie przyjechać, czy iść torami, które – dobrze już o tym wiedziałem – prowadziły do stacji i dworców znajdujących się w miastach, w których jest dużo ludzi. Zeskoczyłem na zakurzone tory – ramiona mnie bolały od ciężaru niesionego jedzenia – odwróciłem się

plecami do budapeszteńskiego domu, do którego, jak miało się okazać, nigdy nie wrócę.

Ludziom się wydaje, że tory kolejowe biegną prosto, ale tak nie jest – dopasowują się do terenu, przecinają doliny, przebijają się przez góry, pokonują rzeki i ciągną się w nieskończoność. Zanim słońce zaczęło mocno przypiekać moją nieosłoniętą głowę, minąłem trzy opuszczone miasta, a godzinę po pozostawieniu za sobą ostatniego dotarłem do pustej budki na rozjeździe, gdzie tory rozchodziły się jak zamek błyskawiczny. Usiadłem w budce, by skorzystać z cienia, napiłem się wody i rozłożyłem mapę.

Północny zachód czy południowy zachód? Oba kierunki oznaczały Austrię. Rzuciłem monetą – tak proste czynności decydują o losach życia – i ruszyłem na północny zachód, wiedząc, że dotrę ponownie do Dunaju. Mapa pokazywała tam wiele linii kolejowych przez wiele miast, choć nie umiałem określić, ile czasu zajmie mi dotarcie tam na piechotę.

Szedłem torami przez trzy dni, chroniąc się gdzie popadnie, ale nawet we śnie posuwałem się wzdłuż torów. Zacząłem gadać sam do siebie, tylko po to, aby sprawdzić, czy jeszcze umiem mówić. Samotność robi z człowiekiem coś takiego. Prowadziłem także rozmowy z tatą, mamą i Jonatanem, z rodziną, z którą jechałem w tym samym przedziale z Budapesztu nad Balaton, z towarzyszem Stalinem – prosząc go, by się pospieszył, a nawet z Adolfem Hitlerem, językiem, który słyszałem w cieszących się złą sławą dzielnicach Budapesztu, a którego nigdy nie miałem odwagi używać nawet z kumplami albo Jonatanem, choć on i tak nic by nie powtórzył.

Piątego dnia, gdy usiadłem na torach, by dać odpocząć zmęczonym stopom, poczułem biegnące po kręgosłupie leciutkie drżenie. Wrażenie narastało, aż w końcu podskakiwałem jak na karuzeli w wesołym miasteczku.

Był to pociąg. Pociąg! Nigdzie jednak nie było widać stacji – tak naprawdę nie miałem zielonego pojęcia, jak daleko jest najbliższe miasto. Przez dwa dni liczyłem kroki, by oszacować pokonany dystans, ale już dawno przestałem to robić. Pobiec z powrotem? Biec do przodu? Dobrze wiedziałem, że pociągi jeżdżą szybciej, niż biega dziewięciolatek, pobiegłem więc do najwyższego punktu w okolicy – niewysokiego zarośniętego pagórka – i zacząłem się rozglądać, mrużąc oczy pod słońce, próbując odróżnić dym z komina lokomotywy od chmur, aż wyraźnie było widać przód parowozu. Rósł w oczach tak szybko, że musiał pędzić dobrze ponad sto kilometrów na godzinę. Zacząłem machać, najpierw jedną ręką, potem dwoma, plecak spadł mi z ramion i... tak! To był węgierski pociąg – dobrze widziałem oznakowania, więc do machania rękami dołączyłem podskoki. Złapałem plecak i zacząłem biec w kierunku pociągu, modląc się, aby zwolnił na tyle, bym mógł wskoczyć, zobaczyć twarz, usłyszeć głos, ująć dłoń.

Pociąg faktycznie zwolnił, ale tylko dlatego, że zaczynał się podjazd, a lokomotywa, tak uśmiechnięta i znajoma, gdy się zbliżała rozświetlona promieniami słonecznymi, gdy dojechała do mnie, okazała się demonem – pozbawione drzwi wejście do kabiny potwora zamieniło się w oko kobry, pełne czarnych stalowych powiek plujących we mnie pociskami.

Odruchowo rzuciłem się na ziemię, przywierając płasko do żwiru i chwastów obok nasypu, aż wystrzały ucichły, a bydlęce wagony przejeżdżały z głuchym odgłosem – łoskot, łoskot, łoskot – drewniane, ponumerowane i poznaczone swastykami. Pociąg nie

zwolnił i wszystko wskazywało na to, że jedyna jazda, jaką mógł zaoferować, to do piekła, a ja nie zamierzałem się tam udawać, przynajmniej na razie.

Leżałem na brzuchu, unosząc głowę, i gdy minął mnie ostatni wagon, jedna z jego desek odsunęła się i gdy znalazł się na szczycie wzgórza, stałem się świadkiem narodzin – ze szczeliny, w której mógłby się zmieścić szkolny zeszyt, wydostał się kłębek, upadł na tory i potoczył jak balon – taki był lekki – aż zatrzymał się tuż obok mnie.

Kłębek miał twarz, choć trudno się było dopatrzeć czegoś ludzkiego między wystającymi kośćmi. Była to jednak bez dwóch zdań twarz – chłopaka, z jego zapadniętych oczu biła ulga tak wielka jak dwa snopy światła z latarek.

Wskazałem palcem na siebie.

– Georg – powiedziałem, po czym chłopak zrobił dłonią gest picia.

Wieki później, gdy dałem mu kropla po kropli trochę wody, przespał się i nieco doszedł do siebie, spróbowałem ponownie.

– Georg. – Uniosłem dziewięć palców. – Dziewięć lat. Węgier.

Z trudem wyciągnął wychudzoną jak szkielet dłoń i ująłem ją. Była tak chuda, że dałbym głowę, iż palcem wskazującym poczułbym przez nią własny kciuk.

– Mauritz. Nederland. – Dwie piątki i dwójka. Miał dwanaście lat, ale sięgał mi do ramienia. Na przedramieniu miał obozowy tatuaż, nie było więc potrzeby pytać.

– Maurice, chciałbym zabrać cegły, zanim napis się zatrze. Litery są wryte, więc Jonah będzie mógł przeczytać. Postawię w tym miejscu nowy kamień.

Myślałem o tej chwili bez przerwy od poznania prawdy, zapisywałem i skreślałem, rozważałem i przemyślałem. Maurice obiecał opowiedzieć mi o czasie, który spędzili razem przed przybyciem do Anglii, ale na dziś mam dość i chyba najpierw, najlepiej zaraz po powrocie do domu, spróbuję przepisać tekst ojca, zanim stanie się nieczytelny.

Wymuszona samotność, choć tak bardzo niechciana i bolesna, będzie trwała tak długo, jak na to pozwolę. Muszę spróbować zaakceptować tę sytuację jako okazję do godzenia się na optymizm bez poczucia winy – moje życie jest dla mnie wystarczająco cenne, aby o nie dbać, i odważam się myśleć, że może Emma nie będzie ostatnią kobietą w moim życiu.

Mam teraz mnóstwo wolnego czasu. Nie chcę go zmarnować, przepijając dni i oglądając na okrągło telewizję – w taki sposób mogą minąć lata. Nie. Wrócę do Anglii i zacznę moją podróż, zacznę słuchać mojego wewnętrznego głosu i ufać temu, co mówi.

Ale w tej chwili, kiedy stoję tutaj, pod nakrapianą słońcem sosną, nad jeziorem mojej rodziny, myśląc o ojcu i kończąc pisać pocztówkę do syna, nagle odbiera mi głos. I nagle przepelnia mnie kompletna cisza.

KOCHANY JONAH



JA KOCHAM CIĘ

TATA XXXX



Jonah Jewell
szkola Highgrove Manor
Highgrove Lane
Highgrove
Oxfordshire OX7 3RG
ANGLIA

Na zdjęciu Budapeszt z lotu ptaka

Dlaczego napisałem *Ciszę*

Dzień po tym, jak zawiozłem mojego autystycznego syna do wspaniałej wiejskiej szkoły z internatem, by mógł rozpocząć nowe życie, zacząłem studia magisterskie na kierunku pisania powieści na City University. Ponieważ cały poprzedni rok spędziłem na walce z urzędnikami, by go tam umieścić, decyzja ta mogła wydawać się nieoczekiwana. W końcu minęło ponad dziesięć lat, odkąd miałem czas, by skupić się na pisaniu – tyle wymagał poświęcenia.

Szczerze mówiąc, byłem wycieńczony, emocjonalnie obolały i autyzm był ostatnim tematem, na jaki miałem ochotę pisać. Po sfrustrowaniu mojego opiekuna, Jonathana Myersona, kilkoma stanowczymi odmowami pojechałem na weekend do domu, gdzie długo i poważnie się zastanawiałem, w efekcie czego stworzyłem listę „za” i „przeciw”.

Gdy w poniedziałek wróciłem do City, wnioski wyglądały następująco:

1. To będzie musiało być zabawne – ponieważ autystyczne dzieci bywają radośnie rozkoszne. Dla przykładu podam, że gdy mój syn miał sześć albo siedem lat, wykształciła się w nim awersja do mojej mamy. Gdy wchodziła do pokoju, w którym przebywał, wypychał ją na zewnątrz i zamykał za nią drzwi!

2. Ma być szczerze – miałem naprawdę dość wysłuchiwania pytań, jakie mój syn ma „szczególne uzdolnienie”.

3. Jak bym się czuł, gdyby ktoś inny napisał tę historię?

Wtedy uświadomiłem sobie pewną ironię – przed dostrzeżeniem której długo się broniłem – że mój syn, choć nie mówi, komunikuje swoje potrzeby znacznie lepiej ode mnie.

Po długim zastanawianiu się, czego pragnę w głębi duszy, i po różnych wykrętach stwierdziłem, że nieustannie chodzi mi po głowie numer dwa. Chciałem być szczerzy, nawet jeśli ujawnienie brutalnej rzeczywistości stało w sprzeczności z intuicją pisarza.

Zanim mój syn się urodził, czytałem *Dziwny przypadek psa nocną porą* i książka mnie zachwyciła. Przez lata od jego narodzin obserwowałem, jak autyzm – w szczególności zespół Aspergera – staje się czymś niemal modnym. Nieraz słyszałem, jak służył za usprawiedliwienie paskudnego zachowania, obelgę, a nawet za odznakę honorową.

Irytowało mnie to – i bez wątplenia niezliczone rodziny, które dzień w dzień mają do czynienia z nieporozumieniami narosłymi wokół autyzmu i rozpaczą, jaką jest w stanie powodować autyzm. Znalazłem się więc na pełnej wyzwań i (ponownie wbrew intuicji pisarskiej) obciążonej odpowiedzialnością drodze – jak napisać powieść, której główna postać nie mówi? Jak napisać powieść o autyzmie, która będzie zawierać znacznie więcej?

Efektem jest *Cisza*.

Mam nadzieję, że się wam spodoba.

Jem

Zabawna i wyjątkowo wzruszająca powieść
o ojcach, synach i autyzmie

Jem Lester

C i s z a

